

AFERA TAŚMOWA – NAGRANIE Z RESTAURACJI SOWA I PRZYJACIELE

**Ksiądz Sowa, Paweł Graś, minister Karpiński
– o politycznych targach i tępieniu przeciwników**

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

CENA 6,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

NR 24/226 12-18 CZERWCA 2017

Gmyz ujawnia skandal
z dokumentem
o Smoleńsku

**SZUKAJ
WYDANIA
Z FILMEM DVD**



Komisja ds. Amber Gold
sięga po Michała Tuska



RAPORT SPECJALNY

TVP kontra TVN – wreszcie mamy wybór



ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288829



Nakład: 111 tys. egzemplarzy



Polski Fundusz Rozwoju



Bank Pekao SA znów polski

Polski Fundusz Rozwoju inwestuje długoterminowo w Bank Pekao SA wzmacniając polski sektor bankowy, który służy finansowaniu rozwoju gospodarczego. PFR jako stabilny akcjonariusz będzie wspierał realizację strategii banku z korzyścią dla jego klientów, pracowników i akcjonariuszy.

Infolinia: 800 800 120
www.pfr.pl



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Nadużyte prawo gościnności

Kiedyś wydawało mi się, że oznaką kultury jest szanowanie obyczajów kraju, do którego się przybywa. Sam to wielokrotnie praktykowałem. Wchodząc do meczetów, zdejmowałem buty. Odwiedzając synagogi, wkładałem kipe. Proste, nieprawdaż? Tym bardziej ta zasada szacunku dla praw i zwyczajów innych powinna obejmować, sądzę, dyplomatów i ambasadorów. Tym bardziej przecierałem oczy ze zdumienia, kiedy przeczytałem, że 40 ambasadorów podpisało się pod listem wspierającym warszawską Paradę Równości.

„Prawa osób LGBTI są uniwersalnymi prawami człowieka i każdy powinien ich bronić” – pod tą tezę podpisali się dyplomaci mieszkający w Warszawie. Dalej napisali, że chcą „bronić społeczności wymagających ochrony przed słownymi i fizycznymi atakami oraz mową nienawiści”, i deklarują „poparcie dla starań o uświadamianie opinii publicznej w kwestii problemów, jakie dotyczą środowisko gejów, lesbijek, osób biseksualnych, transpłciowych i interseksu-

alnych (LGBTI) oraz innych społeczności w Polsce stojących przed podobnymi wyzwaniem”.

Przeczytałem ten list i cholera mnie wzięła. Czym jest taki list, jeśli nie przejawem chamstwa i buty? Kim są ci panowie i panie, żeby pouczać Polaków, jak stanowić prawo? Dlaczego zamiast za rzekomo naruszaniem prawami „osób LGBTI”, cokolwiek to znaczy, nie ujmą się za prawami katolików, których wiara obrażana jest w czasie tych wyuzdanych marszów? Dlaczego przyznają sobie prawo do wspierania przedsięwzięć, które ogromna większość Polaków, na szczęście, uważa za coś obcego i obraźliwego dla ich tradycji? Jeśli w Polsce dominuje chrześcijańska obyczajowość i przemarsze LGBTI (QPRSTCWR itd., itp.) nie spotykają się z masowym poparciem, to dlaczego działacze tych ruchów wyręczają ambasadorzy obcych państw? Cóż to za nowy zwyczaj? Ambasador agitator – tego jeszcze nie było.

Gdyby owi dyplomaci postanowili prywatnie robić z siebie idiotów w rękach działaczy homoseksualnych, mało by mnie to przejmowało. Niech

sobie demonstrują i piszą, co chcą. Jednak to, że angażują w tę sprawę autorytet swoich państw, jest czymś niedopuszczalnym. Jedni ulegają owczemu pędowi – bo tak będzie lepiej – inni, tak jak ambasador Irlandii razem ze swym partnerem, płasają sami pod tęczęwą flagą na warszawskich ulicach.

Jakkolwiek by się wysilali i ilekolwiek listów by podpisali, nie są w stanie zatrzyć prostego faktu, że tak promowane przez nich związki panów i panów oraz pań i pań są nienaturalne. Na szczęście w Polsce wolno to jeszcze napisać i wolno tak uważać. I jeśli się do niej przyjeżdża, to należałoby to szanować. Polacy jeszcze nie utracili zdrowego rozumu i dostrzegają absurdalność sytuacji, kiedy to na jednym zdjęciu partner premiera Luksemburga pozuje z pierwszymi damami, występując w roli pani. Jest to co najmniej równie niedorzeczne jak próby cesarza Kaliguli, żeby uczynić ze swojego konia senatora. Szkoda, że w tamtych czasach nie znano fotografii, pięknie by się prezentował ów Incitatus obok innych ubranych w togi mężów. Tyle że dziś strach przed imperatorem zastąpił na Zachodzie strach przed polityczną poprawnością.

To, co czyni ową wzmocnienie ambasadorów jeszcze bardziej kuriozalnym, to też ich lista. Doprawdy, czy oni naprawdę nie dostrzegają śmieszności? Nie widzą, że uczestniczą w absurdalnej szopce, kiedy to bronią rzekomo naruszonych praw homoseksualistów wespół z Wietnamem czy Albanią, a niechby i Ukrainą czy Czarnogórą? Dyplomaci tych państw też się znaleźli wśród sygnatariuszy. Ciekawe, kiedy dołączą do nich przedstawiciele Arabii Saudyjskiej i Pakistanu. Nie mogę się doczekać. ©

RYСУNEK TYGODNIA



A. WARCZE

TEMAT TYGODNIA

16 ROZMOWA Z WOJCIECHEM RESZCZYŃSKIM
**MEDIA PUBLICZNE
SĄ CZĘŚCIĄ DOBREJ ZMIANY**
To państwo polskie jest właścicielem eteru

20 MARCIN MAKOWSKI
POLSKA W LUSTRZANYM ODBICIU

8 WOJCIECH WYBRANOWSKI
**AFERA TAŚMOWA
– NOWE NAGRANIA**

KRAJ

24 CEZARY GMYZ
NIEWYGODNY ŚLEDZCY
Skandal z dokumentem o Smoleńsku

28 MACIEJ PIECZYŃSKI
JAK KREML GRA SMOLEŃSKIEM

31 PIOTR SEMKA
BOHATEROWIE SĄ ZMĘCZENI

34 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
PROBLEM GŁOWY

36 KAMILA BARANOWSKA
ILE POLSKI W MEDIACH?

38 ŁUKASZ WARZECHA
**SUKCES PRAWDZIWY,
ALE CZY DUŻY?**

41 WOJCIECH WYBRANOWSKI
SŁUŻBY W PIRAMIDZIE

KULTURA

44 ANDRZEJ HORUBAŁA
MASŁOWSKA – ZAGADYWANIE PUSTKI
Nowa książka cudownego dziecka

48 WOJCIECH ENGELKING
BRAK CIERPIEŃ MŁODEGO WERTERA

NIE PRZEGAP

50 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, TEATR, GRA

OPINIE

56 WALDEMAR ŁYSIAK
AMORIS ECCLESIA
O nowej książce Pawła Lisickiego

60 WOJCIECH J. MUSZYŃSKI
PIŁSUDSKI NIE BYŁ EMANACJĄ POLSKI

63 TOMASZ KWAŚNICKI
KOMPLEKSY INTELIGENTA

66 ROZMOWA Z DARIUSZEM JOŃSKIM
NIE ŻAŁUJĘ ODEJŚCIA Z SLD

HISTORIA

70 ZDZISŁAW KOŚCIELAK
TYŁEM DO PAPIEŻA
Afront wobec Jana Pawła II

ŚWIAT

74 OLIVIER BAULT
WIELE HAŁASU O NIC
Europa wielu prędkości

78 JACEK PRZYBYLSKI
MAY TO NIE THATCHER

82 WITOLD REPETOWICZ
KATARSKI KRYZYS

EKONOMIA

84 ROZMOWA Z PAWŁEM SURÓWKĄ,
PREZESEM GRUPY PZU
**BĘDZIEMY INWESTOWAĆ
W POLSKIEGO „ŻUBRA”**
Bankowe plany PZU

86 ŁUKASZ ZBORALSKI
**LUXTORPEDA
NA BOCZNICY**



ŻYCIE I NAUKA

90 KATARZYNA PINKOSZ
MĘSKI RAK CZEKA NA MĘSKĄ DECYZJĘ
Czy kosztowne terapie będą refundowane?

FELIETONY: SEMKA (7), ZIEMKIEWICZ, KOWALCZUK (10), WARZECHA (11), GMYZ, GOCIEK (14), POSPIESZAŁSKI (54), ZALEWSKI, WOLSKI (68), ZYCHOWICZ, KOPER (73), GABRYEL, RYBIŃSKI (89), KOMUDA (92), TYRMAND (96), KATARYNA (98), ŁYSIAK (99)



PWPW

POLSKA WYTWÓRNA
PAPIERÓW WARTOŚCIOWYCH

www.pwpw.pl

NASZ NARODOWY WYTWÓRCA



Przykładowe zabezpieczenia banknotu 500 zł



filigran
jednotonowy znak wodny



SPARKLIVE®
farba optycznie zmienna



wielotonowy
znak wodny
eprasa.pl 80fc8579fd

NAJWYŻSZY NOMINAŁ
NAJNOWSZY BANKNOT
NAJLEPSZE ZABEZPIECZENIA

Droży Czytelnicy,

W tym tygodniu sprostowanie do sprostowania na temat składu gabinetu premiera Jana Olszewskiego oraz głosy na temat naszych ostatnich numerów.

„Nocna zmiana 25 lat później”

Profesor Tomasz Gruszecki w swoim liście („Do Rzeczy” 23/2017) pomylił imię. Szefem łączności był nie Andrzej, lecz Marek Rusin.

Pozdrawiam z sympatią
Bogumił Nowicki

Terroryzm – sedno islamu

Po raz kolejny w ostatnich tygodniach Wielka Brytania jest ofiarą zamachów terrorystycznych dokonanych „dla Allaha”, ponieważ to wykrykiwali zabójcy, dżgając nożami pochodniów.

Należy zrozumieć, że przyczyną takich zamachów nie jest „ekstremizm” czy „zafaszowana wersja islamu”, ale jest nią samo sedno islamu – historia życia Mahometa, który mordował niemuzułmanów, a dziś przez wszystkich muzułmanów jest uznawany za wzór. Tak długo jak media, politycy oraz społeczeństwo nie będą w stanie otwarcie przyznać, że to polityczna doktryna islamu – która jest esencją islamu – jest przyczyną zamachów, tak długo Zachód będzie przegrywał walkę z terrorem. Już dzisiaj widzimy, w jaki sposób życie ludzi

w Europie się zmienia, w jaki sposób tracimy nasze wolności z powodu islamskiego terroryzmu.

Jako Centrum Studiów nad Politycznym Islamem zajmujemy się badaniem politycznego islamu i naszą misją jest edukacja społeczeństwa na temat prawdziwej natury tej ideologii. Opieramy się na faktach i statystykach.

dyrektor Centrum Studiów
nad Politycznym Islamem
Adam Wojciechowski

„Nie” dla gloryfikacji LWP

Świetnie wypunktował słabość i brak spójności nowej polityki historycznej prezydenta Dudy i ministra Antoniego Macierewicza Piotr Zychowicz („Do Rzeczy” 22/2017).

Oburza mnie internetowa polemika Piotra Zaremby, będąca formą zakamuflowanego donosu do Reduty Dobrego Imienia, która zdaniem publicysty „W Sieci” powinna zająć się szkalowaniem Armii Krajowej przez Państwa publicystę. Mam nadzieję, że nie ugniecie się pod presją i nadal będziecie przykładem nieskrępowanego myślenia zarówno o historii, jak i współczesności.

Maciej Wojtkowski

Czy PiS to współczesna sanacja

Bardzo dziękuję za dwugłos Ziemiękiewicz – Gocięk na temat historycznej analogii między marszałkiem Piłsudskim a Jarosławem Kaczyńskim („Do Rzeczy” 23/2017).

Dwóch bardzo ciekawych polemistów, którym na przemian potakuje się w trakcie czytania, by potem zostać z dylematami w głowie.

Moim zdaniem wodzowski charakter partii, zarówno PiS, jak i PO, kładzie się cieniem na polskiej niepodległości.

Spór dwóch toksycznych osobowości liderów, którzy w grę swych ambicji, kompleksów i traum wciągają cały naród, to niejedyna negatywna cecha naszej polityki.



Drugą jest sytuacja wewnątrz akurat rządzącej partii. Dawniej była to PO, teraz jest PiS. Promowanie lizusów i miernot, wyłanianie się sitw i kamaryl, wyłanianie się nietykalnych świętych krów, tworzy nieformalny ustrój państwa, paraliżując mechanizmy demokratyczne i zabijając meritokrację. To nie może dobrze działać.

Z poważaniem
Michał Nowak



ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA:
Redaktor naczelny: Paweł Lisicki
I zastępca redaktora naczelnego: Piotr Gabryel
Zastępca redaktora naczelnego: Andrzej Horubala, Piotr Zychowicz

Z ZESPÓŁEM:
Sekretariat redakcji: Jacek Przybylski (I sekretarz redakcji), Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), Andrzej Dziekan, Radosław Wojtas
Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gocięk, Waldemar Łysiak, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemiękiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści: Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Sławomir Cenciekiewicz, Wiesław Chelminiak, Dominika Coś (Bruksela), Krzysztof Czaibarski, Roman Graczyk, Piotr Gursztyn, Edyta Hodyńska, Katarzyna, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczyk (Rzym), Jakub Kowalski, Tomasz Marchlewski-Łziński, Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski, Karolina Marchlewski-Łziński, Agnieszka Niewińska, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Anna Piotrowska, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński, Stefan Sękowski, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski,

Błażej Toraniński, Matthew Tymand, Paweł Wawrzyński, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wojski, Tomasz Wróblewski, Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski

DoRzeczy.pl redaguje Antoni Trzmiel (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem: Zofia Magdziak (zastępca), Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzry, Damian Cygan, Karol Gac
Współpraca: Miłosz A. Lodowski

Studio graficzne: Mariusz Daruk-Skarbek (szef studia), Wojciech Niedziółko (grafik prowadzący), Jacek Nadratowski, Anna Sobieska-Wojtowicz, Włodzimierz Zakrzewski
Fotoredakcja: Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk
Korekta: Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz
Rysownicy: Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa, Mirosław Owczarek
Okładka: fot. TVP, TVN

WYDAWCA: Orle Pióro sp. z o.o.
Batory Office Building II
Al. Jerolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Prezes Zarządu PMPG SA: Michał M. Lisiecki
Zarząd Spółki Orle Pióro: Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAM:
Michał Staszewski (kierownik marketingu i sprzedaży) reklama@dorzeczy.pl; tel. +48 692 46 40 80

PUBLIC RELATIONS:
Anna Pawłowska-Pojawa (PR manager), pr@pmpg.pl
DYSTRYBUCJA I PRODUKCA: Adam Borzęcki (kolportaż);
Karolina Olchownik (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl, tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500
Nr indeksu nakładu podstawowego 288829
Nr indeksu nakładu z filmem 296430
Nakład 111 tys. egzemplarzy

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detalicznej na ustaloną przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Eventualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7-17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyrażnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/





PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Pałacowy skład porcelany

Jeśli prezydent Andrzej Duda chciał dyskretnie wymienić szefową swojej kancelarii na kogoś innego, to najpierw powinien uszczelnić swoją kancelarię. Przeciek do mediów o tym, że Małgorzata Sadurska ma mieć obiecane – na otarcie łez po dymisji – stanowisko wiceprezesa PZU, wygląda, jakby ktoś pani Małgorzacie niespecjalnie dobrze życzył.

Krytycy obecnej władzy od razu wyszperali fragment debaty sejmowej z listopada 2013 r., gdy pani Małgorzata jeszcze jako posłanka PiS piętnowała z ogniem „listę hańby” – wykaz ponad 400 platformersów upchanych w najrozmaitszych spółkach Skarbu Państwa.

Członkowie rządu i politycy PiS pytani o sprawę Sadurskiej najwyraźniej nie rozumieją, skąd pobudzenie dziennikarzy. Rzecznik rządu Rafał Bochenek ogłosił, że „każdy polityk ma prawo do rozwoju zawodowego”. Z jeszcze większym żarem w sukurs koleżance z Pałacu Prezydenckiego przyszła rzeczniczka PiS. Beata Mazurek, odnosząc się do uwagi dziennikarza, że posłowie PiS

zarzucali rządowi PO-PSL „kolonizowanie państwowych spółek” przez polityków i osoby z nimi powiązane, a teraz kopiują tamte wzorce, odparła, że za poprzedniego rządu kondycja spółek Skarbu Państwa „była kiepska, w niektórych fatalna”, natomiast za rządów PiS spółki odnotowują zyski. „Jeśli okazuje się, że w tych spółkach są politycy i mimo tego te spółki odnotowują zyski, to ja bym chciała, żeby w tych spółkach było jak najwięcej polityków” – mówiła.

Rzadko się zdarza tak laboratoryjnie czysty przykład zasady, że sposób widzenia zależy od miejsca siedzenia. Gdy PiS był w opozycji, oburzał się na aksamitne wypchnięcie Igora Ostachowicza – PR-owskiego asystenta premiera Donalda Tuska – na lukratywne stanowisko w zarządzie PKN Orlen.

Zarówno w 2014 r. w przypadku Ostachowicza, jak i teraz, gdy buzują kontrowersje wokół posady dla Sadurskiej, politycy kiedyś PO, a teraz PiS pytają mnie w kularowych rozmowach, dlaczego ludzie działający długo w centrum polityki mają być traktowani przy

nominacjach w biznesie z państwowym stemplem gorzej niż ci, którzy takiej praktyki u boku premierów ani prezydentów nie mieli. Odpowiedź jest prosta: bo Polacy są wyczuleni na polityczne awanse za dawne zasługi.

Czy to, że już nominowani PiS-owcy radzą sobie nieźle w spółkach Skarbu Państwa, coś tu zmienia? Nie, bo gdyby nominaci z partyjnej łaski byli kiepscy, to irytacja zwykłych Kowalskich byłaby jeszcze większa.

No to co mają robić zasłużeni ludzie, którzy z różnych powodów muszą odejść z urzędów centralnych, a nie chcą kończyć swojej aktywności? – ponawiają w końcu swoje pytanie zirytowani platformersi i PiS-owcy.

– Nie wiem – odpowiadam. Jednak podobne kłopoty przydarzają się w karierze dziesiątkom tysięcy menedżerów i urzędników. Im nikt nie podaje na tacy nowej intratnej posady.

Populizm? Schlebienie spojrzeniu na świat szarego człowieka, odległego od politycznych saloonów? Pewnie tak. Niech jednak PiS nie udaje, że słyszy to słowo po raz pierwszy. ©©



TRUMP PRZYLECI DO POLSKI

Prezydent Stanów Zjednoczonych Donald Trump ma 6 lipca odwiedzić Polskę – według informacji podanych przez Reutersa amerykański przywódca przyleci do naszego kraju w drodze na szczyt G20 w Hamburgu. Polskie władze zaprosiły prezydenta USA już w lutym. W maju rzecznik prasowy polskiego prezydenta Krzysztof Łapiński poinformował, że zaproszenie zostało przyjęte. Andrzej Duda miał już okazję rozmawiać z Donaldem Trumpem podczas szczytu NATO w Brukseli. (jap) ©©



Wojciech Wybranowski

Wyciekły kolejne taśmy z podsłuchów rozmów poprzedniej władzy. Słuchać na nich, jak ks. Kazimierz Sowa sufluje politykom, że „Gazetę Polską” powinni „zniszczyć”

Bulwersujące nagrania ujawniła w piątek TVP Info. To nielegalnie zarejestrowane rozmowy, które odbywały się prawdopodobnie 7 lutego 2014 r. w warszawskiej restauracji Sowa i Przyjaciele, miejscu spotkań ludzi świata polityki, biznesu i służb specjalnych. Na taśmach zapisały się zawierane w zaciszu luksusowego lokalu ustalenia kadrowe dotyczące personaliów i obsady zaufanymi ludźmi kierowniczych stanowisk w spółkach Skarbu Państwa. Jest to też obraz stosunku ludzi z obozu ówczesnej władzy do Kościoła katolickiego i mediów. Rozmowy mogą szokować, zwłaszcza gdy z ust uczestników dyskusji padają mocne słowa o zniszczeniu „Gazety Polskiej” i powołaniu byłego ministra skarbu Aleksandra Grada do zarządu spółki Tauron Polska Energia.

W spotkaniu brali udział Paweł Graś (były rzecznik rządu Donalda Tuska), były szef BOR gen. Marian Janicki (za jego kadencji doszło do tragicznej katastrofy pod Smoleńskiem), a także ówczesny minister Skarbu Państwa Włodzimierz Karpiński, przedsiębiorca Jerzy Mazgaj oraz ks. Kazimierz Sowa (były dyrektor kanału Religia.tv, prywatnie brat posła PO Marka Sowy).

Bulwersujące kwestie padają m.in. w rozmowie bliskiego środowiskom Platformy Obywatelskiej ks. Sowy z Karpińskim i Janickim (była tam też osoba, której głos z nagrania nie udało się zidentyfikować). Kapłan zapowiada, że Aleksander Grad, szef resortu Skarbu Państwa w ekipie Tuska, trafi na kierownicze stanowisko do państwowej spółki.

Ksiądz Kazimierz Sowa: „[...] A wiecie o tym, że Grad skończy ostatecznie na szefie Tauronu, pół roku, wiesz, to będzie takie rozłożone, on się teraz zakręcił na radzie... Mówił do mnie spokojnie w styczniu, jeszcze się, wiesz, wymiksuję, a jak usłyszałem jeszcze, że jest rezygnacja, no pewnie, nawet mu wysłałem SMS-a, Olek In Progress on mi odpowiedział... tak. Do wakacji



Ksiądz o niszczeniu mediów

będziemy mieli gościa, który będzie, wiesz, na południu Polski, bo to nie jest tylko Małopolska, to masz Tauron, to masz gościa, który rządzi, główna spółka energetyczna na południu. Ty, a o kogo chodziło, co on mówił, że PSL-owcy nie wiedzieli, że mieli w zarządzie swojego człowieka, bo rozumiem, że on go odp...lił... ale kogo, Ty, kogo, kogo...” – mówi ks. Sowa na nagraniu.

Włodzimierz Karpiński: „Nie wiem, nie znam się”.

Ksiądz Kazimierz Sowa: „Chodziło o kogoś, kogo Włodek zdymisjonował, a on nie wiedział, że... PSL on się okazał, jak go wy...li, nagle przylatuje Bury i wszyscy... nasz człowiek, zaraz, jak to wasz człowiek, on tu chodził pod tytułem... jestem nikim, czyli nikt go nie rozpoznawał”.

Aleksander Grad, jeden z najbardziej wpływowych polityków w ekipie Donalda

Tuska, minister Skarbu Państwa w latach 2007–2011, w 2012 r. zrezygnował z mandatu poselskiego i został prezesem zarządu spółek PGE Energia Jądrowa i PGE EJ1 mających odpowiadać za budowę elektrowni atomowej w Polsce (do dziś nie powstała). W marcu 2014 r. – niecały miesiąc po podsłuchanej rozmowie – Grad został wiceprezesem spółki Tauron Polska Energia. W piątek nie udało nam się z nim porozmawiać. Telefon wyłączył też uczestniczący w knajpianej naradzie Włodzimierz Karpiński.

Inny z wątków rozmowy dotyczył politycznej układanki w Polskiej Grupie Energetycznej SA. Uczestnicy kolacji w Sowie i Przyjaciółach dyskutowali o obsadzeniu spółki zaufanymi ludźmi PO-PSL.

Paweł Graś: „PSL ma Baniaka, powinno im to wystarczyć. Po co im więcej?”.



FOT. KAROL SERWINSKI/STAS NEWS

Długie życie afery taśmowej

Afera taśmowa miała swój początek w 2014 r. Wówczas to tygodnik „Wprost” ujawnił pierwsze fragmenty bulwersujących rozmów polityków rządu PO prowadzonych – w niewybrednych słowach – w zaciszu luksusowych warszawskich restauracji. Wśród nagranych byli m.in. ówczesny minister spraw wewnętrznych Bartłomiej Sienkiewicz, Marek Belka – wówczas szef NBP – i minister spraw zagranicznych Radosław Sikorski. Z kolei tygodnik „Do Rzeczy” dotarł do nagrania m.in. minister rozwoju Elżbiety Bieńkowskiej i Pawła Wojtunika, byłego szefa CBA, i je ujawnił. Wojtunik, powołując się na swoje źródła w policji, mówił na nim, że do podpalenia budki pod ambasadą rosyjską podczas Marszu Niepodległości (o co oskarżano narodowców) w rzeczywistości miało dojść na polecenie ówczesnego szefa MSW Bartłomieja Sienkiewicza.

na tej kolacji i tego, pijemy jakieś wino, jedno, drugie, no i tam już wiesz, no to tu zostanie... Ja tam w tej knajpcie jestem tydzień później, gadamy tu tego i ja mówię, wie pani co, może po lampeczce z tego, co zostało... a pani ooo, proszę pana, tego już nie ma, pan Petru był tu następnego dnia”.

W trakcie biesiady Jerzy Mazgaj skarży się, że jest krytykowany przez „Gazetę Polską”. Biznesmen, według „Gazety Polskiej” tajny współpracownik SB o ps. Barbara, a także funkcjonariusz ORMO, do jesieni 2016 r. był prezesem zarządu borykającej się ostatnio z kryzysem sieci luksusowych delikatesów Alma Market SA. W listopadzie 2016 r. został odwołany z tej funkcji i przeszedł do rady nadzorczej spółki. Mazgaj jest też udziałowcem spółki Krakchemia, w której radzie nadzorczej do czerwca 2016 r. zasiadali gen. Janicki i ks. Sowa. W rozmowie padają sugestie, by z niewygodnymi dziennikarzami nie rozmawiać, a tytuł prasowy po prostu zniszczyć.

„Byłem, ale w Baku to byłem, teraz napisała, że byłem w towarzystwie przyjaciół polsko-radzieckich, cały czas mi to pisze k... ten, no, »Gazeta Polska«, dzisiaj też podali, że prawdą jest to, co powiedział Jarosław Kaczyński, że biznesmeni mają korzenie w PRL-u taki... Maske (?) [...] był TPPR, a ja rzeczywiście założyłem koło TPPR-u. [...] jak to powiedzieć, gadać z tymi ch...” – rzuca Jerzy Mazgaj. TPPR, o którym mówi, to Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Radzieckiej.

„Jurek, nie polemizować, zniszczyć” – doradza mu ks. Kazimierz Sowa.

Książd ma więcej dobrych rad dla znajomych. Pawłowi Grasiowi doradza, jak zrobić, by Platforma zanotowała skok w sondażach.

„Ale słuchaj, coś, jakąś małą nadzieję tzw. wąpiącemu elektoratowi puścić. Musi być. Ludzie jak nie dostają sygnału, to czują się zrezygnowani. Zobacz, każdy skok w sondażach następował po jakimś

pozytywnym sygnale ze sportu” – mówi ks. Sowa.

„OK, tylko wiesz, to jest jak z formą na olimpiadę” – odpowiada Paweł Graś.

„Nie, nie mówię od razu, że teraz wszystkie punkty, medale, bo tu się okazało, że Stoch miał rację, w pewnym momencie przystopował i miejmy nadzieję, że jest na fali i pojedzie jeszcze dalej. Chodzi o co innego, że wiesz, gdyby on się później nie pojawił, toby już wszyscy zwątpili. Ale jak była taka nadzieja, że nie jest... Jest grupa taka tzw. wąpiących, którym się wydaje, że nic nie będzie”... – poucza ks. Sowa.

Już po ujawnieniu nagrania ks. Sowa w rozmowie z serwisem internetowym „Gościa Niedzielnego” tłumaczył, że „nie chodziło o to, by kogoś niszczyć w sensie fizycznym, tylko w sensie jakieś obrony”. Stwierdził też, że tematy, które poruszano w rozmowie, były zgodne z codziennymi obowiązkami rozmówców, i przekonywał, że jego zdaniem w rozmowie o spółkach Skarbu Państwa nie ma nic dziwnego.

Ujawniona na nagraniu wypowiedź kapłana nie była jednak pierwszą na temat mediów i dziennikarzy, z którymi się nie zgadzał. Gdy przed dwoma laty „Rzeczpospolita” opublikowała jego krytyczną sylwetkę, ks. Sowa, prywatnie znajomy właściciela gazety Grzegorza Hajdarowicza, na swoim profilu facebookowym poskarżył się mu na autora tekstu. „Przykro mi, że mam takich ludzi w redakcji, pozostaje mieć nadzieję, że jak najszybciej sami zmienią pracę i wyniosą się z mojej spółki” – odpisał mu Hajdarowicz.

Metropolita krakowski bp Marek Jędraszewski zdecydował, że najpóźniej do końca czerwca ks. Kazimierz Sowa będzie musiał wrócić do archidiecezji krakowskiej. Decyzja w tej sprawie miała zostać zakomunikowana kapłanowi 27 kwietnia, ale upubliczniono ją dopiero w ubiegłym tygodniu – po ujawnieniu taśm z podsłuchami. © Wszelkie prawa zastrzeżone

Włodzimierz Karpiński: „Dobra, to będzie faux pas, jak pociągniemy tutaj Rynasiewicza, czy...”

Paweł Graś: „Któryś z gospodarczych”.

Karpiński: „I Tomczykiewicz?”

Niezidentyfikowany rozmówca: „Kocur, pałka...”

Karpiński: „Ale ten jak mówił: ja mam szefa partyjnego...”

Niezidentyfikowany: „Ooo, to tak”.

Niezidentyfikowany: „PSL jest za”.

Chcieliśmy o tę rozmowę zapytać Pawła Grasia. Nie odebrał telefonu ani połączenia na WhatsApp – szyfrowanym komunikatorze, z którego bliski współpracownik Donalda Tuska od pewnego czasu korzysta.

W innym momencie spotkania ks. Sowa mówi też, że Ryszard Petru zostanie przewodniczącym Rady Nadzorczej PKP. Rzeczywiście – w 2014 r. przez krótki czas Petru piastował to stanowisko.

„Ale ja, słuchajcie, ja byłem kiedyś na jednej takiej kolacji z Rysiem Petru, notabene za niedługo też ciekawe informacje o Ryśku się ukażą... prezes... yyy... przewodniczący rady nadzorczej PKP... Ale zarazem taki zlinkowany pod Elą w sensie, wiesz, tak zwany prezes nie honorowy, tylko... no, jak wiecie, są zawsze trzy rodzaje prezesów... urzędujący, reprezentujący i zapier...acy i Rysiu będzie tym trzecim... czyli będzie...” – mówi ks. Kazimierz Sowa. I dodaje po chwili: „Czyli wiesz, będzie musiał się pokazywać, tłumaczyć w mediach i tak dalej... Ale do czego zmierzam, byliśmy



RAFAŁ A.
ZIEMIAKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Upadek ojca celebryty

Za pieniądze to i ksiądz się pomodli” – powiada obiegowa mądrość funkcjonująca w sferach, z których się wywodzę, od pokoleń. Okazuje się jednak, że są i takie wartości, za które ksiądz może od modlenia się odstąpić, a w każdym razie zamienić je w czysty pozór, czynność urzędową,

funkcjonowania Tuskowej sitwy, szczęśliwie odsuniętej przez Polaków od wpływów w ostatnich wyborach, ale znowu dostaliśmy sporą dawkę soczystej „obyczajówki”. „[...] »Gazetę Polską« trzeba zniszczyć...” – te słowa o prawicowych mediach może nie robiłyby już na nas wrażenia w ustach Pawła Grasia, kapciowego Donalda Tuska, który załatwił z Hajdarowiczem przejście „Rzeczpospolitej”, a z Kulczykiem „Faktu”, cwane „specjalisty od luksusu” Jerzego Mazgaja (właściciela m.in. sponsorującej Natalię Przybysz firmy Kruk) czy szemranego „furmana” z BOR, Mariana Janickiego, którego Bronisław Komorowski nagroził za tragedię w Smoleńsku awansem na wyższy stopień generalski.

Te słowa padają jednak z ust ks. Kazimierza Sowy. Człowieka, który nosi sutannę. I któremu w sposób zupełnie jej niegodny uderzył do głowy tefalenowsko-

-michnikowy „haj lajf”. Wspólne picie z prominentami, kolacyjki, na których ustala się z nimi, kto jest nasz, a kogo trzeba zniszczyć i jak to zrobić, posadka w społeczeństwie Skarbu Państwa (seminarium może nie daje do tego kwalifikacji, ale brat w partii – owszem)... Zaimponowało, zakręciło w głowie i wypchnęło z niej wszystko to, czym duchowny powinien się w życiu kierować.

Nie zamierzam ks. Sowie odpłacać pięknym za nadobne ani go niszczyć. Może kiedyś dotrze do niego, jak nisko upadł, i coś z tym zrobi. A może uzna się za bojownika o demokrację, męczennika „PiS-owskich” mediów i zostanie takim ogłoszony, jak nie przymierzając mgr Stępień profesorem? To problem jego biednego sumienia.

Powiadano, że „Cygan dla towarzystwa dał się powiesić”. Teraz można dodać – „a ksiądz dla towarzystwa się zeszmacił”. Smutne, ale życiowe, niestety. © ©

Zaimponowało, zakręciło w głowie i wypchnęło z niej wszystko to, czym duchowny powinien się w życiu kierować

w żaden sposób na niego samego ani jego życie niewpływającą.

Taki jest bowiem wniosek z kolejnej ujawnionej taśmy z platformerskich pogaduszek w nieistniejącym już lokalu Sowa i Przyjacie. Może i nie dowiedzieliśmy się z niej niczego nowego o zasadach



PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Nasi islamscy sąsiedzi

WTurynie 40 tys. kibiców, którzy oglądali wspólnie mecz na telebimie, rzuciło się do panicznej ucieczki na dźwięk słowa „zamach”, choć zamachu nie było. Ponad 1,5 tys. osób odniosło rany. Minister spraw wewnętrznych Marco Minniti stwierdził: „Psychoza wywołana atakami terrorystów islamskich staje się naszym bardzo groźnym wrogiem”. Czy jest się czego bać?

Chwalić Allaha, w Italii islamiści na razie nie przeprowadzili żadnego zamachu. Jednak Anis Amri, autor rzezi w Berlinie, tu właśnie szukał schronienia. Z sondażu przeprowadzonego wśród mieszkających

i pracujących w Italii legalnie muzułmanów wynika, że aż 10 proc. nie zadenuncjowałoby go na policji, a 20 proc. miałoby z tym moralno-religijny problem. To aż 200 tys. włoskich wyznawców Allaha, i to tych rzekomo zintegrowanych, gotowych jest kryć brodatych morderców, a ponad połowa sądzi, że na Zachód spada zasłużona kara za próbę kolonizacji krajów islamskich.

W związku z ostatnim zamachem w Londynie – jak przypominają prawicowe media – wojnę z Czerwonymi Brygadami udało się wygrać, bo lewacy szaleńcy utracili wsparcie lewicującego ludu. Niestety – ubolewa dziennik „Libero” – na

lojalność naszych islamskich gości i sąsiadów w godzinie próby liczyć nie możemy. Dlaczego?

Po tragedii w Bataclan włoskie siły postępu zachęcały środowiska islamskie do organizacji protestów pod hasłem „Nie w moim imieniu”. Udział w nich wzięło zaledwie 3 tys. osób (sic!). Przy czym postępowi politycy i dziennikarze stanowili większość.

Trochę mało jak na niemal półtoramilionową włoską społeczność islamską, tak podobno miłującą pokój i brzydzącą się terroryzmem. Od tego czasu takich szopek w Italii nikt nie urządza. © ©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Być jak Roy Larner

Fuck you, I'm Millwall!" – wrzasnął Roy Larner do uzbrojonych w nóż islamskich terrorystów, którzy wtargnęli do pubu nieopodal London Bridge 3 czerwca, i ruszył na nich z gołymi rękoma. Millwall to londyński klub piłkarski, którego kibice należą do najostrzejszych w Wielkiej Brytanii.

Roy Larner skupił na sobie całą uwagę nożowników i został przez nich brutalnie zmasakrowany. Otrzymał ciosy w ramiona, szyję, pierś. Jednak, jak to prawdziwy kibol, przeżył i kuruje się w szpitalu, a dzięki jego desperackiej odwadze inni goście pubu zdołali umknąć.

Wyczyn Larnera, nawet jeśli wsparty kilkoma pintami ciemnego Guinnessa, jest symboliczny: oto angielski kibol ma gdzieś policyjne ulotki, rekomendujące w razie ataku terrorystów przede wszystkim ucieczkę, i rzuca się na zamachowców z gołymi rękami. W Wielkiej Brytanii, mimo narastającego niebezpieczeństwa, wciąż bowiem zwykły obywatel może się bronić gwizdkiem alarmowym, ewentualnie elektronicznym alarmem osobistym. Niczym więcej. Trwa też dyskusja, czy nie należałoby uzbroić jednak wszystkich policjantów, a nie jedynie

wybrane oddziały i formacje policyjne, jak to jest obecnie.

W obliczu agresywnego islamskiego fanatyzmu Zachód opowiada się za ucieczką. Zwykli ludzie mają się przede wszystkim chować lub uciekać, broń Boże nie powinni stawiać czoła atakującym, bo od tego są służby. Ten myślowy schemat jest tak głęboko wdrukowany w mózgi decydentów – a także, niestety, zwykłych ludzi – że nie przychodzi im nawet do głowy, że jest to czynnik, który fanatyków ośmiela. Także w sensie psychologicznym.

Wieloma względami „Matriksie” (wówczas jeszcze) braci Wachowskich jest scena, w której Neo uczy się zachowania w matriksowej sztucznej rzeczywistości. Mijana na ulicy piękna dziewczyna nagle zmienia się w złowrogiego agenta Smitha. Neo słyszy od Morfeusza, że musi się strzec, bo każdy w dowolnej chwili może się zmienić w strażnika systemu. I tak powinna wyglądać z punktu widzenia terrorystów sytuacja na Zachodzie, jeśli mamy się przed nimi obronić: każdy może się okazać nieobliczalnym Royem Larnerem, każdy może zareagować. Ucieczka to podpisanie na siebie wyroku. ©©

JAKA PRAWICA W POLSCE

W sobotę 17 czerwca w warszawskiej Tower Service odbędzie się IV Chrześcijański Kongres Społeczny. Tym razem tematem przewodnim dyskusji będzie hasło: „Wolny naród”.

Organizowany już po raz kolejny Chrześcijański Kongres Społeczny ma w swoich założeniach być ważnym miejscem debaty na temat wspólnego dobra,

kształtowania postaw i rozważań na temat tego, jak powinny funkcjonować formacje polityczne reprezentujące katolicką opinię publiczną. W tym roku jego uczestnicy będą chcieli, by stał się on również formą deklaracji politycznej suwerenności Polski katolickiej i republikańskiej.

W trakcie sobotnich obrad odbędą się m.in. dyskusje dotyczące tego, jak powinna wyglądać

Konstytucja Rzeczypospolitej Polskiej, a także na temat odbudowy poczucia wspólnoty i solidarności narodowej.

Prelegentami będą m.in. eurodeputowani: Marek Jurek i Kazimierz M. Ujazdowski, dziennikarze Weronika Kostrzewa i Tomasz Krzyżak oraz Marian Piłka, dr Krzysztof Kawęcki, dr Paweł Milcarek i Aleksander Stralcov-Karwacki. (ww) ©©



STYPENDIA FUNDACJI IDENTITAS

Fundacja Identitas, obok przyznawania prestiżowej nagrody w kategorii historii i literatury, prowadzi także działalność stypendialną. A oto lista wyłonionych w konkursie studentów i doktorantów kierunków humanistycznych, którzy otrzymają wsparcie w roku 2017:

1. Weronika Szulik, doktorantka na Wydziale Polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego oraz magistrantka Instytutu Kultury Polskiej: „Rozproszone pisma Romana Jaworskiego”;

2. Grzegorz Kuziel, student na Wydziale Historii Uniwersytetu Jagiellońskiego: „Korespondencja w języku polskim do 1530 r.”;

3. Janusz Adam Dziewiątkowski, doktorant Instytutu Sztuki PAN: „Teatr z radia, teatr w radiu. Adaptacje słuchowiskowe Teatru Polskiego Radia w latach 1945–1993”;

4. Noemi Karolina Etush, studentka historii sztuki na Wydziale Historycznym Uniwersytetu Gdańskiego: „Salomon Adler (1630–1709) – monografia malarza rodem z Gdańska”;

5. Karolina Czonstke, doktorantka na Wydziale Historycznym Uniwersytetu Gdańskiego: „Wczesnośredniowieczna biżuteria słowiańska jako pretekst do rozważań nad kontaktami interregionalnymi w basenie Morza Bałtyckiego”;

6. Jacek Iwaszko, doktorant Instytutu Muzykologii na Wydziale Historycznym Uniwersytetu Warszawskiego: „Rękopis Kk I.2 z Archiwum Krakowskiej Kapituły Katedralnej – monografia”.

Prezes Fundacji Identitas **Tomasz Kaźmierowski** powiedział:

– Jesteśmy wyjątkowo zadowoleni z wysokiej jakości zgłoszonych wniosków. Po części wynika to zapewne z licznej liczby doktorantów uczelni humanistycznych, jak również z większego zainteresowania konkursem Identitas wśród tych studentów, którzy rozumieją kwestię naszej tożsamości i zmian, jakim podlega. (a) ©©

WIEŚNIACKI SHOW-BIZNES?

Najbardziej znany chirurg gwiazd, który sam stał się celebrytą, pojechał na festiwal filmowy do Cannes. Publikował zdjęcia z Paris Hilton i Willem Smithem, chwalił się, że był na imprezie na jachcie należącym do Leonarda DiCaprio. Po powrocie postanowił skonfrontować swoje wrażenia z polskim show-biznesem i doszedł do smutnych wniosków. – Miałem okazję poznać światowe gwiazdy, być na gali amfAR, czyli najbardziej lansiarskiej gali w Cannes – pochwalił się. – Polskim gwiazdom daleko jeszcze jest do tych światowych. To nie są wyniosłe osoby, jak bardzo często u nas w Polsce to wygląda. Są przyjazne, no kim ja jestem, po prostu Krzysztofem Gojdzem z Polski, nie znają mnie, ale rozmawiali ze mną jak z przyjaciółmi i to mi się podobało – wyznał. – Polska to jednak jest trochę wieś, jeśli chodzi o show-biznes – skwitował. Cóż, dopóki polski show-biznes będzie miał takich celebrytów jak pan Gojdz, szans na poprawę nie widać.

MĄDRA INACZEJ

Małgorzata Rozenek promuje właśnie drugą edycję show „Projekt lady”. Program, w którym lady Rozenek wraz z panią psycholog i panią od protokołu dyplomatycznego uczą niesforne młode dziewczyny, jak używać sztućców i być damami, niebawem ma się pojawić na antenie TVN. Rozenek przekonuje, że kolejny sezon dostarczy jeszcze więcej emocji niż pierwszy. – Dziewczyny wszystkich zaskoczą! Ten sezon będzie jeszcze lepszy niż pierwszy, to będzie bardzo zabawny sezon. Dziewczyny są przeurocze. Poziom kultowych tekstów jest ogromny – zachwala Rozenek. – Program jest pełen wzruszających momentów. Podnosiliśmy się jakieś dwa dni po nakręceniu jednego odcinka – opowiada. – To jest niezwykle mądry program – dodaje na koniec. Chyba mądry inaczej. Ale nie będziemy się z lady Rozenek spierać. Wiadomo, że każdy mierzy swoją miarą.



FOT. ADAM JANKOWSKI/REPORTER



FOT. PAMEL GROMADA

BREAKING NEWS

Aktorka Sylwia Juszczak postanowiła podzielić się ze światem swoimi przemyśleniami o codziennej pielęgnacji, makijażu i dbaniu o siebie. I tu zaskoczenie! Jak każda szanująca się celebrytka zapewnia, że używa tylko kremów nawilżających, rzadko się maluje i w ogóle gardzi drogimi kosmetykami. – Kocham być bez makijażu. Fajnie, jak można sobie rzęsy doczepić, żeby już się nie malować. Nie kupuję najdroższych kremów, bo uważam, że nie ma takiej potrzeby. Są naprawdę dobre kremy w normalnych cenach i chyba dużo lepsze. Jak mi się nie chce czesać, to zakładam czapki i kapelusze – wyznała. Też macie poczucie, że to wyznania z gatunku tych absolutnie przełomowych?

NOWOCZESNE LOVE STORY

Lokalni działacze Nowoczesnej nie kryją oburzenia tym, jak potraktowano Agnieszkę Orzechowską, celebrytkę, która pragnęła zasilić szeregi partii. Orzechowska zaistniała w show-biznesie za sprawą opowieści o seksualnych wyczynach z Radkiem Majdanem, a także faktu, że podczas imprezy wypadła przez okno. Ma też na koncie udział w filmie porno. Orzechowska, zaproszona przez Daniela Olecha, szefa lubelskiej młodzieżówki Nowoczesnej, wystąpiła z nim na wspólnej konferencji prasowej, deklarując chęć wstąpienia do partii. – Wyniosłam Nowoczesną na wyżyny – pochwaliła się później w „Fakcie”. Okazało się, że Nowoczesna nie jest aż tak nowoczesna i odcięła się od pani celebrytki i całej akcji. Obrażona Orzechowska zadeklarowała, że „jeśli Petru jej nie weźmie, to może pójść z każdym”, a szef młodzieżówki i inni „młodzi nowocześni” wydali pełne oburzenia oświadczenie, w którym zarzucają swojej partii hipokryzję. „Udział w filmie pornograficznym oraz publiczne i otwarte mówienie o seksualności nie dyskwalifikuje tej osoby z działalności charytatywnej i współpracy z Nowoczesną, która jest przecież partią liberalną [także obyczajowo]”. Według nas przyjmowanie takich kryteriów dobierania partnerów do współpracy jest poniżej godności partii liberalnej i zniża się do poziomu fundamentalistycznej ideologii moralnej, narzucanej przez czynniki pokroju zle rozumianej religijności” – piszą. – Czy nie jest dla pana hipokryzją uczestniczenie w marszach popierających aborcję, a degradowanie kogoś z powodu jego ekscesów seksualnych? – pytają Ryszarda Petru. I tak oto Rysiek w oczach postępowej młodzieży został zaściankową konserwą. Czyż może być jeszcze zabawniej? Może. Finał tej historii jest bowiem taki, że pan Olech, były już szef lubelskiej młodzieżówki Nowoczesnej, zaręczył się z celebrytką Orzechowską. W imię krzewienia postępu! ©©

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW



Kochani, śledzimy z zażenowaniem ten spór wąsatych januszów z taksówkami oraz nażelowanych matich z ubiera. Naszym zdaniem jedni i drudzy są siebie warci, a oś sporu powinna być diametralnie inna.

Otóż cały ten dyskurs powinien raczej dotyczyć tego, że samochody się nie sprawdziły i nie są one obecnie środkiem transportu, który zapewnia równowagę w tkance miejskiej. Dlatego jeśli już musimy wdrażać jakąś metodę komunikacji opartej na świadczeniu usług przewozowych w zamian za pieniądze, to niech to będzie komunikacja rowerowa lub hulajnogowa.

Jak bowiem wiadomo, miasta nie są od tego, aby jeździć w nich samochodami, ale aby w nich spacerować, sadzić drzewa na skrzyżowaniach (które docelowo wyeliminujemy jako element nieneutralny światopoglądowo, wprowadzimy wszędzie ronda z możliwością skrętu jedynie w lewo), promować ruch rowerowy i pozwalać działać miejskim aktywistom.

Nie sądziliśmy, że na forum ONZ także dochodzi do kpin z demokracji, bo jak inaczej

nazwać wybór tego kraju do Rady Bezpieczeństwa ONZ?

To bardzo nieodpowiedzialna decyzja. Mamy nadzieję, iż odpowiednie organy międzynarodowe natychmiast na to zareagują, a lokalne media szybko wyjaśnią, iż mamy do czynienia z warcholstwem, a na ten kraj głosowały inne kraje: biedne, z niskim poziomem wykształcenia i z całą masą niewielkich ośrodków.

Jakby co, to podpowiadamy: ten kraj na pewno szybko się skompromituje, będzie dzielił i jątrzył narody zjednoczone, grał na najniższych instynktach rusofobicznych, a swoją postawą będzie wzmacniał Rosję i Putina. Tak będzie.

W opozycji (iks de) do czerstwego zachowania Dudy na szczycie NATO i jego uniesionych w górę kciuków, musimy wspomnieć o świetnym żarcie i poczuciu humoru Krula Europy Donalda Tuska.

Otóż, jak wiecie, Krul Europy pokazał amerykańskiemu prezydentowi budynek, który nazwał Tusk Tower. Donald Trump się nie uśmiechnął – mimo całej naszej niechęci do jego osoby podziwiamy

my tak daleko idące opanowanie. Z pewnością jednak w środku, w Trumpie, śmiał się jak mały osobochłopiec.

Trump dopiero w zaciszu swojego gabinetu mógł roześmiać się swobodnie, stąd też pewnie,

Ten kraj na pewno szybko się skompromituje, będzie dzielił i jątrzył narody zjednoczone

trzęsąc się ze śmiechu, nie trafił w klawisze, pisząc na Twitterze „cofveve”. Tak się robi dyplomację i wpływa na losy świata – Krul to nam pokazał.

Chyba odkryliśmy kolejny przykład dyskryminacji z uwagi na wiek, płeć i umiejętności. Oczywiście gdzie? W tym kraju. Otóż niebawem zaczną się tutaj młodzieżowe mistrzostwa Europy w piłce nożnej.

Młodzieżowe, czyli wykluczające osoby znacznie uposażone wiekowo, w dodatku przeznaczone jedynie dla osób uposażonych fallicznie, potrafiących grać w piłkę nożną. Wykluczamy więc za jednym zamachem: osoby zaawansowane metrykalnie, waginoosoby oraz osoby talentoujemne piłkarsko. Skoro więc dopuszczamy do rywalizacji tylko wysportowanych młodych mężczyzn, to może od razu wystawmy reprezentację ONR?

Nic więc dziwnego, że Europa postanowiła cedować (mądre słowo, natknęliśmy się ostatni raz na nie na Wiki) ten przykry obowiązek na ten kraj, gdzie takie zaawansowane dyskryminacje przejdą niemal niezauważone, jako element zwykłej, tenkrajowej codzienności. © ©



FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU:
[FB.COM/MWIZWO](https://fb.com/mwizwo)

No i Gośki Sadurskiej nie ma już w Kancelarii Prezydenta Andrzeja Sebastiana. Znowu wyszliśmy na trendsetterów. Wątpiącym przypominamy naszą notkę z wakacji 2016: „Wracając do Gośki Sadurskiej. Ostatnio chodzi po mieście i opowiada, że jak już ją Kaczor Dyktator każe wyrzucić, to ona pójdzie pracować do PZU i wreszcie będzie zarabiać jak człowiek. Na razie jednak poświęca się dalej dla ojczyzny”.

Za to premier Bełata zostaje – zarzekają się wiewiórki z Nowogrodzkiej. Taka opcja w tej chwili wygrywa. Zdziwionym podpowiadamy, jak wygląda słynny algorytm Kaczora Dyktatora, według którego dymisjonuje. Zasada jest prosta: im więcej tekstów o tym, że wywali, tym bardziej nie wywali.

Tymczasem Andrzej Sebastian rzucił palenie, ale to dopiero początek smacznej historii. Tak jak każdy prawdziwy reformator nie poprzestał na swojej skromnej prezydenckiej osobie. I kazał zlikwidować wszystkie palarnie w pałacu. Nie wiemy, czy świadczy to o jego silnej (kazał zlikwidować) czy słabej woli (boi się pokusy).

Trwają gorączkowe poszukiwania nowej Kury. To znaczy nowego Kury. Jest kłopot, bo Kaczor Dyktator już dawno Kurę by wymienił, ale nikt nie chce go zastąpić. To znaczy nikt z tych, których sondowano (nie liczymy Krzysztofa Czabańskiego, którego nie sondowano, a który akurat bardzo by chciał).

Żli ludzie opowiadają, że szef dużego radia, czyli Jacek Sobala, martwi się troszeczkę. Bo gdyby poczekał chwilę, to może byłaby okazja wziąć dużą telewizję zamiast dużego radia. Wiewiórki z Nowogrodzkiej mówią jednak, że to niepotrzebne smutki, bo wiatr nie wieje również w tę stronę.

Apropos Kury. Nie podzielamy hejtu na prezesa TVP za to, że podczas meczu Legia – Lechia w Warszawie prowokował warszawskich kibiców szalikami Lechii. Pamiętamy bowiem, jak

podczas meczu Lechia – Legia w Gdańsku odbywała się akurat konwencja PeŁo. Andrzej Halicki polazł wtedy pod Amber Arenę, żeby prowokować kibiców Lechii. Nawet się tym chełpił: „Chodzić pod stadionem Lechii w szaliku Legii – bezcenne”. Nie krytykujcie więc Kury. Szalik niech się szalikami odciska.

Trwają również poszukiwania kandydata z PeŁo, który zostanie nową Hanką Gronkiewicz-Waltz. To znaczy

dwaj panowie g

kandydatów masa, ale trwają poszukiwania właściwego. Ostatecznie rzecz mają rozstrzygnąć jesienią wielkie badania sondażowe, na które PeŁo chce sygnąć sporo grosza. Drugie, bo jedno już w październiku ubiegłego roku przeprowadzono.

Z tych ubiegłorocznych badań wyszło, że naród najbardziej lubi Goškę Kidawę-Błońską. Trochę bardziej niż Rafała Trzaskowskiego i dużo bardziej niż Andrzeja Halickiego. Mamy takie samo zdanie jak naród. Nikt nie uśmiecha się piękniej od Kidawy, kiedy nie wie, co mówi.

Z tych samych powodów żałujemy, że Nowoczesna Kropka nie wystawiła w Warszawie kandydatki Moniki Rosy. Byłby to pojedynek godnych siebie rywali. Szczególnie po tym, jak Rosa oświadczyła, że terroryzm nie ma nic wspólnego z islamem, a Kidawa wyznała, że jak będzie rządziła, to na pewno rozlokuje w Polsce te 7 tys. uchodźców.

Jeszcze jedna ciekawa rzecz – Jacek Sasin ma w tych badaniach tyle co Petru, więcej niż Halicki, za to mniej niż Kidawa albo Trzaskowski. Z którego mimo to koledzy partyjni drą łacha, bo nadali mu ksywę Kandydat Ursynowski.

Ciąg dalszy humoru wewnątrzpartyjnego. Po wejściu Polski do Rady Bezpieczeństwa ONZ w PiS krąży dowcip: „Wstrzymał się tylko San Escobar”. Co jest oczywistą nieprawdą, bo wstrzymujących się było dwóch. Myślmy więc, że jeszcze Madera.

Tymczasem w Nowoczesnej Kropce. Rysiek poszedł do teatru, w dodatku razem z Kaziem Marcinkiewiczem. Obydwie rzeczy są



zabawne nawet osobno, a razem to już boki zrywać.

W teatrze grano sztukę „Przygoda z ogrodnikiem”. Jest to czarna komedia o małżeńskich kłopotach. Wszystko się zgadza. Nie zgadza się tylko reklamowe hasło: „Z wielce zaskakującą puentą”. Nic tu zaskakującego. Puentę historii Kazia już znamy, Ryśka będzie podobna.

Pozdrawiamy Stanisława Tyszkę, wicemarszałka od kukistów, i dziękujemy za wiekopomne pytanie, czy Polska, kupując gaz od Kataru, finansuje islamski terrorizm. Tak, panie marszałku, podobnie jak pan zapalając w domu gaz pod patelnię, finansuje wojnę Putina z Ukrainą.

Zwracamy uwagę Tyszki, że do Świnoujścia przyplłynął pierwszy tankowiec z amerykańskim gazem z łupków. Najprawdopodobniej oznacza to, że Polska finansuje epokę kamienia łupanego.

To nie był dobry tydzień dla kukistów. Szczyryk Liroy-Marzec został wywalony z klubu Kukiz'15, bo otacza się złymi ludźmi. To jest oficjalna wersja. My jednak mamy nieoficjalną, to znaczy przypominamy profetyczną notkę z naszej rubryki opublikowaną kilka miesięcy temu: „Liroy-Marzec postawił Pawłowi Naczelnemu Kukizowi ultimatum. Chce być kandydatem na prezydenta Warszawy. Paweł jednak się wściekł, bo bardzo nie lubi być stawiany pod ścianą. Więc przymierza się do puknięcia Liroya. Kielecki szczyryk zapowiada jednak, że



założy ruch Liroy'19 i wystartuje z własnego komitetu”. Poprawka – zamiast Liroy'19 będzie ruch Skuteczni. Reszta się zgadza, z puknięciem włącznie.

Bardzo się ucieszyliśmy, że Misio Kamiński wreszcie ustalił, kto jest najporządniejszym polskim politykiem i że jest to Ewka Kopacz. Dotąd bowiem byliśmy w rozterce: Czy Stefek Niesiołowski, czy Romek Koń Giertych? Nie wierzyć nam? Hm, a Misiowi uwierzycie?

Żeby nie było, że tylko krytykujemy – Misio Kamiński pisze powieść typu thriller, na którą czekamy z niecierpliwością. Znamy bowiem kogoś, kto czytał pierwsze 20 stron, i ten ktoś mówi, że dobre. Jest jeden problem – było to dawno temu, a thriller zaczynał się od katastrofy lotniczej, w której ginie śmietanka polityczna kraju. Zastanawiamy się, czy biorąc pod uwagę peany na cześć Ewki Kopacz, autor Misio powinien sięgać akurat po takie rozwiązania fabularne.

Jest kłopot z Antonim Macierewiczem. To znaczy nie my go mamy, tylko polskojęzyczne media wspierające Eine Totalopposition. Na przykład taki njus:

szef MON dał 100 melonów na Muzeum Bitwy Warszawskiej w Ossowie. Wcześniej PiS obiecywał muzeum, ale potem Jacek Sasin skrewił, i przestał się sprawą interesować. Wychodzi, że Sasin, co prawda, zły, ale Macierewicz dobry. Jak żyć, droga redakcyjna „Faktu”?

Ciekawa rzecz à propos protestu taksówkarzy. Jechaliśmy z jednym w dniu protestu. Strasznie przeklinał jednego ministra, a nawet wicepremiera, co zwie się Jarosław Gowin. Że zderegulował, że to wszystko przez niego i tak dalej. Biorąc pod uwagę, kiedy Gowin był ministrem od deregulacji, wychodzi na to, że był to protest antyrządowy. Jednak przeciw poprzedniemu rządowi.

Były prezydent Bronisław Wąsaty przyznał nam rację. Pamiętaliście, ile razy pisaliśmy, że poluje, choć publicznie twierdził, że nie? Cytat: „Nigdy nie przestałem polować” powiesimy sobie w gabinecie nad biurkami, zwłaszcza że nie mamy gabinetów ani biurów. Od dziś możecie więc mówić już nie tylko „błyskotliwy jak Komorowski”, lecz także „prawdomówny jak Komorowski”.

Niestety, nowe dzieło poetyckie Bronka Wąsatego na razie nie trafi do szerszej publiczności. Wiersz „Mężatka na rykowisku” został odczytany jedynie braci myśliwskiej. Zdaniem Bronka to wystarczy, bo ta wypowiedź artystyczna jest jego zdaniem zbyt rubaszna dla zwykłego odbiorcy, zwłaszcza kobiet. Czyli właściwie jak każda inna wypowiedź Bronka Komorowskiego. ©©

REKLAMA

Więcej domen na stronie: bluberries.com/08adomains4sale.html

WYPRZEDAŻ DOMEN

agencjareklamowa.com
baltona.com
budynki.com
dodomu.com
dopolski.com
edytor.com

eurokarta.com
europejczyk.com
fotoagencja.com
gielda.com
informacje.com
kawiaranka.com

kinopolskie.com
kupbilety.com
lataj.com
lekarze.com
megastacja.com
nowydom.com
piwosz.com
poczta.polska.com

polityka.com
poradnik.com
przewozy.com
rachunki.com
relaks.com
rezerwacje.com
skieuro.com
spozyczy.com

sprzedaj.com
szkola.com
trade-stocks.com
wawel.com
wypadki.com
wypadki.net
wysylki.com
zaplac.com

bluberries
ADVERTISING

Zainteresowanych prosimy o kontakt na e-mail: bart.bluberries@gmail.com

MARCIN MAKOWSKI: „W naszym nowym programie wiadomości będą dobre lub złe (oby tych ostatnich było jak najmniej), ale zawsze prawdziwe” – tak rozpoczął pan w 1989 r. pierwsze wydanie „Wiadomości” w TVP o godz. 19.30. Jak jest dzisiaj? Lepiej, gorzej?

WOJCIECH RESZCZYŃSKI: Oczywiście wiadomości są i dobre, i złe, natomiast coraz mniej jest prawdziwych. W sferze aksjologii i semantyki coraz trudniej się zorientować, komu można ufać, a kto manipuluje. Żyjemy w świecie, w którym trwa wojna informacyjna, i, jak na wojnie, często jesteśmy ranieni jej odpryskami, innym razem stanowimy jej front. Naprzeciwko siebie stoją media prywatne, jawnie opozycyjne wobec rządu, oraz media publiczne kierowane przez rząd, przedstawiające inny obraz rzeczywistości. Problem polega na tym, że te obrazy potrafią się tak ze sobą rozmiąć, że nie da się zbudować spójnego spojrzenia na Polskę i świat, oglądając tylko jeden przekaz.

Mówi pan o dwóch rywalizujących narracjach. Możemy ubolewać nad takim stanem rzeczy, ale nie ma pan wrażenia, że jeszcze kilka lat temu była to sytuacja nie do pomyślenia, a „Fakty” i „Wiadomości” prezentowały właściwie ten sam punkt widzenia? Może w takim razie, choć mozolnie, zwiększa się pluralizm w polskich mediach?

Racja. Nie tak dawno pisałem, że chyba jest jakaś nowa „Mysia”, gdzie mieściła się za PRL cenzura, bo między tymi nadawcami istniała pełna zgoda; te same tematy, te same komentarze, goście i eksperci, ten sam forszpan, ta sama nawet kolejność materiałów filmowych. Pełna zgodność. Nie było więc mowy o pluralizmie i nie było go do momentu przejęcia władzy przez PiS. Dzisiaj pod względem wyboru opcji ideowej sprawy mają się lepiej. Z drugiej jednak strony coraz trudniej wyrobić sobie zdanie o rzeczywistości. Media prywatne, które wpisały sobie na sztandary walkę z rządem, chociaż teoretycznie powinny dochowywać tych samych standardów co media publiczne i w obiektywizmie zmierzać do prawdy, tak manipulują faktami, że tworzy się błędne koło.

TVN poda nieprawdę, TVP natychmiast stara się ją prostować. I na odwrót. TVN niewygodne dla opozycji fakty czy wydarzenia pomija, a eksponuje te, które są dla władzy niekorzystne. „Wiadomości” TVP starają się to wyprostować i demaskują hipokryzję opozycji. Ten „dialog” dla odbiorcy, który nie może



Z Wojciechem Reszczyńskim, dziennikarzem, radiowcem, pierwszym prowadzącym „Wiadomości” rozmawia Marcin Makowski

Media publiczne są częścią dobrej zmiany

równocześnie oglądać dwóch różnych programów, powoduje, że zatrzymuje się na tym, który jest dla niego bardziej wiarygodny. Dlatego zwolennicy opozycji zapatrzeni są w TVN, a sympatycy rządu i „dobrej zmiany” w media publiczne, czyli „Wiadomości” TVP i TVP Info. Następuje ugruntowanie subiektywnych poglądów i okopanie się na swoich pozycjach.

Powiedział pan w jednym z wywiadów, jeszcze za rządów Platformy Obywatelskiej, że „Wiadomości” stały się „ośrodkiem indoktrynacji” i „narzędziem przymusu”, a na pytanie, jak uzdrowić sytuację, odparł pan: „Wymienić 90 proc. pracowników”. Ten scenariusz właściwie się spełnił. Nie ma pan wrażenia, że działano za ostro?

Nie mam takiego wrażenia, gdyż nie wymieniono nawet 10 proc. zespołów



Dobrze, że media publiczne podejmują polemikę z manipulacjami, których pełno w programach prywatnych stacji radiowych i telewizyjnych. One zapraszają głównie przeciwników władzy i im dają możliwość wypowiedzenia się. Pod tym względem TVP Info i „Wiadomości” stanowią przeciwwagę. Nie podoba mi się jednak forma, w której się to odbywa.

Dlaczego?

Brakuje wyraźnego oddzielenia informacji od komentarza. Wydarzenia i fakty pomieszano z publicystyką i komentarzem. Dlatego opinia wielu ludzi o „Wiadomościach” jest taka, że podobnie jak „Fakty” one również kłamią i manipulują. Moim zdaniem powinno się wyraźnie oddzielić te dwie części stylistyki głównego programu informacyjnego. Najpierw, nawet beznamytnie, prezentować po prostu to, co się wydarzyło w Polsce i na świecie, a dopiero później, po wyraźnym oddzieleniu czołówką, proponować widzom komentarze i opinie, całą tę pyskówkę. Jak widać, mam także konserwatywne poglądy na dziennikarstwo telewizyjne. Dobrze, że powstał nowy program „Nie da się ukryć” Ewy Bugały. To doskonałe miejsce, aby podjąć polemikę z manipulacją i ewidentnymi kłamstwami. Skoro już wspomniał pan wcześniej o pluralizmie, to mam jeszcze jeden zarzut do telewizji publicznej, mianowicie, że firmuje złe rozumiany pluralizm.

O, to ciekawe. Za mało pluralizmu? Za dużo?

Jeszcze nie tak dawno temu ówczesna władza PO-PSL wraz ze swoimi akolitami politycznymi występowała w programach publicystycznych, reprezentując własne formacje polityczne, a po drugiej stronie stał jeden przedstawiciel opozycji, czyli PiS. Ta zasada, pomimo zmiany preferencji wyborców, została utrzymana i nadal zaprasza się gości w proporcjach 4, 3 albo 2 do 1. Czasami występuje też przedstawiciel formacji Kukiz'15, ale nigdy nie wiadomo, czy dołączy do władzy czy do opozycji. Powstaje wrażenie, że w polityce nic się w sumie nie zmieniło. Dawna władza, a dziś opozycja, nadal ma większe szanse zaprezentowania swoich poglądów, bo ma dla siebie więcej czasu antenowego, a potrafi nawet zagłuszyć tych, którzy reprezentują poglądy obecnej władzy. Tak stale się dzieje w programie TVP „Forum”, ale również w TVP Info. Uważam, że ten polityczny ring jest nie fair.

informacyjno-publicystycznych, nie mówiąc o innych. Zmieniły się, jak zwykle, twarze osób firmujących poszczególne programy. A warto wiedzieć, że na PO, od kiedy się ona pojawiła, głosowało ponad 90 proc. polskich dziennikarzy. Na Prawo i Sprawiedliwość głosowała garstka ludzi mediów, systematycznie marginalizowana i wyrzucana z pracy w radiu i telewizji. Na

szczęście zaowocowało to powstaniem niezależnych, alternatywnych mediów prywatnych, ale wciąż będących na dorobku. Trzy lata temu na zjeździe delegatów Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich wyraziliśmy pogląd, pod którym się nadal podpisuję, że jeżeli dojdzie do poważnego reformowania mediów publicznych, należy przeprowadzić tzw. opcję zerową.

FOT. JACEK DUDKIN/AGORA

Opozycja twierdzi, że jest odwrotnie, a jako przykład podaje „Gościa Wiadomości”, gdzie w przytłaczającej większości zaprasza się przedstawicieli rządu.

I bardzo dobrze, bo władza w mediach publicznych nie miała do tej pory okazji, w którym w niezakłócony sposób mogłaby przedstawić swoje pomysły, projekty i stan ich realizacji oraz konkretne decyzje. Tu jest dopiero pole dla niezależnego dziennikarstwa, które nie może sprawiać wrażenia salonowego, ale nie może się też tak miotać, jak to robi Krzysztof Ziemięć, który jest „za, a nawet przeciw”.

Gdyby rządziła Platforma i robiła dokładnie to samo, nadal chwaliłby pan „okienko dla władzy”?

Tak, jestem obiektywny. Później jednak przychodzi „Minęła 20” i wraca problem, o którym przed chwilą wspominałem. Dlatego uważam, że zamiast zasady pluralizmu należy w TVP wprowadzić zasadę proporcjonalności. Jeżeli partia ma większość w parlamencie, to ona w dyskusji powinna mieć również więcej swoich przedstawicieli, więcej możliwości i czasu do zaprezentowania swojej wizji kraju.

Mówi pan o blokadzie pewnych nazwisk w kontekście złych praktyk dziennikarskich. A jak pan odebrał sytuację z Filipem Memchesem w Polskim Radiu 24, który na pewien czas znalazł się poza stacją za przeprowadzenie rozmowy telefonicznej z prof. Janem Hartmanem?

Nikt nie ucierpiał. Za listę gości i ekspertów zapraszanych do stacji odpowiada dyrektor anteny i jeśli Filip Memches wykonał polecenie przełożonego, to nie powinien ponosić z tego tytułu żadnych konsekwencji. Także gdyby odmówił rozmowy z gościem, z którym rozmowę uważałby dla siebie i swoich odbiorców za upokarzającą. Podczas pracy w Informacyjnej Agencji Radiowej starałem się grono komentatorów, ekspertów, maksymalnie poszerzać o osoby o innej wrażliwości politycznej. Niestety, to się nie udawało, gdyż dziennikarze dysponują listami „swoich” rozmówców, których poglądy są im znane i przez nich akceptowane. Dlatego ten tradycyjny przechyl w lewo tak trudno jest dziś wyprostować w mediach publicznych. Ja też mam taką „listę” osób, z którymi nie rozmawiałbym na antenie ze względów, nazwijmy to, estetycznych, osób skandalizujących, skompromitowanych, uwikłanych w tajne służby. Nikt z nas nie

zaprasza ludzi, którzy potrafią zwymiotować na dywan i nie powiedzieć nawet „przepraszam”. Kimś takim jest dla mnie ten profesor, specjalista od kazirodztwa, którego nazwiska nie mam ochoty nawet wymawiać.

A co, jeśli dziennikarz nie ma świadomości, kto jest, a kogo nie ma na „liście dobrego smaku” szefa? Też musi ponosić konsekwencje?

Jak śpiewał Marek Grechuta: „Wolność to wśród mądrych ludzi życie”. W dziennikarstwie trzeba mieć wycucie, kogo zapraszać, żeby nie zachwacić sobie i innym umysłu, i tutaj każdy ponosi indywidualną odpowiedzialność za swoje wybory personalnie. Oczywiście byłoby idealnie, gdyby zrealizował się wreszcie długo oczekiwany przez środowisko SDP prawny postulat dziennikarskiej klauzuli sumienia. Gdyby zapisano w ustawie, że dziennikarz ma prawo odmówić przełożonemu wykonania polecenia, które nie jest zgodne z jego sumieniem. Wówczas dziennikarz zyskałby na odwadze. To jeden z najważniejszych postulatów wolności i niezależności dziennikarskiej.

W dziennikarstwie trzeba mieć wycucie, kogo zapraszać, żeby nie zachwacić sobie i innym umysłu

W 2011 r. domagał się pan zwolnienia ówczesnego szefa „Wiadomości” Piotra Kraśki. Dzisiaj opozycja apeluje o usunięcie ze stanowiska Marzeny Paczuskiej. Czy jesteśmy skazani na powtarzanie tego scenariusza przy każdej zmianie władzy?

A jednak wolę Marzenę Paczuską niż Piotra Kraśkę. Pierwsza jest niezależnym dziennikarzem. Nie można o niej powiedzieć, że była znana z koniunkturalizmu, w przeciwieństwie do Kraśki, typowego salonowego dziennikarza dawnego głównego nurtu. Dzisiaj politycy opozycji domagają się zwolnień obecnie kierujących mediami publicznymi, bo po raz pierwszy od 28 lat ktoś patrzy im na ręce i nie boi się ich krytykować, a prawda – jak wiadomo – jest bolesna. Cieszy mnie to, że media publiczne są częścią „dobrej zmiany”, że w odróżnieniu od poprzedniej ekipy traktują pracę dziennikarską jak służbę, bo inaczej nie można jej

traktować. Oczywiście ideałem byłoby, aby mediami kierowali ludzie, których zaakceptuje i władza, i opozycja, ale przy takim sporze politycznym, jaki jest w tej chwili w Polsce, przy takiej mentalności naszej opozycji, jest to niemożliwe i bardzo dobrze, bo nie ma dwóch racji, trzeba się zdecydować. Uważam, że tacy „idealni” nawet by się znaleźli, oni są. Ale czy w tej skomplikowanej sytuacji zgodziliby się poddać sprawdzianowi? Wkrótce zostaliby odpowiednio zaszufladkowani. Pracujesz w telewizji Kurskiego, to jesteś „PiS-owcem”.

A może, jak chce rząd, który kończy prace nad ustawą, rozwiązaniem problemu braku wiarygodności polskich mediów będzie dekoncentracja kapitału i zwiększenie konkurencyjności, a tym samym punktów widzenia?

Dekoncentracja, a w konsekwencji repolonizacja mediów, zbliża nas do standardów zachodnich. W wielu starych państwach Unii istnieje prawo, że kapitał zagraniczny nie powinien przekraczać 30 proc. udziałów w rynku, i to są dobre proporcje. Nie do pomyślenia jest w Niemczech czy we Francji sytuacja, w której większość mediów lokalnych i regionalnych jest w posiadaniu spółki z obcym kapitałem. U nas 70–80 proc. prasy terenowej jest we władaniu kapitału niemieckiego. Ten problem dotyczy też rynku radiowego. Radio ZET i RMF FM, polskie podmioty, które na początku lat 90. otrzymały koncesje, a teraz są w obcych zagranicznych rękach, dominują na ogólnopolskim rynku radiowym. Podobnie wspomniane już ogólnopolskie stacje telewizyjne. Dlatego istnieje konieczność zbudowania silnej prywatnej ogólnopolskiej stacji telewizyjnej, jeżeli ma być prawdziwy pluralizm w mediach. Państwo powinno sprzyjać temu projektowi, tak jak wcześniej sprzyjało kształtowaniu się mediów prywatnych u ich początków. To państwo polskie jest właścicielem eteru, czyli wszystkich możliwych i dostępnych częstotliwości, których udziela w drodze koncesji. Bez akceptacji państwa żadna z wymienionych medialnych potęg nie powstałaby i nie rozwijałaby się tak skutecznie. Czy jesteśmy zadowoleni z tego kulawego w sumie pluralizmu medialnego? Czy jesteśmy zadowoleni z tego przymusowego w konsekwencji starcia między „Wiadomościami” a TVN? To pytanie zostawiam otwarte.

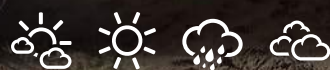
JEDZIESZ NA URLOP?

**PROGNOZA NA 25 DNI
DLA 3 MILIONÓW MIEJSC
W POLSCE I NA ŚWIECIE**

SPRAWDŹ POGODĘ NA INTERII!
AKTUALIZACJA CO 30 MINUT!



interia POGODA



SPRAWDZA SIĘ!



Marcin Makowski

„Fakty” i „Wiadomości” są jak lustrzane odbicia. Można się na ten stan oburzać, można jednak dostrzec, że ktoś – pierwszy raz od lat – odsłonił to, co było niewidoczne

Polska w lustrzanym odbiciu

Fakty” i „Wiadomości” są dla swoich widzów niczym Gondor i Mordor, Real i Barcelona, Imperium i Rebelia. Oczywiście to, kto jest kim, zależy od sympatii politycznych, ale nawet bez nich jedna rzecz wydaje się oczywista: pomiędzy flagowymi produkcjami TVN i TVP panuje nie mniejsza dychotomia. Aby się przekonać, jaka wizja Polski i świata przebija z obu przekazów, co je łączy, a co dzieli, przez siedem dni na przełomie maja i czerwca z notesem w ręku uważnie śledziłem oba serwisy informacyjne.

GDZIE KONFLIKT, TAM I WYBÓR

„Fakty” to program prywatnej stacji, natomiast „Wiadomości” to dzieło telewizji publicznej, od którego – jak twierdzą niektórzy – powinno się wymagać więcej. To błędne założenie. Czy od mediów prywatnych, tylko dlatego, że mają inne źródła finansowania, powinniśmy wymagać mniej? W dodatku sympatie ideowe mediów to zjawisko powszechne na całym świecie i nie ma od niego ucieczki. Skalę polaryzacji w USA lata temu przetarły telewizje CNN i Fox News. W Niemczech i we Francji rzeczą naturalną jest prezentowanie „propaństwowej” narracji przez publiczne

stacje telewizyjne i radiowe, w których niejednokrotnie rząd nakłada na niewygodne zagadnienia embargo informacyjne.

Przy ocenie konkurencyjnych mediów warto też pamiętać, że TVP od upadku komunizmu padała łupem partii politycznych, które mniej lub bardziej subtelnie dostosowywały obowiązujący przekaz do własnych interesów. Od SLD do Platformy Obywatelskiej każda władza z gębą pełną frazesów – również personalnie – formatowała telewizję publiczną do swoich potrzeb.

Z tego akurat względu obecna sytuacja oprócz licznych wad ma również swoje plusy. Największym z nich jest to, że przy niemożliwym do zasypania podziale i skrajnie odmiennych interpretacjach rzeczywistości w obu programach po raz pierwszy od ośmiu lat widz otrzymuje możliwość porównania percepcji rzeczywistości umownie określanych jako „Polska A” i „Polska B”. Przez prawie dekadę rządów PO-PSL „Fakty” i „Wiadomości” prezentowały ten sam obóz ideowy, stawiający na doszlusowanie do zachodnich elit i wyśnionych standardów. Nic się tam nie gryzło, Ziemia kręciła się we właściwym kierunku, Europa klepała Polskę po plecach, a Unia gwarantowała świetlaną

przyszłość. Dzisiaj, choć momentami brutalnie, można jednak owe punkty widzenia skonfrontować. Dowiedzieć się znacznie więcej, a przede wszystkim – oglądając oba serwisy informacyjne – zmusić się do refleksji. Jeśli to nie jest wzrost pluralizmu w mediach, to co nim jest?

PONIEDZIAŁEK 29.05

„Fakty” – Mam nadzieję, że to nie będzie spektakl polityczny – tymi słowami rozpoczyna się wydanie programu, a dotyczą one działania komisji weryfikacyjnej ds. dzięki reperywatyacji. PiS chce wezwać na przesłuchanie prezydent Warszawy, PO natomiast Jarosława Kaczyńskiego. „Władze stolicy, a także prawnicy, wskazują, że działalność komisji może być niekonstytucyjna. Hanna Gronkiewicz-Waltz nie zamierza stawić się na jej wezwanie” – słyszymy. I z takim przekazem o hucpie politycznej całego wydarzenia musimy pozostać.

Drugi, najbardziej rozbudowany materiał omawia działania rządu rok po audycie epoki PO-PSL. Audyt okazał się „jedną wielką kompromitacją”. Mówiono o „tsunami niegospodarności”, nie wszczęto natomiast (jak ustaliła „Gazeta Wyborcza”) obywatelskich śledztw, nie wyciągnięto wniosków.



Dopiero trzeci materiał traktuje o wynikach sekcji zwłok ofiar katastrofy smoleńskiej. Wypowiedź wdowy po gen. Kwiatkowskim o profanacji ciała męża i konkluzja: „Politycy PiS i PO wzajemnie obarczali się w poniedziałek winą za tę sytuację”. Czyli nic się nie stało, i tu, i tam ręce po trochu brudne. W dalszej części programu są informacje o państwowej działce przekazanej o. Tadeuszowi Rydzkowi, spotkaniu prezydentów Macrona i Putina w Wersalu („fundamentalne interesy Rosji i Francji są ważniejsze niż bieżące sprawy”) i na koniec o pojedynku na uściski dłoni Emmanuela Macrona i Donalda Trumpa, który wygrał ten pierwszy. „Ich uścisk dłoni trwał aż 6 sekund i to prezydent USA pierwszy wycofał rękę. – Musiałem pokazać, że nie będę szedł na małe ustępstwa – powiedział potem nowy prezydent Francji” – relacjonuje z dumą w głosie narrator. Amerykański bigot upokorzony.

„Wiadomości”. Otwarcie dnia: polskie czołgi z misją NATO na Łotwie. Drugi – najważniejszy i wyrazisty materiał – o szczątkach ośmiu ciał w trumnie gen. Bronisława Kwiatkowskiego. „Krewni żądają śledztwa, kulisy ekshumacji odsłaniają szokującą prawdę”. Słyszmy, że winę za taki stan rzeczy ponoszą nie tylko Rosjanie. Przypominane są wypowiedzi Bronisława Komorowskiego o „państwie, które zdało egzamin” i Lecha Wałęsy o „grzebaniu w umarlakach”. Cytaty skonfrontowane z faktami o barbarzyńskim traktowaniu zwłok właściwie komentują się same. Następnie materiał omawiający rządową walkę („z sukcesami”) ze złodziejską repressyją, zabiegi Putina i Merkel o przychyłność prezydenta Francji, którzy odwracają się plecami do USA, samorządowcy z wizytą u Andrzeja Dudy oraz

„ogolone łby ziejące nienawiścią” – czyli określenie członków ONR przez Różę Thun. W materiale o „mowie nienawiści” europosłanki w stosunku do „działalności legalnego ugrupowania”. I cytowana z TOK FM Thun, która się ze swoich słów nie wycofuje.

WTOREK 30.05

„Fakty”. Najważniejszy materiał dnia to pogrzeb Zbigniewa Wodeckiego. Po nim polityczne uderzenie bp. Tadeusza Pieronka, krytykującego postawę rządu w sprawie przyjmowania imigrantów, zestawione z (oczywiście bezdusznymi) słowami premier i obrazami topiących się w Morzu Śródziemnych dzieci. Wymowa czytelna – Kościół krytycznie o PiS, który nie ma Boga w sercu. Przesłuchanie Ewy Kopacz w prokuraturze w roli świadka w kwestii zaniedbań podczas sekcji zwłok w Moskwie podane zostaje jako krótka informacja bez komentarza. Następnie materiał o roli polskich sędziów w obronie demokracji (wypowiedzi samych krytyków Ministerstwa Sprawiedliwości). Pod koniec „Faktów” ironiczny komentarz do oświadczeń majątkowych posłów, z którego dowiadujemy się, że Beata Kempa sprzedała „niepopularne w KPRM” cinquecento, a minister Szyszko dziwnie wycenił nieruchomości. O uczciwości finansowej posłów wyrokuje po kolei: Tomasz Siemoniak, Rafał Trzaskowski i Katarzyna Lubnauer. Na finał materiał o kamerach na policyjnych mundurach w kontekście śmierci Igora Stachowiaka, „aby nie powtórzył się Wrocław oraz mógł się bronić zarówno obywatel, jak i policjant”.

„Wiadomości”. Serwis otwierają dwa materiały o odpowiedzialności za nieprawidłowości podczas chowania zwłok ofiar katastrofy smoleńskiej. Wynika

z nich, że winę ponoszą zarówno Ewa Kopacz, jak i politycy PO. Zestawienia cytatów z obecnym stanem wiedzy, emocjonalne wypowiedzi rodzin, krytyka pomysłów masowych mogił, które „mogły być dobrym rozwiązaniem po Smoleńsku”, na które wpadli politycy opozycji. W materiałach znalazły się fragmenty felietonów dziennikarzy „Gazety Wyborczej” z wypowiedziami o „nekropolityce” i konkluzja słów jednego z ekspertów: „Rosjanie postępowali jak w Katyniu. Mocne słowa, ale uzasadnione”. „Wiadomości” nie zostawiają suchej nitki na liderach Platformy. W kolejnych informacjach dowiadujemy się o przemilczanej przez „Fakty” wizycie Andrzeja Dudy w Gruzji (oczywiście „szlakiem Lecha Kaczyńskiego”), oporze sędziów przed zmianami („rząd chce podwyższyć standardy i znieść kastowość”), wydanie zamyka wspomnienie Zbigniewa Wodeckiego. Przez lata zamykanie programów informacyjnych rodzajem hołdu złożonego zmarłemu było standardem, niektórzy krytycy TVP uznali takie rozłożenie akcentów za skandal.

ŚRODA 31.05

„Fakty”. Wieczór rozpoczyna materiał krytyczny wobec decyzji prezydenta o ułaskawieniu ministra Mariusza Kamińskiego. Sąd Najwyższy orzeka o naruszeniu konstytucji przez Andrzeja Dudę, co potwierdzają wszyscy przepytani rozmówcy i eksperci. Niejako uzupełnieniem tego wątku jest relacja z groźnego incydentu na posiedzeniu SN, kiedy doszło do szarpaniny z policją i próby wyrwania broni jednemu z funkcjonariuszy. „Pogardliwe gesty zdaniem sędziów Sądu Najwyższego nie biorą się z niczego, tylko z trwającego od dawna ataku PiS na sądy i sędziów” – relacjonuje

■ dziennikarz. „Widać to przyzwolenie do mowy nienawiści, do ataku na sądy” – konkluduje Borys Budka. W połowie wydania oszczędna relacja z wizyty Kopacz w prokuraturze, spointowana wypowiedzią, że za sekcje zwłok odpowiada prokuratura, a ówczesna minister zdrowia była na miejscu z odruchu serca. „Fakty” kończą się relacją z nadzwyczajnego spotkania ministra Mariusza Błaszczaka z szefami policji (brutalność funkcjonariuszy, drugi tydzień przypominienia sprawy Igora Stachowiaka) oraz zapowiedzią, że UE planuje odcinanie funduszy krajom, które nie przestrzegają zasad praworządności. Może to tylko wrażenie, ale z materiału przebija jakaś dziwna satysfakcja.

„**Wiadomości**”. Otwarcie głównego wydania to zeznania Ewy Kopacz uzupełnione o odpowiedź strony rosyjskiej, która stwierdziła, że polskim władzom zależało na jak najszybszym pochowaniu ciał ofiar katastrofy smoleńskiej i dlatego nie dopilnowano procedur. Przypomniano Kopacz, że choć mówiła o pracy z rosyjskimi ekspertami „jak w jednej rodzinie”, to dzisiaj nikt w PO nie umie ustalić, w jakiej roli leciała ona do Moskwy i kogo reprezentowała. Decyzja Sądu Najwyższego doczekała się natomiast miażdżącej krytyki, poprowadzonej jak lustrzane odbicie „Faktów”. Eksperci bronili prawa prezydenta do ułaskawiania na dowolnym etapie postępowania, decyzja sędziów nazwana została „sędziokracją”, a przekaz o degrengoladzie środowiska uzupełnia materiał o korupcji w krakowskim sądzie apelacyjnym. Wydanie zamyka sprawozdanie z rządowych sukcesów w walce z oszustami podatkowymi oraz napiętnowanie niemieckich planów obciążenia dofinansowania unijnego dla Polski („rzekomo za naruszenie praworządności, faktycznie za nieprzyjmowanie imigrantów, ale rząd Beaty Szydło nie zamierza ulegać Brukseli”). Andrzej Duda wraca z Gruzji. Widz TVN nie dowiedział się, że tam był.

CZWARTEK 1.06

„**Fakty**”. Po kilkunastu zdawkowych relacjach informacji o profanowaniu zwłok ofiar katastrofy smoleńskiej „Fakty” odnajdują porządną narrację. Owszem, dodatkowe szczegóły w trumnie Lecha Kaczyńskiego to skandal, ale odpowiada za niego prokuratura, która dzisiaj tropi winnych poza swoimi szeregami. Jak relacjonuje reporter: „Prokurator w imię



szacunku do rodzin mógł sobie darować pewne szczegóły” anatomiczne sekcji. Materiał numer dwa to wyrazista krytyka decyzji prezydenta o nieuznawaniu wyroku Sądu Najwyższego, która podważa aktualny porządek prawny. „Czy zwykły Kowalski też może ignorować sądy?” – pyta dziennikarz. Na zamknięcie wydania przerażające obrazy z Sejmu Dzieci i Młodzieży, podczas którego apelowano o „zniszczenie Unii” oraz „mówiono »nie« imigrantom”. Quo vadis, Polsko?

„**Wiadomości**”. Ponownie bardzo ostro o wynikach sekcji zwłok i o tym, że „z nieznanых powodów polscy prokuratorzy zrezygnowali z przeprowadzenia sekcji w kraju”. Kolejny raz przypomniano, że politycy PO potrafili błyskawicznie przejmować władzę po katastrofie, ale nie umieli rzetelnie pochować ofiar. Następujący później materiał o „sędziach w natarciu” prezentuje alternatywną interpretację wyroku Sądu Najwyższego, podpierając decyzję prezydenta wieloma autorytetami prawniczymi, zgodnie z którymi Andrzej Duda miał prawo ułaskawić Mariusza Kamińskiego. Konkluzja? „Środowisko sędziowskie chce decydować o losie państwa”, na co nie można pozwolić. Dzień kończy fala sukcesów ekonomicznych rządu, informacje o wzrostach płac (sprzedawczyni w sklepie potwierdza: „Wcześniej ludzie kupowali margarynę, teraz kupują masło”). Jest również materiał o Dniu Dziecka i o tym, że w Sejmie niektórzy za bardzo wczuli się w rolę, krzycząc: „Lech Wałęsa”. Ani słowa o wystąpieniach, które cytowały „Fakty”. W „Wiadomościach” również informacja o szczycie klimatycznym, który odbędzie się w przyszłym roku w Katowicach. W konkurencji o tym cisza.

PIĄTEK 2.06

„**Fakty**”. „Polska po raz szósty w historii w Radzie Bezpieczeństwa ONZ”

– informują „Fakty”, przypominając, że to „zwieńczenie wysiłków dyplomatycznych rozpoczętych w 2009 roku”. Zaskakująco pozytywny materiał zwieńczony słowami Marcina Wróblewskiego o „ogromnym prestiżu dla Polski”. Dalej już miło nie jest. TVN wraca do sporu prezydent – Sąd Najwyższy, udowadniając, że profesorowie, których cytowała Kancelaria Prezydenta, dystansują się od swoich wcześniejszych wypowiedzi, których nie autoryzowali (ale w podręcznikach napisali). Dalej materiały o Trumpie ogłaszającym chęć wyjścia USA z traktatu paryskiego („Może gdyby wiedział, jak wiele środowisk, osób i państw go krytykuje, zastanowiłby się nad podjęciem tej decyzji”), kolejna odsłona dociekań, dlaczego prokuratura nie dopilnowała sekcji smoleńskich, i apel europosła Boniego o „mniej pychy w osądzaniu tamtych wydarzeń”. Dzień zamyka utrzymany w konwencji infotainmentu materiał o „zagubionych” dyskach z danymi z afery Amber Gold, które jednak się w gdańskim sądzie odnalazły. Karuzela śmiechu.

„**Wiadomości**”. „190:0” – tak program informacyjny TVP fetuje zwycięstwo Polski w ONZ. Jest o silnej pozycji kraju, o prezydencie, mężu opatrznościowym – ministrze Witoldzie Waszczykowskiem i „rezultacie, który przeszedł najśmielsze oczekiwania”. Oczywiście nie brakuje uszczypliwości względem opozycji, która chce się podpisać pod sukcesem rządu, a „dla Ryszarda Petru polskie osiągnięcie nic nie znaczy”. Ciekawie wypada zestawienie materiału o klimatycznej decyzji prezydenta USA. To, co dla „Faktów” jest skandalem, „Wiadomości” opisują jako troskę o tamtejsze miejsca pracy, którą „Polska z gospodarką opartą na węglu przyjęła ze zrozumieniem”. W antyestablishmentowym duchu przedstawione



FOT. TVN

zostały również przemówienie George'a Sorosa, apelującego o odebranie Polsce funduszy unijnych, oraz dwa materiały ukazujące zacierzowanie i korupcję w środowisku sędziowskim. Konkluzja polityczna dnia to reportaż o „opozycji, która straciła szansę, aby milczeć” w kontekście Smoleńska („Boni winą za zbezczeszczenia ciał obarcza rodziny i wszystkich, poza politykami PO”).

SOBOTA 3.06

„Fakty”. Najważniejsza informacja – Parada Równości w Warszawie. „Na paradzie pojawili się politycy i padły obietnice, jednak nie ze strony rządzących”. Protestujący apelują o standardy europejskie, twierdząc, że „czują się olani przez własne państwo”. Ani słowa o spotkaniu młodych w Lednicy. Oprócz tego relacja z Dnia Dziecka w kancelarii premiera oraz krytyka pomysłu na nowelizację Kodeksu karnego tak, aby prezydent mógł ułaskawiać na każdym etapie postępowania. „To nie »Raport Mniejszości«” – mówi dumny ze swojej analogii Petru, który nagle został ekspertem od prawa karnego.

„Wiadomości”. Finał Ligi Mistrzów w TVP1 to temat otwarcia. Oczywiście poza „sukcesem telewizji publicznej” nie zabrakło informacji o zwiększonym zagrożeniu terrorystycznym związanym z całym wydarzeniem. Dalej w duchu kontynuacji narracji z piątku o „końcu mitu izolacji” Polski na arenie międzynarodowej i opozycji, „która niby jest zadowolona” z miejsca naszego kraju w Radzie Bezpieczeństwa ONZ, ale „wbiła szpilki”. Następnie o zapewnieniach posła Nitrasy w Szczecinie na spotkaniu z byłymi esbekami, że jeśli Platforma wróci do władzy, to odkręci decyzje emerytalne rządu, a wszystko w kontekście przypomnienia rocznicy „nocnej zmiany”

i obalenia rządu Jana Olszewskiego, któremu nie udało się próba pełnej dekomunizacji Polski. Jest materiał o spotkaniu młodych w Lednicy jako fenomenie na skalę światową, jest o radnych Opola, którzy chcą powrotu festiwalu do miasta, nie ma natomiast ani słowa o Paradzie Równości.

NIEDZIELA 4.06

„Fakty”. Po zamachu w Londynie i panice w Turynie trzy pierwsze materiały w całości informacyjne na temat zagrożenia terrorystycznego w Europie. Główny przekaz polityczny dotyczy oczywiście rocznicy wyborów 4 czerwca 1989 r. „Fakty” ubolewają, że prezydent ten

„Wiadomości” pozwalają spojrzeć na rzeczywistość szerzej niż tylko przez pryzmat pochwały lewicowości i liberalizmu

święty czas spędził na pikniku, a premier na odpuszcie. „Ale to nie znaczy, że nie było obchodów rocznicy wyborów 4 czerwca 1989 roku. Odbyły się Marsze dla Demokracji – zaangażowali się byli prezydenci, opozycja i tysiące Polaków”. Władza kpi, suweren fetuje III RP. Przypomniano również skandaliczną sytuację, w której rocznicę „częściowo wolnych wyborów” obchodził w Polsce Barack Obama, a nie obchodzili jej politycy PiS. Po dniu zwłoki materiał o Lednicy, na której było 50 tys. pielgrzymów (oficjalne dane mówią o 80 tys.).

„Wiadomości”. Kolejny zamach omawiany jest w dobrze znanej konwencji „wojny cywilizacji”. Są cytaty rządzą-

cych o konieczności silnej i stanowczej reakcji oraz o strachu Europy, która na wybuch fajerwerków w Turynie zareagowała masową paniką. „Nie wystarczy współczucie” – mówi premier Szydło. „Należy odejść od poprawności politycznej i multi-kulti” – twierdzi minister Błaszczak. „Europa musi wstać z kolan” – dodaje prezes Kaczyński. Wszystkie materiały w kontrze do wypowiedzi polityków unijnych, „z których nic nie wynika”. Dalej o 80 tys. wiernych w Lednicy, Święcie Dziękczynienia i Roku św. Brata Alberta. Na koniec dwa wyraziste materiały o wyborach 4 czerwca jako „nadziei ludzi i kontrakcie elit” oraz raz jeszcze o przyczynach upadku rządu Olszewskiego. „Ówczesne elity chciały się pozbyć zespołu reformatörów”, natomiast w 1989 r. „Polacy chcieli pełnej, a nie dogadanej wolności” – taka narracja płynie z programu informacyjnego TVP. Zmowa w Magdalence nie jest powodem do radości, a ówczesne więzi obligują niektórych polityków po dziś dzień.

CO DALEJ?

Po szczegółowej tygodniowej obserwacji obu programów skala ideowego pęknięcia jednak zaskakuje. Nie chodzi nawet o przedstawianie tych samych wydarzeń raz jako klęski, innym razem jako zwycięstwa. We wszystkich wydaniach obu programów większość materiałów to po prostu różne wydarzenia. Inny obraz tego samego dnia. Odmienne akcenty. Tutaj nie było Parady Równości, tam prezydent nie polecał do Gruzji. Tam nie wspomniano o szczycie klimatycznym w Katowicach, tu przemilczano przekazanie działki redemptorystom z Torunia. W „Faktach” od tygodnia wspomina się o śmierci Igora Stachowiaka, „Wiadomości” od tygodnia krytykują Ewę Kopacz w kontekście sekcji zwłok ofiar katastrofy smoleńskiej.

Formatowanie wydarzeń do pożądane światopoglądu to w mediach informacyjnych to niestety chleb powszedni. To jednak „Wiadomości” robią wyłom w dominującym w Polsce przekazie. Jakkolwiek są momentami toporne, pozwalają spojrzeć na rzeczywistość szerzej niż tylko przez pryzmat pochwały europejskości, lewicowości i liberalizmu. Nikogo z odpowiedzialnego dbania o obiektywizm ten stan nie zwalnia, ale przynajmniej daje wybór. A to naprawdę dobry punkt wyjścia. © © Wszelkie prawa zastrzeżone

Niewygodny śledczy



Cezary Gmyz

Prokurator Marek Pasionek ujawnił, że dokument o braku zastrzeżeń do sekcji zwłok wykonanej przez Rosjan nie miał być podpisany przez polskie władze. Śledczy odradzali to Ewie Kopacz

Marek Pasionek, prokurator nadzorujący śledztwo w sprawie katastrofy smoleńskiej, nie krył zaskoczenia, gdy w ubiegłym tygodniu zobaczył dokument opublikowany przez Rosjan na wieść o wynikach ekshumacji ofiar w Polsce. Widnieje w nim, że strona polska nie wnosi żadnych zastrzeżeń co do przebiegu sekcji i identyfikacji ofiar katastrofy smoleńskiej.

ZATWIERDZONA NIEPRAWDA

To dokument, którego projekt Pasionek opiniował w 2010 roku. Tuż po katastrofie, w nocy z 13 na 14 kwietnia, on i prokurator płk Waldemar Praszczuk zostali zaproszeni do ówczesnej minister zdrowia Ewy Kopacz i ówczesnego szefa kancelarii premiera Tomasza Arabskiego. Członkowie rządu poprosili prokuratorów o konsultację prawną treści dokumentu przedstawionego przez Rosjan (prok. Praszczuk miał go podpisać w imieniu nowego prokuratora generalnego Andrzeja Seremeta). Śledczy rekomendowali, by dokumentu nie podpisywać.

Do ubiegłego tygodnia Pasionek był pewny, że ten dokument nigdy nie

zyskał rangi dokumentu urzędowego. Prawda okazała się inna. Bez wiedzy obu prokuratorów dokument został podpisany przez ówczesnego wiceministra spraw wewnętrznych Piotra Stachańczyka oraz Jacka Najdera – jako zastępcę ówczesnego szefa dyplomacji Radosława Sikorskiego.

Żaden z wiceministrów, którzy złożyli swoje podpisy, nie brał udziału w czynnościach w moskiewskim prosekstorium. Nie mieli też do tego żadnego prawa, bo 1 kwietnia 2010 roku nastąpił rozdział funkcji prokuratora generalnego od funkcji ministra sprawiedliwości.

Jednak i bez tego żaden z nich nie miał umocowania do zatwierdzenia takiego dokumentu. Można więc domniemywać, że nie tylko poświadczili nieprawdę, lecz także przekroczyli swoje uprawnienia.

Na domiar złego w dokumencie znalazło się sformułowanie, że strony polska i rosyjska zobowiązują się do tego, iż nie będą podawać do publicznej wiadomości informacji o wynikach próbek DNA.

Innymi słowy – Rosjanie mają obecnie podstawy, by głosić, że obecnie ujawniane wyniki stanowią złamanie

postanowień zawartych między krajami w 2010 r.

ROZBIJAJĄCY MAFIE

Warto przyjrzeć się sylwetce Marka Pasionka, który potrafił powiedzieć Rosjanom „nie”, zwłaszcza w sytuacji, kiedy to on jest atakowany za winy popełnione przez obóz rządzący w 2010 r. I w sytuacji, gdy za swoją niezłomną postawę w sprawie Smoleńska był systematycznie prześladowany przez prawie pięć lat przez poprzednie władze prokuratury.

Nawet ludzie mu niechętni mówią o nim „urodzony pezetowiec”. To skrót od sformułowania PZ oznaczającego wydziały ds. przestępczości zorganizowanej. Pracujący w nich śledczy uchodzą za elitę polskiej prokuratury. Prowadzą najcięższe sprawy dotyczące przestępczości mafijnej. Pasionek ścigał przestępczość zorganizowaną w czasach, kiedy w oficjalnej narracji twierdzono, że coś takiego jak mafia w Polsce nie istnieje.

– Marka Pasionka poznałam osobiście dopiero po katastrofie smoleńskiej. Jednak już od lat 90. od swojego ojca słyszałam o jego osiągnięciach. Był to człowiek, który przywrócił spokój





FOT. GRAŻYNA WISŁIŃSKA/FOTUMA

w Krakowie – mówi posłanka PiS Małgorzata Wassermann, szefowa komisji śledczej ds. Amber Gold.

Upadek komunizmu w 1989 r. stworzył próżnię, którą zaczęły wypełniać zorganizowane grupy przestępcze. Prasa relacjonowała mafijne wojny. Zmaganiem Pruszkowa z Wołominem pasjonowała się cała Polska. Jednak sytuacja na południu kraju, zwłaszcza w Katowicach i Krakowie, nie była tak szeroko opisywana, a mafijne wojny między konkurencyjnymi gangami były tam nie mniej krwawe.

– Krakowski wymiar sprawiedliwości kompletnie nie radził sobie ze zorganizowaną przestępczością – wspomina Wassermann. – Bandyckie porachunki odbywały się niemal w świetle dnia na krakowskim rynku. Mój ojciec, który się tym zajmował jako prokurator, był przekonany, że przestępcy korzystają ze swoistego rodzaju krysy, czyli ochrony ze strony organów ścigania i polityków. Postanowił wykorzystać młodego prokuratora ze Śląska, który zasłynął ze ścigania grup przestępczych, kiedy pracował w rejonówce w Gliwicach.

PasioneK, pracując na najniższym szczeblu prokuratury w Gliwicach, miał

się już czym pochwalić. Współpracując z młodymi funkcjonariuszami policji, doprowadził do rozbicia śląskich grup przestępczych. W sprawach o zabójstwa, napady rabunkowe z bronią na banki i kantory wymiany walut, wymuszenia rozbójnicze, gwałty i kradzieże dokonywane przez zorganizowane grupy przestępcze „Sandokana”, „Czosnka” i „Pokida” posłał członków gangów za kraty na długie lata. Do historii prokuratury przeszedł, uzyskując w sądzie pierwsze po zniesieniu kary śmierci dożywocie na Śląsku dla Wiesława K. ps. Psychik. Oskarżył go o wielokrotne zabójstwa i napady.

SILNA PSYCHIKA

Do Krakowa, rządzonego wówczas twardą przestępczą ręką Janusza T. ps. Krakowiak, Marek PasioneK przyjechał wraz z grupą zaufanych funkcjonariuszy policji. Szybko zorientował się, że przestępczość zorganizowana w Małopolsce nie ma tylko charakter lokalny. Ścierały się tam wpływy największych grup przestępczych działających w całym kraju.

O wpływy rywalizowali w mieście również Janusz K. „Kawa” z grupy wo-

mińskiej oraz Marek M. „Oczko” z grupy szczecińskiej i miejscowy bonzo „Marchewa”. Prokuratura uzyskała wówczas nowe narzędzia do ścigania przestępczości zorganizowanej – świadka incognito, świadka koronnego czy zakup kontrolowany. PasioneK wiedział, jak tego użyć. W rezultacie za kratami znaleźli się najgroźniejsi przestępcy w Polsce.

– To człowiek o niezwykle silnej psychice. Długo przed Smoleńskiem widział takie rzeczy, które żołnierza po Afganistanie czy Iraku klasyfikowałyby do kliniki stresu bojowego. On dawał radę – mówi jeden z jego znajomych prokuratorów. To prawda. Wystarczy przeczytać tylko jeden z fragmentów sformułowanego przez niego aktu oskarżenia, i to nie najbardziej drastyczny: „Na terenie dworca PKP w Krakowie wzięli udział w pozabawieniu wolności połączonym ze szczególnym udręczeniem Tomasza Góry, a następnie na terenie Krakowa i Zabierzowa Mariusz SzelaK, Robert Mierzyński i Andrzej Nawrocki wspólnie z wymienionymi osobami dokonali pobicia Tomasza Góry, którego popychali, przytrzymywali, bili rękoma, pięściami, kopali po całym ciele,

■ a także wielokrotnie uderzali stylem od siekiery po nogach, rękach i plecach, narażając w ten sposób na bezpośrednie niebezpieczeństwo utraty życia, w wyniku czego pokrzywdzony doznał otarć naskórka i rozległych podbiegnięć krwawych na całym ciele, podbiegnięć krwawych powłok czaszki, złamania kości podstawy czaszki, pęknięcia wątroby, stłuczenia mięśni grzbietu i pośladka prawego, złamania obu kości podudzia lewego i kości strzałkowej prawej, w następstwie czego zmarł w dniu 7 listopada 1999 r. z powodu wykrwawienia”.

„Buncol”, „Master”, „Maszek”, „Kozioł”, „Posti”, „Klakier”, „Wołek” czy „Kargul”.

PRZEŁOM 2010

Przez kolejne lata Pasionek dał się jeszcze wielokrotnie we znaki przestępcom. Ściągał m.in. mafiosa Richardo Fanchiniego oraz osławionych Kunę i Żagla.

W 2005 r. Zbigniew Wassermann, szukając kandydata na swojego zastępcę jako koordynatora ds. służb specjalnych, długo się nie zastanawiał. Wtedy po raz pierwszy pojawiły się zarzuty, że Pasionek angażuje się w politykę. Pasionek odpowiadał na ten zarzut, kandydując

poinformowany, że wszystkie sekcje zwłok zostały już wykonane. Warto przypomnieć, że – wbrew temu, co twierdzą dziś TVN i „Gazeta Wyborcza” – Pasionek nie nadzorował wówczas śledztwa smoleńskiego. Pojechał na miejsce tragedii jako szeregowy prokurator. Nadzór nad śledztwem został mu powierzony dopiero 5 maja 2010 r., kiedy wszystkie ofiary katastrofy zostały już pochowane.

– O postawie prok. Pasionka w Moskwie mogę mówić tylko w samych superlatywach. Dopiero wtedy poznałam go osobiście. Chłodny profesjonalista, odkładał emocje na bok – mówi Małgorzata Wassermann. – Powiedział, że za wszelką cenę odnajdzie ciało mojego ojca. I tak się stało. Nie ma drugiej takiej osoby, która włożyłaby w śledztwo smoleńskie tyle zaangażowania. Jeśli jest ktoś, kto jest w stanie wyjaśnić, co się wtedy stało, to tylko on – uważa.

Jednak nie wszystkim zaangażowanie Pasionka było na rękę. Nadzorując śledztwo, miał wiele uwag dotyczących pracy prokuratorów. To doprowadzało do szału jego ówczesnego przełożonego – płk. Krzysztofa Parulskiego. 10 czerwca 2011 r. Pasionek zastał przed drzwiami swojego gabinetu Żandarmerię Wojskową. Przeszukano mu gabinet, a następnie go zapieczętowano. Powód? Dziennikarz TVN 24 Maciej Duda, dzwoniąc do kpt. Maksjana z biura prasowego prokuratury wojskowej, zasugerował, że Pasionek przekazuje informacje ze śledztwa innym dziennikarzom. Maksjan sporządził na ten temat notatkę, która wywołała lawinę. Do tego doszły zarzuty o szpiegostwo na rzecz USA. Tylko dlatego, że Pasionek chciał uzyskać pomoc od Amerykanów przy wyjaśnieniu tragedii smoleńskiej. Prawie pięć lat śledztwa i postępowania dyscyplinarnego nie potwierdziły żadnego z zarzutów. Postępowania toczyły się z wyłączeniem jawności. Dość powiedzieć, że informacje o ich wynikach pojawiły się dopiero rok po ich uprawomocnieniu.

Dzisiaj Pasionek po raz kolejny jest przedmiotem medialnej nagonki. – Owszem, przeżywa to. Jednak wiem, że się nie ugnie – mówi Piotr Pszczółkowski, sędzia Trybunału Konstytucyjnego, który przez wiele lat współpracował z Pasionkiem w wyjaśnianiu tragedii smoleńskiej.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Polscy urzędnicy podpisali dokument, w którym potwierdzili, że nie mają zastrzeżeń do sekcji zwłok ofiar katastrofy. Na zdjęciu: Rosjanie niosą trumnę z prezydentem Lechem Kaczyńskim w Smoleńsku 11 kwietnia 2010 r. FOT. ITAR TASS/FORUM

Tak wyglądała codzienność w pracy Pasionka. Przestępcy szybko zdali sobie sprawę, jakim jest dla nich zagrożeniem. Ponad bandyckimi podziałami wydały na niego wyrok śmierci. Przez kilka lat dzień i noc Pasionek korzystał z policyjnej ochrony. Po rozbiciu gangu „Krakowiaka” nie odpuścił. Pustkę po krakowskiej wojnie gangów usiłowały wypełnić grupy „Pyzy” i „Kaczora”. Również oni oraz 27 członków ich gangów za sprawą Pasionka trafili za kraty.

W latach 1993–1997 kolejni ministrowie sprawiedliwości przyznawali mu nagrody specjalne za szczególne osiągnięcia w pracy śledczej. Wśród bandytów odsiadujących kary dożywocia i długoletniego więzienia w oddziałach dla tzw. esenów, czyli więźniów szczególnie niebezpiecznych, Pasionek do dziś ma liczny fanklub: „Blacha”, „Czarny”, „Loczek”, „Małolat”, „Bagieta”,

na stanowisko prokuratora generalnego. – Działalności tej chcę poświęcić kilka zdań, ponieważ gdziekolwiek pojawia się informacja na temat mojej osoby, to ten fragment mojego życiorysu zawodowego jest przedstawiany jako uprawianie polityki w „czystej postaci”. Nic bardziej błędnego, wynika to jednak z nieznamomości tematu. Jestem i byłem osobą bezpartyjną, a moja działalność jako podsekretarza stanu w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów miała wymiar wyłącznie merytoryczny. Proszę nie mylić polityki z partyjnością – mówił w 2009 r.

Rok później jego życie się zmieniło. 12 kwietnia został wysłany do Smoleńska. Wyleciał wojskową casą, siedząc na trumnach przeznaczonych na zwłoki ofiar katastrofy. Na miejscu okazało się, że ma natychmiast udać się do Moskwy, by wspomóc pracujących już tam prokuratorów. Kiedy tam dotarł, został

STRAŻNIK PAMIĘCI 2017



*Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości, ten nie jest
godzien szacunku, teraźniejszości ani prawa do przyszłości.*

Józef Piłsudski



V EDYCJA NIEZWYKŁEJ NAGRODY

PARTNERZY STRATEGICZNI:



PARTNER GŁÓWNY:



PARTNER WYDARZENIA:



MECENAS:



WIĘCEJ INFORMACJI NA
www.dorzeczy.pl/straznik-pamieci/
eprasa.pl 80fc8579fd



Jak Kreml gra Smoleńskiem



Maciej Pieczyński

Rząd Platformy odpowiada za pomylenie ciał, a PiS prześladowuje rodziny ofiar, by dopaść Tuska. Według kremlowskiej narracji tragedia smoleńska to wewnętrzny problem polskiej polityki

Maria Zacharowa, rzeczniczka rosyjskiego MSZ, stwierdziła, że „identyfikacją szczątków ofiar katastrofy zajmowali się polscy urzędnicy”

FOT. ANADOLU AGENCY/CETTY IMAGES



Wyniki ekshumacji nie wzruszyły Rosjan tak, jak wstrząsnęły polską opinią publiczną. „W trumnie Kaczyńskiego znaleziono szczątki jeszcze dwóch ciał” – pisze lakonicznie agencja RIA Novosti. Siergiej Andriejew, rosyjski ambasador w Warszawie, już wcześniej zaznaczył, że szczątki ciał ofiar katastrofy smoleńskiej znajdowały się w Rosji jedynie trzy dni i że w tak krótkim czasie możliwa była jedynie pobieżna identyfikacja. Według Andriejewa „Moskwa wychodziła z założenia, że cała niezbędna procedura zostanie przeprowadzona w Polsce”.

Jak informuje portal Tsargrad.tv, Maria Zacharowa „przypomniała, że w tamte dni do zbadania tragedii zostali zaangażowani najlepsi rosyjscy specjaliści, a identyfikacją szczątków ofiar katastrofy zajmowali się już polscy urzędnicy”. „Uważamy za absolutnie zmyślane i błędne oskarżenia pod adresem rosyjskich specjalistów, którzy w tym ciężkim czasie wypełnili swój zawodowy obowiązek” – stwierdziła Zacharowa. Wcześniej rzeczniczka MSZ ostro krytykowała ministrów Macierewicza i Waszczykowskiego za „trudne do komentowania antyrosyjskie wycieczki”, „rusofobiczne wypowiedzi” i „absurdalną sugestię, jakoby strona rosyjska miała coś wspólnego z przyczynami katastrofy”. Maria Zacharowa konstatowała, że „takie nieodpowiedzialne, prowokacyjne wypowiedzi odzwierciedlają wewnętrzną sytuację polityczną w Polsce”. Podkomisję smoleńską nazwała „nie wiadomo po co utworzoną”, a stwierdzenie jej przewodniczącego, Wacława Berczyńskiego, o ukrywaniu ważnych informacji dotyczących przyczyn tragedii skomentowała emocjonalnie: „to już w ogóle dno”, „obskurantyzm poza prawem i ludzką moralnością”, bo przecież „wszystkie dowody zostały przekazane oficjalnie stronie polskiej”.

W zeszłym tygodniu rosyjski MSZ opublikował podpisany w 2010 r. przez polskich urzędników (z MSZ i MSWiA) protokół dotyczący „niektórych kwestii” związanych z identyfikacją ciał ofiar. W dokumencie można przeczytać m.in., że „strona polska nie zgłosiła żadnych pretensji” odnośnie „przeprowadzonych czynności i ich rezultatów”.

WINNI POLACY

Smoleńsk jako zwierciadło wewnętrznego sporu politycznego w Polsce to wizja typowa dla rosyjskiej narracji. Kreml i rezonujące jego głos media próbują przed-

stawić nowe próby wyjaśnienia przyczyn katastrofy jako rozgrywkę między Kaczyńskim i Tuskiem, a nie jako realny problem w relacjach polsko-rosyjskich. Dmitrij Kulikow, rosyjski publicysta, stwierdził, że skoro strona polska za czasów Platformy podpisała dokumenty dotyczące rosyjskich ustaleń, to nowe polskie władze powinny postawić przed sądem właśnie swoich poprzedników. „Polska nie ma co prawda swojej Syberii, żeby tam zesać winnych, ale na pewno znajdzie sposób na ich ukaranie” – ironizował. Co ciekawe, mówił to z teoretycznie obiektywnej pozycji prowadzącego program „Prawo głosu” w rosyjskiej państwowej telewizji. Komentował też: „Obecne zarzuty strony polskiej są raczej polityczne, nie znalazłem żadnego konkretnego”, dając tym samym do zrozumienia, że jeśli już ktoś powinien ponieść odpowiedzialność, to właśnie polscy politycy i urzędnicy.

W tej samej audycji Jewgienij Tarło, szef fundacji Państwo Prawa, stwierdził, że Polacy „cynicznie kłamią”, szukając winnych w Rosji, ponieważ śledztwo było bardzo profesjonalnie przeprowadzone. „Jak wam nie wstyd grać na kościach ofiar tej tragedii?!” – oburzał się. W roli autorytetu w dziedzinie lotnictwa wystąpił Igor Korotczenko, redaktor naczelny magazynu „Obrona Narodowa”. Bronił ustaleń strony rosyjskiej, twierdząc jednoznacznie, że nad wyjaśnieniem przyczyn pracowali wybitni i doświadczeni eksperci, którzy z pewnością sprawdzili każdy detal, nie mogą się więc mylić. Bo to, że jedynym celem MAK było dotarcie do prawdy, jego zdaniem nie może być oczywiście przedmiotem jakichkolwiek wątpliwości.

Co innego Polacy – ci mogą mieć nieczyste intencje, a wręcz z pewnością je mają. „Jeśli ktoś w Polsce próbuje dowodzić, że Rosja fałszuje rezultaty śledztwa, to jest to podłe kłamstwo” – grzmiał Korotczenko. Redaktor naczelny, specjalistycznego czasopisma o tematyce obronnej, okazał się być także ekspertem w dziedzinie mentalności narodowej. „Polacy mają husarskie dusze. Pamiętamy przecież polską konnicę, która świadomie wykrwawiała się w beznadziejnych szarżach na czołgi Guderiana” – stwierdził Korotczenko. Tragedię smoleńską, zgodnie z wykładnią rosyjskiej propagandy, określił właśnie jako rezultat stereotypowej polskiej brawury, powtarzając m.in. prostowane wielokrotnie informacje o pijanym gen. Błasiku.

KSIEGARNIA



WYBIERAMY
RECENZUJEMY
REKOMENDUJEMY

DO KAŻDEGO ZAMÓWIENIA

PREZENT



Konieczna rejestracja w sklepie.
Oferta ważna do 18 czerwca 2017 r.



ZAMÓW:
www.ksiegarniadorzeczy.pl

☎ 12 431 25 78

– W Rosji generalnie się uważa, że nowe śledztwo polskich władz jest przede wszystkim rezultatem wewnętrznej walki politycznej w samej Polsce. Jedna partia chce dobić drugą, a katastrofa smoleńska jest wykorzystywana jako emocjonalne narzędzie sporu. Antyrosyjski temat świetnie się do tego nadaje – mówi „Do Rzeczy” Siergiej Michiejew, prokremlowski politolog. – Nawet jeśli przyjąć na wiarę nowe polskie ustalenia, to powstaje przynajmniej jedno pytanie: Jeśli na pokładzie doszło do wybuchu, to co z tym wspólnego mają rosyjscy kontrolerzy lotu? Jeśli na pokładzie cokolwiek się wydarzyło, to jest to wina polskiej strony.

– W Moskwie przyjęto wyborcze zwycięstwo PiS jako triumf sił antyrosyjskich, bo też takie jest wyłączone kryterium oceny: albo jest się za Rosją, albo przeciwko niej – ocenia Aleksander Sytin, politolog o poglądach liberalnych. – Temat katastrofy smoleńskiej generalnie nie jest interesujący dla Rosjan. Także w kręgach liberalnej opozycji, która bardziej martwi się o własny elektorat niż o sprawy polskie. Z pewnością nikt ze strony rosyjskiej nie będzie się angażować w to wszystko – dodaje.

POLOWANIE NA TUSKA

Skoro Smoleńsk to „wewnętrzna sprawa Polski”, to zgodnie z manichejskim, pełnym emocji charakterem kremlowskiej publicystyki ktoś musi tu grać rolę czarnego charakteru, a ktoś musi być pokrzywdzony. Oczywiście tym pierwszym jest Jarosław Kaczyński. W obwinianiu go o wywołanie tragedii rosyjskie media są prawie tak zdecydowane jak Lech Wałęsa. Nie mają wątpliwości, że to właśnie brat zmarłego prezydenta jest dziś najważniejszym człowiekiem w Polsce. Ze świecą jednak szukać zrozumienia dla jego osobistej traumy. Dla Rosjan to cyniczny demiurg, który nie dość, że doprowadził do śmierci własnego brata, to jeszcze sprawę Smoleńska wykorzystuje wyłącznie po to, by dopaść swojego politycznego wroga numer jeden. Nie jest nim, zdaniem Rosjan, Władimir Putin, ale Donald Tusk.

Oleg Barabanow, politolog z Moskiewskiego Państwowego Instytutu Spraw Międzynarodowych, twierdzi wprost, że obecny szef Rady Europejskiej był „mądrym liderem”, który nie dość, że potrafił wykorzystać środki unijne, by wesprzeć rozwój wschodnich regionów Polski, to jeszcze efektywnie pracował nad poprawą

stosunków na linii Warszawa – Moskwa. Rosyjski ekspert nazwał tragicznie zakończoną wizytę Lecha Kaczyńskiego w Katyniu „nieoficjalną, prywatną” wizytą. Według Barabanowa prezydent odmówił udziału we wspólnych z Tuskiem „oficjalnych” uroczystościach z powodu własnej małostkowości i snobizmu. Tymczasem Tusk i Putin wspólnie przybyli do Smoleńska wieczorem 10 kwietnia, by „pochylić się nad szczątkami samolotu”. Tego wieczoru na miejsce tragedii przybył także Jarosław Kaczyński, ale to nie ma znaczenia, ponieważ jego celem, zdaniem Barabanowa, od początku było „wylewanie pomyj” na swojego przeciwnika. Sojusznikiem w krucjacie przeciwko „wybitnemu liderowi” są... Amerykanie. „Komuś w Waszyngtonie nie podoba się twarda pozycja Tuska w sprawie umowy transatlantyckiej i dlatego biją go od wewnątrz” – twierdzi Barabanow. Celem całej smoleńskiej awantury jest więc, wedle rosyjskiej narracji, „upolowanie” Tuska.

„Siedem lat wymuszonej żałoby” – tak Walerij Masterow na łamach wydania „Niezawisimej Gazety” podsumował narrację PiS w sprawie katastrofy smoleńskiej. Co bardzo charakterystyczne dla rosyjskiej propagandy, w swoim materiale cytuje wyłącznie rozmówców potwierdzających z góry założoną tezę. W tym więc przypadku bohaterami opowieści o „polskim Smoleńsku” są jedynie przeciwnicy PiS. O okolicznościach tragedii pisze w tonie oczywistej prawdy, raz na zawsze dowiedzionej przez „polskich i rosyjskich ekspertów”, którzy „już w 2011 roku przedstawili oficjalne przyczyny katastrofy”.

Politolog Oleg Barabanow twierdzi, że Donald Tusk był „mądrym liderem”, który efektywnie pracował nad poprawą stosunków z Rosją

Zdaniem Masterowa celem comiesięcznych manifestacji pod Pałacem Prezydenckim jest utwierdzenie narracji o spisku Platformy Obywatelskiej z Moskwą. Rosyjski dziennikarz uważa, że „coraz trudniej jest organizować smoleńskie miesięcznice”. I to wcale nie dlatego, że niewielka w porównaniu ze zwolenni-

kami PiS grupa radykałów z przeciwnej strony barykady bardzo stara się, by te uroczystości możliwie skutecznie zakłócić. Przyczyna jest, według Masterowa, o wiele poważniejsza, bo to „Polacy zmęczyli się rolą zakładników wymuszonej żałoby i narzuconego odgórnie przez PiS rytuału”. To typowy dla rosyjskiej narracji zabieg. Jak stwierdził Dmitrij Kulikow, „nie każdy Polak to rusofob, ale rusofobią kierują się polskie władze”. Bo przecież „zwykli Polacy” nie życzą sobie „rozgrzebywania starych ran”. Masterow przypomina, jak to Jarosław Kaczyński musiał w Krakowie wysłuchiwać okrzyków manifestantów skandujących: „Polska wolna bez Kaczora!” czy „Zatrzymać upartyjnienie Wawelul!”. To, że protestujący blokowali prezesowi PiS dostęp do grobu brata, dla rosyjskiego dziennikarza nie jest najwyraźniej niczym nagannym.

ŚLEDZTWO TRWA

Rosyjska narracja nie przewiduje współczucia dla emocji Jarosława Kaczyńskiego czy bliskich tych ofiar, których ciała zostały zbezczeszczone. Natomiast już zdecydowanie liczą się przeżycia tej części rodzin smoleńskich, które nie zgadzają się z polityką PiS. W rosyjskich mediach często występuje Paweł Deresz. Pars pro toto reprezentuje on rodziny ofiar właśnie. Te słuszne z punktu widzenia rosyjskiej propagandy. „Dwupiętrowy dom pod Warszawą. To tutaj od sześciu lat samotnie żyje Paweł Deresz” – od tej emocjonalnej wstawki narratora rozpoczyna się fragment rosyjskiego reportażu pt. „Samolot Kaczyńskiego”, dotyczący traumy wdowca po Jolancie Szymanek-Deresz. „Pożegnałem się z żoną o godzinie 5 rano, zapytała jeszcze, czy jest właściwie ubrana na tę smutną okazję, prosiła, bym czekał z kolacją [...] taką ją pamiętam, dlatego nie chcę ekshumacji. Wiem, że w trumnie nie znajdę już tej swojej pięknej, ukochanej żony, tylko jakieś szczątki, kości, nie chcę tego znowu przeżywać” – mówi rosyjskiemu dziennikarzowi. Trauma Pawła Deresza jest oczywiście godna wielkiego szacunku i współczucia, ale faktem jest, że wykorzystuje ją rosyjska propaganda.

– Kreml wciąż powtarza, że śledztwo trwa, ale nie jest normalne, by trwało ono aż siedem lat – uważa Nikita Pietrow ze stowarzyszenia Memoriał. – Najpewniej strona rosyjska będzie tak długo przeciągać tę sprawę, aż wszyscy o niej zapomną – dodaje.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

*Piotr Semka*

Ci, którym po 1989 r. powiodło się w polityce, nie mieli głowy do pochylania się nad tymi, którym poszczyło się mniej. Prostym żołnierzom Solidarności w III RP wiedzie się gorzej niż ich oprawcom. Czy to się zmieni?

Bohaterowie są zmęczeni

Rok 1982, stan wojenny w Polsce.
Więzienie na Białoleścu

FOT. ARCH. TOMASZA MICHAŁAKA/FOTONOVA

Dwa tygodnie temu zmarł Tadeusz Jedynek, niegdysiejszy lider górnośląskiej Solidarności. W największych mediach pojawiły się na ten temat tylko skąpe wzmianki. Nigdzie nie zauważyłem większego tekstu o postaci, która była kiedyś jednym z liderów solidarnościowej rewolucji. Jeden z przywódców strajku w Jastrzębiu w sierpniu 1980 r., internowany po 13 grudnia. Po zwolnieniu z obozu internowania w latach 1982–1983 bez wahania wszedł do władz podziemnej Solidarności jako członek Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej. Złapany przez SB w czerwcu 1985 r., ponad rok przesiedział w więzieniu zwolniony dopiero na mocy amnestii we wrześniu 1986 r. Krótko mówiąc – w najgorszych czasach solidarnościowej „konspiracy” bohater z pierwszej linii.

Jednak na jego pogrzeb prezydent Andrzej Duda wysłał tylko społeczną radczynię, która odczytała list od głowy państwa. Lech Wałęsa także nie raczył się pofatygować, choć i on przysłał list. Tylko obecność lidera NSZZ „Solidarność” Piotra Dudy i kolegów z podziemia – Bogdana Borusewicza i Zbigniewa Bujaka – nadała uroczystości pogrzebowej pewną rangę. Miesiąc wcześniej w Gdańsku zmarł Alojzy Szablewski – wieloletni szef Solidarności w Stoczni Gdańskiej i lider strajków w maju i sierpniu 1988 r. Owszem, zmarłego pożegnali arcybiskup metropolita gdański Sławoj Leszek Głódź i prezydent miasta Paweł Adamowicz, była asysta wojskowa, ale o tym pogrzebie pisały już tylko lokalne, gdańskie media. A przecież bez strajków z 1988 r., którym przewodził Szablewski, nie byłoby przełomu w 1989 r.

Dlaczego bohaterowie z lat epopei „pierwszej Solidarności” i okresu podziemia lat 1981–1989 tak szybko znikli ze zbiorowej pamięci? A przecież mówimy o postaciach z pierwszego szeregu, którzy byli kiedyś na ustach wszystkich, których nazwiska znał każdy czytelnik podziemnych gazetek. Jeśli oni zatarli się w zbiorowej pamięci, to co mówić o tysiącach działaczy drugiego i trzeciego szeregu? Mniej znanych, ale często – właśnie z tego powodu – nieporównanie ostrzej represjonowanych i więzionych przez komunistyczną bezpiekę. Ich nazwiska rzadko trafiały na antenę Radia Wolna Europa.

PANOM JUŻ DZIĘKUJEMY

„To ci ludzie, liderzy małych regionów i zakładowych struktur Solidarności, zapłacili najwyższą cenę za zmiany po 1989 r.”

– wskazuje Adam Borowski, były działacz podziemia. „Im dalej przebiegała tak zwana transformacja – tym szybciej znikwały ich zakłady pracy. Im mniejsza fabryka – tym prędzej. Dawni PZPR-owcy szydzili z nich, że »wystrajkowali likwidację swoich fabryk«” – mówi Borowski.

Przeciętni liderzy zakładowej Solidarności z lat 1980–1981 urodzili się między 1940 a 1955 r. W Sierpniu ’80 mieli po 25–40 lat. Gdy upadła PRL, byli jeszcze za młodzi na emeryturę, ale często już wyniszczeni psychicznie i fizycznie represjami i upokorzeniami. Przez „stawianie się” władzy latami nie awansowali. Pobyt w obozach internowania i więzieniach bardzo często wyniszczył im zdrowie. Na dodatek za udział w „konspirze” niekiedy płacili rozwodami lub konfliktami rodzinnymi. Nikt do tego nie lubi wracać, ale wystarczy wdać się w rozmowę z weteranami „S”, by takich przypadków sporo naliczyć.

Dlaczego nie zrobili karier w już legalnym po 1989 r. NSZZ „Solidarność”?

Nowy związek stawiał na profesjonalizm i do legalnego aparatu potrzebował innych ludzi. Bardziej aparatczyków niż weteranów z traumami ze stanu wojennego. Zaczęła się specjalizacja – trzeba było umieć załatwić forsy na szkolenia w ramach grantów z funduszy unijnych czy dotacji z amerykańskich central związkowych. Dobrze widziane zaczęły być znajomość języków i zmysł wolnorynkowy. A wielu ludzi, którzy sprawdzili się w stanie wojennym, w wieku 50–55 lat nie pasowało do nowych standardów.

Gdy w końcu lat 90. odchodzili na emeryturę, odkrywali, że ich prześladowcy z zakładowych organizacji PZPR dostawali znacznie wyższe świadczenia, bo w czasie, gdy oni „podskakiwali”, ci pieł się w służbowej hierarchii.

Niekiedy minimalistycznym, ale jakimś wybawieniem były renta zdrowotna lub dodatek za działalność opozycyjną. Jednak droga urzędnicza do ich otrzymania dla wielu okazuje się zbyt żmudna.

Krzysztof Wyszowski, były działacz Wolnych Związków Zawodowych, mówi: „Często są to ludzie wyniszczeni i samotni. Przeżycia stanu wojennego wywoływały ciężkie kryzysy nerwowe, na które na zasadzie reakcji łańcuchowej nałożyły się ciężkie choroby. W latach rządów Jaruzelskiego ci ludzie nie dbali specjalnie o siebie, żyli ideą. W pełni pochłaniała ich walka podziemna i byli po prostu niedoleczeni. Po przejściu pięćdziesiątki nakłada się na

to wiek. No i ma pan syndrom wypalonego opozycjonisty wyżętego przez przeszłość”.

Coś w tym jest. Piotr Bednarz, członek podziemnej TKK, zmarł w 2009 r., mając 60 lat. Tyle samo lat miał w chwili śmierci Zbigniew Gach – dziennikarz podziemia i autor słynnej niegdys „Konspiracy”, zbioru wywiadów z liderami podziemia z lat 80. Wspomniany na początku tekstu Tadeusz Jedynek zmarł w wieku 68 lat.

Prości żołnierze podziemnej armii Solidarności szybko gorzknieli. „Przeklinali zmiany, bo czuli się oszukani” – wskazuje Borowski. A gdy chcieli iść do sądu procesować się o odszkodowania od państwa za internowania czy areszty, słyszeli aroganckie pouczenia od Adama Michnika, że to nie wypada wyceniać więziennych lat na złotówki.

W najlepszej sytuacji były gwiazdy ruchu solidarnościowego – Bujak, Boni, Frasyniuk, Rulewski. Ich rozchwytywały największe partie. Inni, tacy jak Tadeusz Jedynek, nie trafiali na politycznej loterii. Jedynek postawił po 1990 r. na Unię Pracy, ale partia Ryszarda Bugaja szybko przestała się liczyć w politycznej rywalizacji.

Jeszcze innym wielkim samotnikom, takim jak np. Kornel Morawiecki, pomagał przypadek – np. wybitny syn, który umiał zadbać o przypomnienie legendy Solidarności Walczącej, przez co pomógł ojcu wrócić do pierwszoligowej polityki.

Jednak dziesiątkom tysięcy cichych bohaterów „S” nikt nie dał takiej szansy. Zapomnieli o nich dawni herosi podziemia, nie pamiętał o nich Lech Wałęsa skupiony wyłącznie na swoich politycznych grach i pielegnowaniu miłości własnej. Najwięcej jeszcze uwagi poświęcał im związek Solidarność, ale i on oddalał się powoli od poobijanych przez los byłych kombatanów. Bardziej obrotni potrafili jeszcze jakoś umieścić się w samorządach, spółkach miejskich, czasem w biurach poselskich lepiej znanych kolegów.

DROGA PRZESZŁOŚCI

Krzysztof Wyszowski – jako najbardziej znany, obok małżeństwa Gwiazdów, działacz dawnych Wolnych Związków Zawodowych – dostaje najczęściej prośb o pomoc. Wyszowski pokazuje mi list od Jana Karandziej, kolegi z WZZ.

„Dzień dobry!

Po otrzymaniu informacji od Kazimierza Maciejewskiego, współpracownika WZZ o tym, że został poddany piątej operacji w związku z przerzutami raka, postanowiłem działać w temacie odzna-

czenia dla niego. Wiedziałem, że już w lutym podjąłem działania w celu odznaczenia nas, w tym Kazika, Krzyżem Wolności i Solidarności. Oczywiście pamiętałem też, że jeszcze w ubiegłym roku w listopadzie wyszedłeś z inicjatywą odznaczenia nas do wojewody.

Uznałem, że otrzymanie Krzyża Wolności i Solidarności będzie najprostsze. Rozpocząłem więc próbę przyspieszenia nadania tego odznaczenia dla ciężko chorego Kazika.

Wielu naszych ludzi odeszło bez zauważenia, więc pomyślałem, że dobrze by było zdążyć w tym przypadku. Podjęte przeze mnie próby okazały się mało skuteczne, kierowano mnie od urzędnika do urzędnika, by w końcu okazało się, że niestety nie ma takiego wniosku o odznaczenie. Wtedy postanowiłem zadzwonić do Ciebie, mając nadzieję, że posiadasz większą moc przebicia. Po tygodniu ponownie zadzwoniłem do Ciebie, by się zorientować, jak mają się sprawy. Otrzymałem wtedy od Ciebie informację, że rozmawiałeś z min. *** i że zobowiązał się podjąć starania w temacie odznaczenia Kazika. Zapytałeś, czy mógłbym zadzwonić w kwestii przypomnienia, zgodziłem się.

Próbowałem nawiązać kontakt – bezskutecznie, jak zwykle rozmowa z sekretariatem; min. Oddzwonił, jak będzie mógł. Tak parokrotnie, w końcu informacja, że odznaczeniami zajmuję się inna osoba. Ile razy, w różnych tematach podejmowane przeze mnie działania kończyły się tak samo”.

Liczni weterani podziemia wspominają w rozmowach ze mną, że za prezydentury Lecha Kaczyńskiego – gdy pierwszy raz ktoś pomyślał o orderach dla nich – procedura odszukiwania i kompletowania dokumentacji była dość szybka.

Dlaczego? Adam Borowski mówi: „To skomplikowana procedura, ale jeśli zajmą się nią młodzi, energetyczni ludzie, gotowi np. wysłać samochód do domu kombatanta po odpowiednie dokumenty lub cierpliwie znieść ich nieporadność, to można zdziałać cuda”.

Rozmawiałem z paroma weteranami podziemia i wszyscy oni wskazują, że w tej mierze da się wyczuć pewien regres. „Zwykły człowiek czuje się bezradny wobec labiryntu sekretariatów, telefonów, wysyłki dokumentów pocztą” – mówi były pracownik Kancelarii Prezydenta Kaczyńskiego. „Pomaganie takim ludziom wymaga sporej specjalizacji. Za moich czasów sam prezydent dbał, by odnajdywanie bohatera

rów i ich odznaczanie trwało krótko. Jak jest teraz, nie wiem, ale słyszę narzekania”. Jest jeszcze Krzyż Wolności i Solidarności, który przyznaje IPN.

Order ustanowiono w ostatniej chwili. Wielu ludzi godnych tego odznaczenia nie dożyło jego utworzenia.

SŁABI I ROZDROBNIENI

Byłem aktywistom Solidarności najbardziej szkodził brak jednego związku. Nic dziwnego jednak, że taki nie powstał. Po 1989 r. ci, którym się powiodło w partiach politycznych, nie mieli głowy do pochylania się nad tymi, którym poszczęściło się mniej. Lech Wałęsa jako prezydent RP nie okazywał żadnej inicjatywy na rzecz pomocy państwa dla ofiar represji. Nie odznaczał też dawnych szeregowych solidarnościowców. Także potem, gdy przez jego instytut przechodziły spore sumy pieniędzy, nie kwapił się z pomocą dla ludzi, którzy wynieśli go na szczyty popularności.

Swoje zrobiły też podziały polityczne. Co zostało? Kilkanaście kombatanckich organizacji oddolnych, powstałych głównie po linii więzi koleżeńskich. To np. pomorska Godność na czele z Czesławem Nowakiem, która inicjuje spotkania weteranów „S”, organizuje uroczystości i odsłania tablice pamiątkowe.

To Ogólnopolskie Stowarzyszenie Internowanych i Represjonowanych w Siedlcach, stowarzyszenie Pamięć Jastrzębska z Jastrzębia-Zdroju, Społeczny Komitet „Solidarni – Toruń Pamięta” czy Stowarzyszenie Wolnego Słowa zrzeszające byłych drukarzy. Strona Urzędu ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych Politycznie wylicza aż 34 takie stowarzyszenia.

Adam Borowski wrzusza na to ramiona. „Co z tego, że ich jest tyle, skoro wszystkie utrzymują się z mizernych składek, które obciążają dodatkowo i tak biedne budżety byłych działaczy”. Ich adresy to często prywatne mieszkania, czasami użycza im pokoiki lokalny region Solidarności. Niekiedy pomaga dotacja z IPN czy Urzędu ds. Kombatantów.

Najwięcej gorzkich słów słyszę o Europejskim Centrum Solidarności w Gdańsku. „Ten wielki, nowoczesny budynek to raczej centrum konferencyjne lubujące się w imprezach dla intelektualistów typu Dni Tischnerowskie lub debaty o łamaniu praw człowieka na świecie niż miejsce, w którym weterani podziemia czuliby się u siebie” – mówi jeden z byłych gdańskich działaczy. Prosi, by nie podawać jego nazwiska. „Może kiedyś będę musiał poprosić ECS

o pomoc. Nie chcę palić mostów” – uśmiecha się smutno.

Byli weterani „S” nie stworzyli żadnego silnego lobby. Gdyby nie upór paru senatorów z PiS i PO, to nie byłoby żadnych aktów prawnych o pomocy bohaterom.

W marcu 2015 r. Sejm uchwalił ustawę o „działaczach opozycji antykomunistycznej i osobach represjonowanych z powodów politycznych”. Przyznawała ona osobom, których aktywność podziemna została zweryfikowana przez IPN, comiesięczną zapomogę ok. 400 zł – ale wyłącznie, jeśli taka osoba była samotna i jej dochód nie przekracza 120 proc. najniższej emerytury, czyli ok. 900 zł. Jeśli kombatant żył w rodzinie, to dochód na osobę nie mógł przekraczać 100 proc. najniższej emerytury, czyli ok. 800 zł.

Co ciekawe, samo posiadanie Krzyża Wolności i Solidarności nie dawało uprawnień do zapomogi, jeśli nie uzyskało się statusu osoby represjonowanej.

Rzeczniczka Urzędu ds. Kombatantów Jolanta Plieth-Cholewińska pytana o skalę pomocy informuje: „Do 31 maja br. do Urzędu wpłynęło 3436 wniosków o potwierdzenie statusu działacza opozycji antykomunistycznej lub osoby represjonowanej z powodów politycznych, potwierdzono 2683 statusy.

Obecnie świadczenie ok. 400 zł pobierają 422 osoby. W tym czasie pomocy pieniężnej Urząd udzielił 1038 razy na kwotę 2 753 594,86 zł”.

422 to dużo czy mało? Raczej niewiele. Ilu zrezygnowało z braku sił na walkę o zaświadczenia?

To mało optymistyczny artykuł. Jednak doczekał się optymistycznej puenty. W środę 7 czerwca senatorowie z inicjatywy posła PiS Janusza Śniadka dokonali nowelizacji uchwały z 2015 r. Nowelizacja stanowi, że zniesiony zostaje próg dochodów jako warunek otrzymywania comiesięcznego dodatku do świadczeń w wysokości 400 zł. Kończy się sytuacja, w której nawet lekki wzrost poziomu dochodów dawnego solidarnościowego kombatanta pociąga za sobą obcięcie dotacji. Ponadto wprowadzone zostaje pierwszeństwo dla weteranów w uzyskiwaniu świadczeń lekarskich.

Był na to najwyższy czas. Najmłodsi z generacji, która tworzyła w latach 1980–1981 wielki ruch „S”, przekraczają już sześćdziesiątkę. Niedługo, po śmierci ostatnich powstańców warszawskich i żołnierzy wyklętych, to oni będą najstarszymi kombatantami. Zasłużyli na to.



Problem głowy

FOT. JAN BIELECKI/EAST NEWS



Rafał A. Zierniewicz

Andrzej Duda próbuje budować pozycję bez wchodzenia w konflikt z prezesem PiS. Wizerunkowo traci i są to straty coraz trudniejsze do odrobienia

Otym, że po odejściu z Kancelarii Prezydenta Marka Magierowskiego następną będzie Małgorzata Sadurska, mówiło się od tygodni, więc dymisja szefowej prezydenckiej kancelarii nie była zaskoczeniem. Opinie co do jej przyczyn i skutków są oczywiście, jak zwykle, podzielone, ale w zasa-

dzie panuje zgoda co do jednego: w otoczeniu prezydenta źle się dzieje, a on sam wciąż nie ma na swoją prezydenturę pomysłu. Chociaż niewykluczone, że ten pomysł właśnie się rodzi.

Mówiło się wśród dziennikarzy, że Małgorzata Sadurska swą pozycję u boku Andrzeja Dudy zawdzięczała dobrym kontaktom przy Nowogrodzkiej. Miała dzięki nim gwarantować dobrą współpracę prezydenta z parlamentarną większością. Jej odejście można zatem interpretować jako przejaw utraty wiary w tę współpracę, a nawet jako początek wybijania się na niezależność. Czy tak jest rzeczywiście – można będzie zobaczyć dopiero za jakiś czas.

SCHWYTANY W PUŁAPKĘ

W każdym razie prezydent – szczególnie po reakcjach PiS na jego propozycje

referendum w sprawie konstytucji – ma prawo czuć się rozczarowany traktowaniem przez partię, z której szeregów się wywodzi i która wspierała go w wyborach. We wzajemnych stosunkach między nim a Jarosławem Kaczyńskim nie ma symetrii. „Komendant” traktuje prezydenta instrumentalnie i z pewnym lekceważeniem, mimo że on sam od momentu objęcia prezydentury wciąż okazuje pełną lojalność PiS, aż do granic politycznego samobójstwa.

Fakt, że prezydent tak długo się na to godzi, wielu uważa za skutek słabości jego charakteru. Podobnie jak jego mentor, Lech Kaczyński, Andrzej Duda reprezentuje typ człowieka „zbyt porządnego do polityki”. Rasowy polityk, nastawiony na sukces i skuteczność, a nie na staroświecko rozumianą przyzwoitość, na jego miejscu natychmiast poddałby

się logice urzędu, która jest diametralnie odmienna od logiki sprawowania władzy w parlamencie. W wyborach parlamentarnych wygrywa ten, kto ma możliwie liczny i zmobilizowany elektorat pozytywny – w prezydenckich ten, kto ma jak najmniej i jak najmniej zmobilizowany elektorat negatywny. Dlatego jeśli prezydent chce pozostać na urzędzie więcej niż jedną kadencję, musi – na ile to możliwe – zaspokajać oczekiwania wyborców niegłosujących i nawet niezamierzających głosować na partię, z której się wywodzi. (Dobitny, dla niektórych wręcz szokujący przykład, jak różne są te dwie logiki, mieliśmy po przyspieszonych wyborach prezydenckich roku 2010, kiedy to Jarosław Kaczyński – kandydat na prezydenta – z dnia na dzień zmienił się w postać Jarosława Kaczyńskiego – prezesa czy raczej do niej wrócił).

Nie wiadomo, czy prezydent zdaje sobie sprawę z tej politycznej konieczności, a jeżeli tak, to od jak dawna. Na pewno jednak wiedział o niej doskonale polityk tak rutynowany jak Jarosław Kaczyński i stąd właśnie – dziwne, że zupełnie umknęło to uwadze obserwatorów – wlokące się za PiS oraz całym państwem do dziś brutalne załatwienie sprawy Trybunału Konstytucyjnego, który przy odrobieniu cierpliwości można było, mówiąc słowami Marka Jurka, przejąć w ciągu roku, za to na 10 lat, nie ściągając sobie na głowę Komisji Weneckiej i nie dając eurokratom żadnego pretekstu do oskarżania Polski o „naruszanie praworządności”.

Pośpiech, z jakim nagle podjęto akcję „konwalidacji” uchwały o wyborze przez PO-PSL dodatkowych sędziów, PiS uzasadniał koniecznością pilnego przeprowadzenia reformatorskich ustaw, które trybunał Rzeplińskiego miał w imię obrony odsuwanego układu blokować. Jednak jak dziś już wiemy, żadnych takich ustaw nie było. Przyczyną, dla której w dniu, gdy prezydent rozpoczynał wizytę w Chinach, około południa przyszło do Sejmu polecenie z Nowogrodzkiej, by zmienić cały porządek obrad i jeszcze tego wieczora „konwalidować”, była o dzień wcześniejsza zapowiedź, że prezydent ma koncepcję kompromisowego rozwiązania problemu z TK, który stworzyła tym bezprawnym wyborem poprzednia większość parlamentarna, i że niebawem wystąpi ze stosowną propozycją. Gdyby prezydent rzeczywiście zdołał wypracować taki kompromis,

bardzo by się usamodzielniał i umocnił swoją pozycję – i temu właśnie prezes PiS postanowił zapobiec, nie licząc się ze stratami.

Jedyną rozsądną reakcją na taką nielojalność powinna być ze strony Andrzeja Dudy odmowa zaprzysiężenia piątki nowo wybranych sędziów i spokojne czekanie na werdykt Trybunału (dziś już wiemy jaki). Prezydent wpadł jednak w zastawioną nań pułapkę i przyjmując przysięgę piątki nowych sędziów w ekspresowym tempie, po nocy, stał się twarzą całej, delikatnie mówiąc, wątpliwej akcji, co zamknęło mu możliwość pozyskiwania zwolenników w umiarkowanym, niepisowskim elektoracie, i ustawiło go na pozycji „pana Adriana”, z czym nie może sobie wizerunkowo i politycznie poradzić do dziś.

NIEODROBIONA LEKCJA

Ta praktyczna lekcja, że w polityce, jak miał mawiać klasyk, „niet sentimentow”, udzielona przez prezesa, na razie nie została przez prezydenta odrobiona. Nadal zachowuje się tak, jakby chciał zjeść jajecznicę, ale nie miał sumienia tłuc jajek. Jedyne, co udało mu się w ten sposób osiągnąć, to drobne demonstracje niezadowolenia prezesa – np. gdy prezydent ostrożnie wypowiedział się w duchu bardziej umiarkowanym niż linia partii o domniemanych przyczynach tragedii w Smoleńsku – oraz jeden przyjazny gest, gdy Kaczyński wycofując się z propozycji, by ograniczenie kadencji w samorządach działało wstecz (i tak niemożliwej do przeprowadzenia, tak grubego złamania zasady „lex retro non agit” nie mógłby „klepnąć” żaden, najbardziej nawet PiS-owski skład TK), oznajmił, iż czyni to z szacunku dla opinii pana prezydenta. Ten gest miał oczywiście swoje znaczenie, ale dla zbudowania samodzielnej pozycji politycznej prezydenta to dalece za mało.

Przyczyny, dla których prezes PiS nie życzy sobie samodzielności prezydenta, dość oczywiste dla każdego, kto zna jego polityczny modus operandi, nie ustały i gdyby prezydent chciał o taką pozycję zawalczyć, musiałby, wzorem Sarkozy’ego czy Obamy, zdecydować się na swoje „polityczne ojcostwo”, na ostry konflikt z politycznym patronem – a do tego właśnie wydaje się niezdolny.

To sprawia, że z czasem ważniejsi od prezydenta poczuli się, wzorem prezesa, także główni działacze PiS. Decyzja o upu-

blicznieniu konfliktu z ministrem obrony narodowej i pisanii do niego listów zakrawała na desperacką próbę ocalenia i tak skromnych oraz niejasnych prezydenckich prerogatyw. Sprawa została wyciszona, ale sądząc po wspomnianych już reakcjach na proponowane referendum, w partii odebrano ją jako kolejną przegraną „Adriana”, ośmielającą do lekkiego traktowania jego osoby i inicjatyw.

POZYCJA SZCZERSKIEGO

Wszystko wskazuje, że Andrzej Duda wciąż wierzy w możliwość zbudowania sobie pozycji niejako obok prezesa PiS, bez wchodzenia z nim w konflikt. Jedyne pole, na którym jest to możliwe, jest polityka zagraniczna – jak powszechnie wiadomo, mało dla prezesa istotna. Na taki zamysł wskazuje wyraźny wzrost znaczenia w prezydenckim otoczeniu Krzysztofa Szczerskiego, z którym wiązane są obie wspomniane na wstępie dymisje. Na razie jest to też jedyne pole – poza godnym pełnieniem funkcji reprezentacyjnych głowy państwa – na którym prezydent może się pochwalić sukcesami. Szczególnie dotyczy to jego patronowania nad kontaktami gospodarczymi z krajami, które odwiedza. Dobrym polem dla prezydenckiej aktywności jest idea Trójmorza, zbliżenia gospodarczego krajów regionu, równoważącego potencjały w rywalizacji z coraz bardziej krzywym okiem patrzącą na państwa środkowoeuropejskie „starą Unią”.

Nie ulega kwestii, że jeśli prezydent osiągnie tutaj sukces, to przyniesie wielki pożytek Polsce. Czy jednak przełoży się to na szansę reelekcji – wątpliwe. Polityką zagraniczną mało się interesuje nie tylko prezes, lecz także większość społeczeństwa. Chyba że mówimy o kwestii migracji czy pieniędzy z Unii – ale te akurat tematy zabiera dla siebie rząd i można być pewnym, że nie będzie się nimi chciał podzielić.

Do kolejnych wyborów jest jeszcze daleko, ale z każdym miesiącem, gdy prezydent pozostaje wobec PiS na pozycji grzecznego petenta i nie sięga po przysługujące mu weto nawet w przypadku oczywistego forowania przez sejmową większość wąskiego lobby kosztem interesów ogółu, tak jak w ustawie „apteka dla aptekarza”, strata wizerunkowa staje się trudniejsza do odrobienia. A już na pewno nie da się jej odrobić bez okazywania choć odrobiny politycznej asertywności.

Ogólną koncepcję nowych przepisów mamy poznać już wkrótce, na przełomie czerwca i lipca. W Ministerstwie Kultury i Dziedzictwa Narodowego pracuje nad nimi zespół ekspertów, w którego skład wchodzi fachowcy z Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji, Urzędu Ochrony Konkurencji i Konsumentów oraz z samego resortu kultury. Prace nadzoruje wiceminister Paweł Lewandowski, ten sam, który przygotował nowy projekt ustawy abonamentowej, co – jak podkreślają politycy PiS – gwarantuje powodzenie tego przedsięwzięcia.

– Ostatnio byliśmy skupieni na pracach nad projektem ustawy abonamentowej. Teraz, kiedy projekt trafił już do parlamentu, nasze siły będziemy mogli skierować na pracę nad przepisami antykoncentracyjnymi – zapowiada w rozmowie z „Do Rzeczy” wiceminister Paweł Lewandowski. O konkretnych na razie jednak nie chce mówić.

– Będziemy się zastanawiać, jakie powinny być kryteria mierzenia progu udziału kapitału zagranicznego w rynku medialnym, jak określać ten rynek, kto miałby te kryteria oceniać i jakie narzędzia do tego stosować. Jest dużo trudnych kwestii, które trzeba dobrze przemyśleć – mówi.

Lewandowski to młody urzędnik (rocznik 1986), który trafił do resortu w styczniu tego roku. Z zawodu jest politologiem i socjologiem. W ministerstwie zarządza departamentami odpowiedzialnymi za media, prawo autorskie, legislację oraz realizowanie nadzoru właścicielskiego nad spółkami Skarbu Państwa podległymi ministerstwu. Wykładał na UKSW, był też ekspertem Fundacji Republikańskiej. Ma w sobie energię i determinację do przeprowadzania zmian, a do tego świadomość konieczności dbałości o szczegóły, by projekt był dopracowany legislacyjnie. Politycy PiS z Komisji Kultury mówią, że Lewandowski jest zadaniowcem z dużą wiedzą na temat prawa i rynku medialnego. Z uznaniem odnoszą się do jego pracy nad ustawą abonamentową, z której przygotowaniem PiS wcześniej nie potrafił sobie poradzić. Teraz gotowa ustawa abonamentowa jest w Sejmie. Wcześniej Rada Legislacyjna przy Prezesie Rady Ministrów, która surowo traktuje rządowe projekty ustaw pod względem prawnym, oceniła projekt pozytywnie, odrzucając argumentację operatorów sieci kablowych, którzy oburzali się na konieczność udostępniania danych swoich klientów.

– Dobrze, że wziął się za to zespół Lewandowskiego, oni są naprawdę niezłomi, wszystko sprawdzają, konsultują z insty-

Ile Polski w mediach?



Kamila Baranowska

PiS nie rezygnuje z przygotowania przepisów, które mają zapewnić większy pluralizm własnościowy w mediach – ustaliło „Do Rzeczy”. Według planów resortu kultury projekt ustawy antykoncentracyjnej dla rynku medialnego powinien być gotowy do końca roku



tucjami unijnymi, a proponowane rozwiązania na etapie prac zderzają z unijnymi regulacjami, żeby na koniec nie było niespodzianek. Tak pracowali nad ustawą abonamentową, jest więc szansa, że i z tym dadzą sobie radę – mówi nam jeden z posłów PiS.

ANTYKONCENTRACJA, NIE REPOLONIZACJA

Dzisiaj obóz rządzący unika jak ognia określeń mówiących o „repolonizacji mediów”, mowa jest już raczej o przepisach dekoncentracyjnych czy ustawie antykoncentracyjnej. Politycy zapewniają, że nie chodzi o żadną nacjonalizację mediów, lecz o zwiększenie nadzoru nad obecnością kapitału zagranicznego w mediach. Wciąż jednak pytań jest więcej niż odpowiedzi. Na przykład, czy nowe przepisy obejmą podmioty już istniejące na rynku czy tylko te, które będą na polski rynek wchodzić lub będą chciały zwiększyć swój stan posiadania? Albo jak ustawa potraktuje kwestię portali internetowych?

– Kiedy już stworzymy odpowiednie wskaźniki, ustalimy progi, będziemy mogli się zastanowić, jak dopasować prawo do rzeczywistości. Wiadomo, że im głębiej będzie się wchodziło w temat, tym więcej komplikacji się pojawi. Jesteśmy tego świadomi – odpowiada Lewandowski.

Jarosław Kaczyński oraz inni politycy Prawa i Sprawiedliwości jako wzór stawiają przepisy francuskie.

– Kilka grup kapitałowych dysponuje większością mediów. To trzeba zmienić, np. wprowadzając ustawę jak we Francji – wskazywał prezes podczas jednego ze spotkań z działaczami partii.

Francuskie przepisy są dość restrykcyjne, np. żaden podmiot zagraniczny nie może się ubiegać o nabycie udziałów w spółce medialnej, jeśli skutkowałoby to podniesieniem udziału kapitału zagranicznego w całym rynku medialnym do 20 proc. We Francji mocno regulowany jest rynek telewizyjny, ograniczenia obejmują wielkość udziałów właścicielskich, liczbę koncesji, zasięg i udział w oglądalności programów. To samo dotyczy tzw. koncentracji krzyżowej, czyli posiadania różnych rodzajów mediów przez jeden koncern.

– Pamiętajmy, że przepisy francuskie powstawały lata temu, w zupełnie innych warunkach prawnych i rynkowych. Nie brano wówczas pod uwagę choćby kwestii koncentracji krzyżowej z rynkiem internetowym. Dzisiaj tworzone prawo nie może tej kwestii pomijać. Musimy

stworzyć nowoczesne prawo: z jednej strony innowacyjne i skuteczne z punktu widzenia państwa, a z drugiej przyjazne przedsiębiorcom – uważa wiceminister Lewandowski.

W debacie publicznej pojawiły się argumenty, że przepisy antykoncentracyjne mogą zostać zakwestionowane przez instytucje unijne jako naruszające swobodę przepływu kapitału. – Jakoś Niemcy nie mają problemu z uchwalaniem prawa ograniczającego swobodę przepływu usług, jeśli leży to w ich interesie. My też będziemy kierować się przede wszystkim interesem państwa. Jesteśmy jednym z niewielu europejskich państw, które nie ma dotąd jasnych przepisów antykoncentracyjnych, jeśli chodzi o rynek medialny – odpowiada.

W 2015 r. Departament Strategii KRRiT przygotował raport o regulacjach dotyczących koncentracji własności na rynku medialnym w wybranych krajach. Powołał się w nim m.in. na rozporządzenie unijne z 2004 r., które – jak czytamy – „pozwala państwom członkowskim na zastosowanie w sektorze mediów dodatkowych mechanizmów kontrolnych, mających na celu ochronę pluralizmu”. Raport Krajowej Rady pokazuje, że wiele krajów skorzystało z tej regulacji i wprowadziło „specyficzne przepisy antykoncentracyjne dla mediów”. Chociaż prawdą jest, że w wielu krajach takie przepisy funkcjonują znacznie dłużej.

– Rozporządzenia unijne w tej sprawie mówią, że rynek medialny to rynek strategiczny, dlatego musi podlegać odpowiednim regułom kontroli własności i koncentracji kapitału, dzięki którym zostanie zapewniony pluralizm. I te właśnie możliwości prawne zostały skrupulatnie wykorzystane przez państwa starej Unii, które wprowadzały u siebie przepisy antykoncentracyjne. Podobną sytuację do naszej, jeśli chodzi o przewagę kapitału zagranicznego na rynku mediów, mamy dziś jedynie w innych krajach Europy Wschodniej, takich jak Czechy czy Słowacja. Widać, że to błąd charakterystyczny dla demolidów w okresie transformacji – tłumaczyła w niedawnym wywiadzie dla „Do Rzeczy” Elżbieta Kruk (PiS), przewodnicząca sejmowej Komisji Kultury i Środków Przekazu.

JEDEN Z TRZECH PRIORYTETÓW

Na spotkaniach z politykami PiS wśród trzech najważniejszych zmian, które muszą zostać przeprowadzone jeszcze w tym roku, zanim obóz rządzący przejdzie do fazy wyciszania konfliktów i odbudowy-

wania wizerunku, Jarosław Kaczyński wymienia właśnie regulację dotyczącą udziału kapitału zagranicznego w polskim rynku medialnym (obok reformy wymiaru sprawiedliwości i zmian w ordynacji samorządowej). Prezes PiS nigdy zresztą nie krył swojego poglądu w tej sprawie:

„Trzeba podjąć sprawę repolonizacji mediów. Trzeba być odważnym, nie można dać się sterroryzować krzykiem i tu, i ewentualnie w Unii Europejskiej. Liczące się państwa w Unii, a musimy być takim państwem, chronią swój rynek. My mamy do czynienia z sytuacją całkowicie nieprawidłową. Powinniśmy krok po kroku, oczywiście w zgodzie z regułami państw cywilizowanych, czyli wykupując te media, doprowadzić do tego, aby one były polskie w najwyższym możliwie procencie. To, że media są w wielkiej części w ręku właścicieli zewnętrznych i że oni wykorzystują to także politycznie, na poziomie decyzji nie poszczególnych właścicieli, tylko rządowych, jest stanem całkowicie niemożliwym do przyjęcia w suwerennym państwie” – przekonywał w ubiegłym roku podczas czatu z internautami.

W podobnym tonie wypowiadali się także inni politycy PiS. – Szczególnie szokujące są proporcje na rynku mediów drukowanych. Prawie 80 proc. prasy jest w rękach kapitału zagranicznego, w tym ponad 90 proc. prasy regionalnej. Przy czym jakieś 75 proc. tego kapitału zagranicznego to kapitał niemiecki. To są proporcje niespotykane na świecie, w normalnych, suwerennych państwach. Taki kształt rynku cechuje państwa kolonialne – przekonywała w rozmowie z „Do Rzeczy” poseł Elżbieta Kruk (PiS).

W pewnym momencie jednak także w samym PiS można było usłyszeć, że sprawa regulacji dotyczących kapitału zagranicznego na rynku medialnym może zostać odłożona w czasie z powodu trudności legislacyjnych, jakie ze sobą niesie. Wiadomo też, że wywoła spore emocje. Opozycja już dziś zarzuca obozowi rządzącemu chęć renacjonalizacji mediów i podporządkowania sobie mediów prywatnych. Takie oskarżenia zapewne powrócą, gdy zaczną pojawiać się konkretne propozycje zmian. Paweł Lewandowski zapewnia, że wszystkie propozycje zostaną poddane konsultacjom społecznym, a projekt jako rządowy przejdzie przez całą długą ścieżkę legislacyjną, podczas której zostanie wnikliwie oceniony. – Jestem pewien, że uda nam się stworzyć dobre prawo – zapewnia.



Łukasz Warzecha

W ocenie działań polskiego rządu i dyplomacji na arenie międzynarodowej opinia publiczna skupia się na epizodach, które nie mają większego znaczenia. Ważniejsze jest, jaki pomysł na obecność w UE i miejsce Polski na świecie ma PiS

Sześć lat temu byliśmy świadkami wielkopomnego sukcesu Polski. Od rządzących słyszeliśmy, że nasz kraj odgrywa doniosłą, dziejową rolę, a wszystko to dzięki łaskawie nam panującej Platformie. Tym bezprecedensowym sukcesem była prezydencja w Radzie Europejskiej. Z okazji jej inauguracji odbyły się liczne fety i uroczystości, a MSZ zamówiło gadżety, m.in. słynne bączki. W Warszawie zorganizowano koncert, którego scenariusz napisali wspólnie Krzysztof Materna i Jakub Wojewódzki, za co prawdopodobnie dostali nieliczne wynagrodzenie. Niestety, jego wysokość nie została nigdy ujawniona. Agencja, zajmująca się ze strony państwa organizacją koncertu, odmówiła jej podania, tłumacząc się niejawnością umowy z prywatnymi podmiotami.

Tyle że prezydencji sobie w żaden sposób nie wywalczyliśmy, nie objęliśmy jej w wyniku głosowania czy długotrwałych zabiegów dyplomatycznych, opartych na dobrych relacjach wewnątrz UE. Ona nam po prostu przypadła z rozdzielnika między Węgrami a Danią. Mało tego – od 2009 r. Rada Europejska miała już stałego przewodniczącego (wówczas był nim Herman van Rompuy, dziś jest to Donald Tusk), a więc rola państwa sprawującego prezydencję została znacząco ograniczona.

Feta, jaką wówczas zorganizowała wokół tej sprawy Platforma, przekraczała granice zdrowego rozsądku i przypominała jako żywo PRL-owskie akademie. Dzisiaj PO, już w opozycji, deprecjonuje znaczenie powołania Polski na niestałego członka Rady Bezpieczeństwa Narodów Zjednoczonych – zresztą na jednym oddechu stwierdzając, że te starania miał rozpocząć jeszcze Radosław Sikorski. Tymczasem, w przeciwieństwie



Sukces prawdziwy, ale czy duży?

do polskiej prezydencji z drugiej połowy 2011 r., w przypadku RBNZ nie mamy rozdzielnika, tylko zbiór ogólnych zasad. Ujęto je w artykule 23. Karty Narodów Zjednoczonych, którego punkt 2. brzmi: „Niestających członków Rady Bezpieczeństwa wybiera się na okres dwóch lat. [...] Członek ustępujący nie może być ponownie wybrany na następujące bezpośrednio dwulecie”. Wyboru dokonuje Zgromadzenie Ogólne, a niestali członkowie mają reprezentować regionalne

bloki. Dlatego dla polskiej kandydatury ważne było, że Bułgaria wycofała swoją. Nie zmienia to faktu, że 190 głosów oddanych za Polską jest sukcesem autentycznym. Tylko jak dużym?

ZNACZENIE EPIZODÓW

Problem z polityką zagraniczną jest taki, że naprawdę istotne, strategicznie ważące skutki działań danej ekipy widać często dopiero w dłuższym okresie, za to bardzo łatwo mydlić publicę oczyma sukcesami



Za kandydaturą Polski na niestalego członka Rady Bezpieczeństwa Narodów Zjednoczonych zagłosowało 190 państw FOT. JUSTIN LANE/PAP

pozornymi lub efektownymi ujęciami, pokazującymi przywódców w uściskach albo w trakcie poklepywania się po plecach. Platforma przez lata przekonywała wyborców, że miarą znaczenia Polski pod jej rządami jest liczba pochlebnych artykułów w prasie niemieckiej czy francuskiej oraz liczba spotkań, w których wzięli udział minister Sikorski czy premier Tusk.

W retoryce samego Sikorskiego tkwiła zaś sprzeczność. Z jednej strony ówczesny szef MSZ z lubością pokpiwał z broszury przedwojennego ambasadora RP w Paryżu Juliusza Łukasiewicza, wydanej w 1939 r., a zatytułowanej „Polska jest mocarstwem”. Mówił – nie bez racji zresztą – że rzeczywistość bardzo szybko brutalnie zweryfikowała tę mocarstwową tromtadrację. Z drugiej strony jednak sam snuł opowieści o niezwykle mocnej pozycji Polski pod rządami PO, twierdząc zarazem, że nie stać nas na mocarstwowość. Była to opowieść kompletnie niespójna i nie było w końcu wiadomo, czy Polska może wiele czy zgolić, ale to Sikorskiemu nie przeszkadzało. Faktem było, że rzeczywista pozycja Polski

bardzo osłabła. Widać to było w konkretnych kwestiach, takich jak energetyka czy konflikt na Ukrainie.

Tyle że dzisiaj PiS – na pewno nie do tego stopnia, ale jednak – wydaje się chwilami odtwarzać metodę Platformy, rozdymając do absurdalnych wymiarów znaczenie epizodów lub decyzji niewypełnionych treści, a nie wspominając o kwestiach mniej spektakularnych, ale o niebo istotniejszych. Dla przykładu kilkuminutowe spotkanie prezydenta Andrzeja Dudy z Donaldem Trumpem na szczycie NATO w Brukseli pod koniec maja przedstawia się – szczególnie w mediach sprzyjających PiS – jako wielki sukces, choć w istocie była to mało znacząca pogawędka w przelocie.

PUNKT W CV

Jak w tym schemacie umiejscowić niestale miejsce w RBN? Ambasadorem Polski przy Narodach Zjednoczonych jest od 2014 r. Bogusław Winid – zdolny zawodowy dyplomata, państwowiec, a nasze miejsce w Radzie Bezpieczeństwa jest w dużej mierze jego zasługą. Uzyskanie

niemalże jednogłośnie wśród głosujących nie jest rzeczą oczywistą i trzeba docenić, że polska dyplomacja potrafiła stworzyć wokół naszej kandydatury dobrą atmosferę. Wymagało to zapewne nawiązania kontaktu z przedstawicielami prawie każdego kraju członkowskiego, przedstawienia – choćby ramowo – swojej dyplomatycznej oferty, pokazania się jako państwo poważne. To sposób działania, z którym – jak się zdaje – mamy często problem na znacznie bliższym nam polu europejskim. Jednak też jest to znacznie prostsze w ONZ, gdzie z większością państw nie wiążą nas ścisłe relacje, a zatem nie ma bardzo ostrych i istotnych różnic, zaś uchwały organizacji nie mają takiego wpływu na funkcjonowanie państw jak dyrektywy Parlamentu Europejskiego czy rozporządzenia Komisji Europejskiej. Jednym słowem – łatwiej zbudować dużą koalicję w Zgromadzeniu Ogólnym NZ niż małą wśród członków UE.

Zarazem jednak pojawia się pierwszy sygnał ostrzegawczy. Można by założyć, że miejsce w Radzie Bezpieczeństwa będzie służyć realizacji konkretnych planów, bo przecież jego uzyskanie nie jest celem samym w sobie, ale narzędziem, za pomocą którego można zaznaczyć swoją obecność w wielu dziedzinach. Ot, choćby kwestia misji pokojowych. To przecież rząd PiS zdecydował, że rezygnujemy z wycofywania się z nich, zmieniając fatalną pod tym względem politykę PO. Kwestia uczestnictwa w takich przedsięwzięciach jest nawet zapisana w niedawno opublikowanej koncepcji Obrony RP. „Pomimo koncentracji na podstawowym zadaniu obronnym, Polska będzie gotowa do udziału w operacjach zagranicznych. Chcemy konstruktywnie wzmacniać stabilny ład międzynarodowy. [...] W tym celu w Siłach Zbrojnych RP zostaną wskazane odpowiednie zdolności i formacje, zdolne w wymierny sposób reprezentować nasze państwo w misjach w postaci Polskich Kontyngentów Wojskowych” – czytamy w rozdziale „Katalog Zadań Sił Zbrojnych RP”.

Można by więc oczekiwać, że w ślad za wygranym przez nas głosowaniem pójdzie niemal natychmiast programowe wystąpienie ministra spraw zagranicznych, który opowie, co z naszym miejscem w RB zamierzamy zrobić. Można sobie wyobrazić programowy tekst szefa MSZ, opublikowany w którymś z prestiżowych, międzynarodowych dzienników, w którym bez nadmiernego nadymania się, na miarę zyskanych przez nas właśnie możliwości, ▶

■ szef resortu spraw zagranicznych opowiedziałby, o co Polsce chodzi.

Nic takiego jednak nie nastąpiło. I to rodzi podejrzenie, że miejsce w Radzie Bezpieczeństwa jest traktowane jedynie jako „punkt w CV” do kolekcji, a nie sposób realizacji skonkretyzowanych planów. Że jest niejako „zamiast”, że to swego rodzaju kompensacja niemocy na innych polach.

Kilka miesięcy temu pisałem w „Do Rzeczy” o nowej polskiej polityce wobec Białorusi: „W dodatku próżno szukać głębszego strategicznego uzasadnienia dla najnowszego zwrotu. Nic się przecież zasadniczo i gwałtownie nie zmieniło. Wszystko wskazuje na to, że jest to po prostu jedyny punkt w polskiej polityce wschodniej, która poza tym właściwie nie funkcjonuje, gdzie można cokolwiek ugrać. Albo może nie tyle ugrać, co po prostu zagrać i pokazać, że coś się robi. Relacje z Rosją są bowiem w całkowicie martwym punkcie, a Ukraina jest tematem delikatnym ze względu na fakt, że znaczna część elektoratu PiS jest sceptyczna wobec wspierania »banderowców«. Tymczasem szef resortu musi mieć sukcesy, bo niemal od początku urzędowania wisi nad nim miecz Damoklesa w postaci groźby utraty stanowiska”. Wiele wskazuje na to, że w przypadku Rady Bezpieczeństwa Narodów Zjednoczonych mamy do czynienia z podobną sytuacją: robi się coś tam, gdzie można cokolwiek zrobić, ale nie towarzyszy temu głębsza strategiczna refleksja (w sprawie Białorusi tymczasem „nowy kurs” został już, jak się zdaje, porzucony).

Najważniejszym rejonem pozostaje dla nas oczywiście Unia Europejska, a tutaj – wbrew propagandowym pozorom – wielkich sukcesów nie mamy i chyba też nie mamy pomysłów. W sprawie relacji z imigrantami zajmujemy jednoznaczne stanowisko, choć niepotrzebnie narażamy się na ostrzał. Na początku urzędowania wiceminister spraw zagranicznych Konrad Szymański zapowiadał taką postawę, ale czynił to w formie znacznie lepiej dostosowanej do wewnątrzunijnej polityki przetargów i kompromisów. Mówił mianowicie, że nie przyjmujemy migrantów dopóty, dopóki nie powstanie wiarygodny i miarodajny system ich weryfikacji. A ponieważ wiadomo było, że taki system jest niemożliwy do skonstruowania, znaczenie tej deklaracji było jednoznaczne, lecz jej wydźwięk był radykalnie odmienny od stwierdzenia: „Nie przyjmujemy nikogo bezwarunkowo!”.

Warunkowe stanowisko Szymańskiego zajęły tymczasem mocne słowa Beaty Szydło, skierowane oczywiście głównie na wewnętrzny rynek polityczny. Wzbudziły zachwyt i wzmożenie w mediach przychylnych rządowi („Ale im powiedziała!”), tyle że polityka – zwłaszcza w UE – nie polega na rywalizacji werbalnej. Więcej nawet: potrząsanie szabelką nierzadko maskuje brak realnej siły sprawczej. Dokładnie taką postawę można było obserwować w czasie pierwszych rządów PiS w latach 2005–2007, a szczególnie wyspecjalizowała się w niej ówczesna szefowa MSZ Anna Fotyga.

Tymczasem program relokacji 160 tys. osób, w którym Polska odmówiła udziału, to tylko przygrywka. Grozi nam permanentna zmiana mechanizmu azylowego UE, w ramach której migranci przypadaliby z rozdzielnika, a odmowa ich przyjęcia łączyłaby się z karami finansowymi. Wprawdzie kilka miesięcy temu szefowie państw UE ustalili, że wspólnie uzgodnią nowe reguły do końca czerwca, wygląda jednak na to, że się to nie uda, a wówczas (zapewne najpóźniej po wyborach w Niemczech) sprawa trafi do Rady UE, gdzie decyzja będzie zapadać kwalifikowaną większością. Pytanie brzmi: Czy poza gromkimi pokrzykiwaniami Polska ma pomysł na zablokowanie tego pomysłu, który realnie może nas kosztować przynajmniej setki milionów euro – o ile, oczywiście, odmówimy brania w nim udziału, decydując się na płacenie kar? A wobec stanowczej postawy rządu raczej trudno wyobrazić sobie inny scenariusz. W takiej zaś sytuacji trzeba się liczyć z nowym wewnętrznym konfliktem wokół sprawy ponoszonych kosztów.

Wydaje się, że Polska miała w miarę spójny strategiczny pomysł na swoją obecność w UE do czasu referendum brytyjskiego

Stoją przed nami kolejne wyzwania. Wyjście Wielkiej Brytanii z UE w ciągu około dwóch lat oznacza nowy podział miejsc w Parlamencie Europejskim i nowy podział głosów w Radzie UE, zapewne mniej korzystny niż dotychczas, a także całkiem inne kalkulacje przy kolejnej perspektywie budżetowej. Jak wówczas zamierzamy budować koalicje w interesujących nas sprawach? Może poprzez odświeżenie

współpracy z Niemcami i w jakimś stopniu z Francją? Tyle że tutaj rząd jest w dużej mierze zakładnikiem własnej wojowniczej retoryki, skierowanej do wewnątrz. Z dyplomatycznych kręgów francuskich wciąż płyną sygnały rozżalenia i pretensji o sposób, w jaki PiS unieważnił kontrakt na zakup caracali. O ile samo zerwanie umowy Paryż zapewne by przełknął, o tyle trudno mu pogodzić się ze sposobem, w jaki ta decyzja została przedstawiona polskiej opinii publicznej.

Pomiędzy Warszawą a Berlinem z kolei jest kość niezgody w postaci Nord Stream II. W tym sporze na razie przegrywamy. Podobnie jak w kwestii polityki klimatycznej, co będzie mieć dla Polski gigantyczne konsekwencje. Przegraliśmy już sprawę niekorzystnych dla nas zmian w systemie handlu emisjami, w której nie zdołaliśmy zbudować żadnej (dosłownie żadnej – Polska wystąpiła za samotnym sprzeciwem) koalicji. Za kilka tygodni będziemy w podobnej sytuacji w sprawie pułapów redukcji gazów cieplarnianych w sektorze nieobjętym system handlu emisjami (to m.in. rolnictwo).

LICZY SIĘ REALIZM

Te kwestie, zagrzebane głęboko w specjalistycznych serwisach informacyjnych, nie wywołują takiego poruszenia jak spory o to, czy Andrzej Duda rozmawiał z Donaldem Trumpem trzy minuty czy sześć, ale mają ogromne znaczenie.

– Wydaje się, że Polska miała w miarę spójny strategiczny pomysł na swoją obecność w UE do czasu referendum brytyjskiego – ocenia dr Marek Cichocki. – Po nim jesteśmy jakby w próżni – dodaje.

Faktycznie, w kwietniu 2016 r., niedługo przed głosowaniem w Wielkiej Brytanii, Instytut Wolności Igora Jankego przedstawił raport opracowany wspólnie z brytyjskim think tankiem Open Europe, pokazujący bardzo ciekawą wizję współpracy obu krajów w dziedzinie reformowania UE. Podczas prezentacji obecny był wiceminister Szymański, który wygłosił niezwykle ciekawe, programowe wystąpienie. Problem w tym, że założeniem było, iż Wielka Brytania pozostaje w Unii. Wyborcy zdecydowali jednak inaczej. Wskutek czego utraciliśmy partnera dla realizacji naszych pomysłów.

Tymczasem celebracja niestałego miejsca w Radzie Bezpieczeństwa lub zadowolone wystąpienia szefowej rządu w Sejmie nie zastąpią realnej polityki.



Służby w piramidzie



Wojciech Wybranowski

**Czy pieniądze wyłudzone w Amber Gold miały posłużyć do zniszczenia PLL LOT i przejęcia rynku?
I czy za piramidą finansową stały służby specjalne?**

Najbliższe dni będą gorące dla syna byłego premiera. Michał Tusk będzie musiał 21 czerwca stanąć przed komisją śledczą badającą aferę Amber Gold. I musi się spodziewać trudnych pytań dotyczących swojej współpracy z Marcinem P., właścicielem Amber Gold oraz spółek lotniczych OLT, do których wyprowadzał pieniądze klientów tej pierwszej firmy.

Złożone wcześniej przed komisją zeznania świadków, m.in. Andrzej Dąbrowskiego, byłego prezesa zarządu OLT Express Poland, wskazują, że młody Tusk wręcz zabiegał o współpracę z właścicielem Amber Gold. Podobne zeznania złożył wcześniej w prokuraturze sam Marcin P. A to oznacza, że Tusk junior musi spodziewać się niewygodnych pytań. Prawdopodobnie usłyszy też wezwanie do prokuratury. Śledczy chcą sprawdzić, czy syn byłego premiera wie, gdzie i w jaki sposób rozpyływały się pieniądze, które Marcin P. transferował z Amber Gold do spółek lotniczych grupy OLT Express.

– Bardzo istotne jest ustalenie, komu zależało, by syn urzędującego wówczas premiera współpracował z OLT i właścicielem piramidy finansowej Amber Gold – mówi „Do Rzeczy” poseł Jarosław Krajewski (PiS), członek komisji śledczej badającej aferę. – Mam dwie hipotezy. Jedna, że osoba syna szefa rządu zapewniała ochronę nielegalnej operacji, druga, że reprezentował tam czyjeś bardzo konkretne interesy.

Działalność spółki przewoźnika lotniczego OLT to dziś główny wątek, na którym skupia się komisja śledcza. Finansowa piramida Amber Gold, która obiecywała ludziom wysokie zwroty z inwestycji w złoto i cenne kruszce (i w ten sposób oszukała ok. 19 tys. osób na co najmniej 851 mln zł), za pieniądze klientów w 2011 r. kupiła większościowe udziały w liniach lotniczych Jet Air. Tak stworzono linie lotnicze OLT Express. Pod tą marką działały OLT Express Regional (wykonujące rejsowe połączenia w Polsce) oraz OLT Express Poland (realizujące loty międzynarodowe).

– Nie ulega wątpliwości, że sytuacja firmy Krzysztofa Wicherka Jet Air była fatalna, to był, mówiąc potocznie, biznesowy trup. W momencie przejścia jej przez pana Marcina P. i wladowania w spółkę pieniędzy klientów Amber Gold firma Jet Air nie miała ani jednego sprawnego samolotu – zwraca uwagę posełanka

Małgorzata Wassermann (PiS), przewodnicząca komisji śledczej. W rozmowie z „Do Rzeczy” dodaje, że z nieznanych powodów na polecenie Marcina P. spółka OLT Poland, która miała flotę pięciu samolotów, wystarczającą do obsługi czarterów, kupiła kolejne maszyny i choć sama ponosiła koszty leasingu, użyczyła je – nie otrzymując z tego tytułu opłat – spółce OLT Express Regional „latającej” w Polsce.

Jak ustalili śledczy z łódzkiej prokuratury, od 15 grudnia 2011 r. do 30 sierpnia 2012 r. na rzecz OLT Express przelano z kont Amber Gold 5,8 mln dol. i 43,6 mln zł.

Tak zasilona spółka mogła dzięki cenom dumpingowym rywalizować o klientów na polskim rynku z narodowym przewoźnikiem PLL LOT. Ostatecznie upadła w 2012 r., tuż przed wybuchem afery Amber Gold.

– W świetle uzyskanych materiałów i informacji jestem pewny, że stworzenie spółek OLT nie było działalnością nastawioną na zysk biznesowy – mówi „Do Rzeczy” poseł Tomasz Rzymkowski (Kukiz'15), wiceprzewodniczący komisji śledczej. – W działalność zainwestowano zbyt mało środków finansowych, sposób ich wydawania nie był racjonalny, a firma w dłuższej perspektywie czasowej nie miała szans przetrwać na rynku. Można dziś w mojej ocenie postawić tezę, że celem powołania OLT i jej działalności było doprowadzenie do upadku PLL LOT i przejęcia jego miejsca przez inny podmiot.

Podobnego zdania jest poseł Stanisław Pięta (PiS). – Przygotowano operację zniszczenia narodowego przewoźnika – mówi „Do Rzeczy”. – Bez wątpienia operacja musiała mieć ochronę polityczną, bo niemożliwe jest, żeby tyle instytucji państwowych, na czele z prokuraturą, sądem, Urzędem Lotnictwa Cywilnego, nie zadziałało.

Można by uznać, że to hipotezy bez pokrycia. Jednak podczas jednego z posiedzeń komisji śledczej Wassermann ujawniła treść SMS-a, którego Krzysztof Wicherek wysłał do współpracującego z nim wówczas Marcina P. „Przejął LOT »na zającą«? Prosiłbym o potwierdzenie” – napisał pod koniec 2011 r.

POLITYCZNY PARAWAN?

W tym kontekście część członków komisji wskazuje na rolę syna ówczesnego premiera Donalda Tuska. Czy jego współpraca z OLT mogła tworzyć



Komisja śledcza do zbadania afery Amber Gold chce wyjaśnić rolę Michała Tuska w tej sprawie

FOT. ŁUKASZ DEJNAROWICZ/FORUM

„polityczną ochronę” dla próby przejęcia narodowego przewoźnika? – Będziemy chcieli się dowiedzieć, jaką rolę w całej sprawie odegrał Michał Tusk i czy był uczestnikiem pewnej gry wokół PLL LOT – mówi posełanka Wassermann.

Członkowie komisji uważają, że mogą istnieć związki między pracą syna byłego premiera dla aferzysty Marcina P. a marazmem organów państwa w sprawie afery Amber Gold i działań OLT Express. – Znamienne, że panowie z Amber Gold mogli transferować pieniądze do OLT bez żadnej kontroli, bez faktur, zleceń, umów. Właściciel firmy ma wiele możliwości prawnych, by podnieść jej wartość, np. poprzez dokapitalizowanie, ale tu

wszystko funkcjonowało na zasadzie „wolnoamerykanki” – przekonuje poseł Rzymkowski.

Parlamentarzysta Kukiz'15 dodaje, że z dotychczasowych ustaleń komisji wynika, iż wszystko to działo się bez poważniejszego zainteresowania i kontroli urzędu skarbowego oraz Generalnego Inspektora Informacji Finansowej. – Był parasol ochrony. Nikt się nie interesował, czy od transakcji pobierano podatek, stosowne opłaty – mówi Tomasz Rzymkowski. I dodaje: – Mam wrażenie, że Michał Tusk był traktowany przez ludzi stojących za Amber Gold i OLT jako polisa ubezpieczeniowa. Jako przekaz: „Nie ruszaj sprawy, bo jest tam syn premiera, nie warto przy tym grzebać”.

Młody prawnik z ruchu Kukiza w swoich podejrzeniach nie jest odosobniony. Poseł Jarosław Krajewski w rozmowie z „Do Rzeczy” twierdzi, że już w trakcie prac w komisji udało mu się potwierdzić, że wielokrotnie państwowe instytucje odstępowały od egzekwowania ustawowych czynności i przepisów prawa wobec szefa Amber Gold i jego spółek. – Sprawdziłem np. w Urzędzie Lotnictwa Cywilnego, czy kiedykolwiek zdarzyła się sytuacja, że osoba prawomocnie skazana, a taką był przecież szef Amber Gold, mogła kierować przewoźnikiem lotniczym. Okazało się, że nie. Od każdego przewoźnika wymagano jasnych, czytelnych wyjaśnień – mówi Krajewski. – To, że w tym przypadku tego nie zrobiono, było, delikatnie mówiąc, bardzo niestandardowe. I z takimi niestandardowymi działaniami wobec szefa Amber Gold mieliśmy do czynienia w wykonaniu prawie każdej państwowej instytucji.

Michał Tusk, który rozpoczął pracę w OLT Express krótko przed wybuchem afery Amber Gold, zajmował się w spółce m.in. działaniami PR. Jak właściwie trafił do tej pracy? Zeznając w ubiegłą środę przed komisją śledczą Andrzej Dąbrowski, stwierdził, że syn premiera bardzo chciał pracować dla „tego projektu”. – Wiedziałem, że dla OLT pracuje Michał Tusk. To był luty lub marzec. Jak pamiętam, Frankowski powiedział, że Michał Tusk zgłosił akces do pracy w OLT. Wraziłem swoją opinię, a potem usłyszałem, że nieaktualne, a potem znów, że jednak został zatrudniony. Moja osobista opinia? Uważałem, że to może być dla nas sytuacja dwuznaczna – mówił Dąbrowski.

Podobną informację podał w marcu „Fakt”. Według gazety Marcin P. miał w czasie przesłuchania przed prokuraturą

mówić śledczym, że syn Tuska sam zabiegał u niego o możliwość pracy w OLT Express. Tymczasem po wybuchu afery Michał Tusk przekonywał dziennikarzy, że to OLT starało się o jego zatrudnienie.

Pikanterii sprawie dodaje fakt, że pracując dla właściciela Amber Gold i firmy OLT Express, młody Tusk był jednocześnie pracownikiem portu lotniczego w Gdańsku. W mediach pojawiały się informacje, że mógł przekazywać firmie OLT tajne informacje firmowe m.in. o cenach za obsługę pasażerską, którą gdańskie lotnisko pobierało od taniego przewoźnika Wizz Air, czyli konkurencji OLT. Sprawę badała Prokuratura Okręgowa w Gdańsku. Uznała, że choć Tusk pracował naraz w dwóch firmach i mógł popaść w konflikt interesów, to jednak nie ma dowodów, by działał na szkodę gdańskiego portu lotniczego.

851 mln zł

CO NAJMNIEJ TYLE PIENIĘDZY STRACILI
KLIENCI AMBER GOLD

To niejedyny konflikt interesów w pracy syna ówczesnego premiera. Pracując dla Marcina P., Michał Tusk był jednocześnie dziennikarzem „Gazety Wyborczej”. Wyszło na jaw, że jako dziennikarz pomagał przygotować pytania do wywiadu z dyrektorem zarządzającym OLT Express Jarosławem Frankowskim, a później – jako PR-owiec OLT – sam na nie odpowiedział.

AMBER GOLD JAK FOZZ?

Rola Michała Tuska w sprawie Amber Gold i działaniach OLT Express to tylko jeden z tropów, które musi wyjaśnić komisja śledcza. Wśród jej członków coraz więcej kontrowersji budzą informacje o zaskakujących działaniach służb specjalnych wokół całej afery.

– Jestem przekonany, że była to operacja przygotowywana i ochraniająca przez służby. Moim zdaniem służyła zdobyciu pieniędzy na wewnętrzne operacje – przekonuje „Do Rzeczy” jeden z członków komisji. Nie chce, by cytować jego nazwisko, bo dopiero gromadzi dane na ten temat.

Brzmi to jak teoria spiskowa, których wokół tej afery pojawia się wiele. Rzeczywiście jest sporo dziwnych przypadków w tej sprawie. W ubiegłym tygodniu

Witold Zembaczyński, poseł Nowoczesnej i członek komisji śledczej, poinformował – jak twierdził, opierając się na informacjach CBA – że „znaleziono mnóstwo osób, może nawet 60, które były bezrobotne, nie miały według swoich oświadczeń majątkowych pieniędzy, ale lokowały środki w spółce Amber Gold”.

– Komisja zdecydowała, że zwróci się do CBA o dokumenty. Trzeba sprawdzić dokładnie, kim były te osoby, skąd dysponowały środkami finansowymi i jaki był ich związek z Amber Gold – mówi „Do Rzeczy” poseł Zembaczyński. – Na mój wniosek komisja wystąpi też do Generalnego Inspektora Informacji Finansowej o informacje o osobach i instytucjach, które na konta Amber Gold wpłaciły powyżej 1 mln zł.

Polityk Nowoczesnej przypomina, że już w 2012 r. Tomasz Kaczmarek, znany jako „agent Tomek”, informował prokuraturę, jakoby Agencja Wywiadu miała zainwestować w Amber Gold 2 mln zł. Prokuratura umorzyła sprawę. Uznała, że nie ma dowodu na to, iż doszło do przestępstwa. – Część materiałów dotyczących tej sprawy jest tajna. Chcę ich odtajnienia i przekazania komisji w celu zbadania – zapowiada Zembaczyński.

Poseł Tomasz Rzymkowski uważa, że bezkarność szefów Amber Gold i OLT Express mogła wynikać właśnie z tego, iż stali za nimi ludzie służb specjalnych, a Amber Gold mógł być rodzajem „funduszu”. – Mam wątpliwości, czy Amber Gold został powołany tylko do sfinansowania operacji OLT – mówi polityk Kukiz'15. – Warto zwrócić uwagę na występujące w tej sprawie połączenie ludzi ze świata służb – a mamy takie informacje, których komisja na razie nie może ujawnić – i świata gangsterki. Może miał to być taki fundusz na kształt FOZZ zapewniający służbom dofinansowanie różnych działań? – dodaje.

W ubiegłym tygodniu Piotr Nisztor ujawnił na łamach „Gazety Polskiej”, że za rządów PO-PSL funkcjonariusze ABW nie wprowadzali zdobywanych o Amber Gold informacji do bazy wiedzy operacyjnej (to elektroniczny system wymiany informacji między służbami – przyp. red.). Zgromadzone w niej informacje pozwalają ludziom służb specjalnych analizować i porównywać elementy dotyczące prowadzonych spraw i osób. Niewprowadzenie danych do BWO w praktyce blokowało służbom skuteczne rozpracowanie afery Amber Gold.

Masłowska –



Andrzej Horubała

Dorota Masłowska wydała właśnie zbiór felietonów pod intrygującym tytułem: „Jak przejąć kontrolę nad światem, nie wychodząc z domu”

Oczywiście to wszystko jest urocze, fantastyczne, błyskotliwe, skrzące się od językowych gier, paradoksalnego zestawiania różnych idiolektów. No, człowiek jest olśniony tym pisarskim szczebiotem, prezentacją inteligencji świeżej, obserwacji niespodziewanych, paradoksalnych. I naprawdę to grzebanie Masłowskiej w śmietniku popkultury może urzec. Wyciąga z tego śmietnika rzeczy niesamowite, otrzepuje z kurzu rekwizyty zapomniane, podnosi swoje uczestnictwo w kulturze popularnej do rangi wielkiego wtajemniczenia w żywioł społeczny, pokazuje, jak z banalnej – zdawałoby się – rozrywki można wyciągnąć wnioski bardzo serio o naszej współczesności. A wszystko to ma lekkość i swobodę mistrzowskiej kawiarnianej konwersacji.

Czy będą to relacje z podróży, czy z wielogodzinnego jopienia się w telewizor.

Jest dowcipna, miejscami samokrytyczna, autoironiczna. Gdy pisze o oglądaniu seriali i prawdziwym nałogu, jakim staje się śledzenie telewizyjnych tasiemców, znakomicie określa ten wewnętrzny przymus, impuls, płynący z przekonania, że przecież „SAMO SIĘ NIE OBEJRZY”. A wcześniej: „To uczucie, że podtrzymujemy świat przedstawiony serialu naszym wzrokiem i słuchem, że to nasze przejęcie i ta uwaga są jego paliwem i tlenem, jedną z podwalin tego nałogu. To nie jest tak, że nic nie robimy, że bohaterowie świetnie by się bez nas obyli! Kompulsywnemu

oglądaniu seriali towarzyszy przekonanie, że dokładamy starań do czegoś fundamentalnego...”

KOSTROPATY PRZEŁOM

Jej zapiski z oglądania seriali są rzeczywiście niesamowite. Bo też zadania postawiła sobie Masłowska bardzo ambitne. Zanurza się w lata 90., ba, obejmuje nawet schyłek 80. i ogląda na przemian „Dynastię” z naszym pocziwym „W labiryncie”. Śmieje się z dawnych fascynacji, gdy nie zważając na mielizny i stereotypowość postaci pasjonowaliśmy się losami Blake’a Carringtona („szpakowatego praojca”) i demonicznej, ale wielobarwnej Alexis oraz Krystle („pocziwina podobna staremu, smutnemu źrebiciu – jej jedynym zadaniem jest bycie piękną”). Fantastycznie wyszydza tandetę amerykańskiego serialu, ale i kpi z naszej jego recepcji: gdy w latach 1991–1993 częstowani „Dynastią” czerpaliliśmy z niego wiedzę o lepszym świecie.

Ale czy rzeczywiście tak serio to oglądaliśmy? To chyba jednak pokoleniowe. Może młodziutka wówczas Dorotka (rocznik 1983) – tak. Lecz dorośli mieli chyba od początku dystans do tego tworu telewizyjnego i raczej ze zdziwieniem pomieszanim z politowaniem oglądali kolejne odcinki, traktując to jako produkt dość odległy od realizmu, a w fabularnych spiętrzeniach przecież niewymownie komiczny.

Nie inaczej, także z dystansem, oglądała się krajową telenowelę „W labiryncie” (1988–1991), nad którym z gracją pastwi się Masłowska, pisząc: „Kostropata forma w ścisłym sprzężeniu z kostropatą treścią daje w rezultacie prawdziwą sekcję zwłok kostropatego przełomu”.

I tu rzeczywiście świetnie pokazuje nieudolność dialogów, dziwaczność aktorstwa

zagadywanie pustki

(w tym wysmarowanego pastą do butów Witolda Żaboklickiego w roli pociesznego Murzyna oraz Karola Strasburgera jako amerykańskiego dziennikarza), wychwytyje obyczajowe koszmaki. Zresztą oddajmy jej głos: „Gdzie są te piękne beztrudne dni, gdy kalendarze z gołymi babami wisały w każdym polskim zakładzie pracy i przedszkolu, i na każdej plebanii? Gdzie się podziały żarty o cycach i dupie, seksualne podjazdy do pracownic, palenie fajek gdzie popadnie, picie alkoholu przez kobiety w ciąży, picie alkoholu przez wszystkich, wszędzie, do śniadania, obiadu, kolacji i nocnej przekąski??? Jeśli więc na co dzień powtarzacie ciągle i ciągle, że w Polsce nic się nie zmieniło, wciąż ten sam syf i tym podobne, to dopiero oglądając »W labiryncie«, możecie zobaczyć, jak wiele wody upłynęło w Wiśle, Warcie, Odrze, Sanie, w studni oligoceńskiej i pijalni wód w Kry-

nicy, odkąd przełożeni po wyjściu pracownicy z gabinetu na oficjalu wykonywali na wysokości klatki piersiowej znaczące półkola dłońmi”.

Tak, wracając do czasów przełomu, szydząc z estetyki czasu naszego prze-poczwarczania się, pamięta, że było to doświadczenie wspólne, pamięta o własnych zachowaniach i słusznie bije się w piersi, gdy opisuje drogę artystyczną Beaty Kozidrak: „Dopiero w latach dziewięćdziesiątych jej flirt z popem zaczął przybierać bardziej jarmarczne oblicza, niepokojące w sposób, w jaki wcale nie chcielibyśmy być niepokojeni, ale kto wtedy ubierał się dobrze, niech pierwszy rzuci kamieniem, na pewno nie będę to ja”.

Szczebiocze więc, mnoży słowa, popisuje się uniwersytecką erudycją, używając zresztą bez sensu wyrażenia „nomen

omen” czy „dezawuować”. No, ale jak było widać już z poprzednich książek, dla Małowskiej spotkanie z uniwersytetem zaowocowało także grandilokwencją i jakimś oszłomieniem nowymi słowami, nowymi ujęciami. Popisuje się więc Małowska: raz rzuci mięsem, kiedy indziej zadrybluje uczonymi wyrazami, by pokazać, że jest na bieżąco z akademickimi trendami.

NIEKOŃCZĄCA SIĘ NAWIJKA

Gada i gada, mnoży słowa, że aż chciałoby się jej krzyknąć (dostosowując do materii, jaką porusza): Shut up! Zamknijesz się, przestać trajkotać, powiedz coś serio!

No, ale ona i na to ma odpowiedź i zasunie – autoironicznie, że wie, że takimi błahostkami się zajmuje, że gada i gada, i wie, że śmiesznie uzależniona jest od tej popkultury, od tego śmiecia, którym co dzień napycha sobie głowę.

REKLAMA



**TAURON
LIFE
FESTIVAL
OŚWIĘCIM / 2017**

NAKREŚLA: MAŁOPOLSKA

23-24.06.2017

SCORPIONS

LP * SHAGGY

KASIA KOWALSKA

JULIA PIETRUCHA

LAO CHE * MESAJAH

BISQUIT * LESKI * BEMY

MALEO REGGAE ROCKERS

BILETY: WWW.EVENTIM.PL
WWW.LIFEFESTIVAL.PL



ORGANIZATOR



PARTNER
GOSPODARSTWA



MIĘDZYNARODOWY
FESTIWAL
MUSYKALNY



SPONSOR
TYTUŁOWY



SPONSOR
TYTUŁOWY



SPONSOR
TYTUŁOWY



SPONSOR
TYTUŁOWY



SPONSOR
TYTUŁOWY



SPONSOR
TYTUŁOWY



SPONSOR
TYTUŁOWY



SPONSOR
TYTUŁOWY



PARTNER
MEDIALNY



■ A gdy powiemy, że to jest zagadywanie pustki, że to miąłkie, ulotne, to ona też zgodzi się z tym, rozwinie temat i znów namnoży słów. Weźmie na warsztat „Kuchenne rewolucje” (format z Magdą Gessler) i zachwyci się nimi, a może nawet bardziej sobą oglądającą ten cykl i – och, jak wspaniale – analizującą go. Weźmie do rąk wywiad rzekę z Maleńczukiem i pokaże nam, jak czytać takie wykwyty knajackiej kultury. Opowie o docusoapach i znów zachwyci się sobą perlącą zdania.

A w tym wszystkim, po wywodzie pełnym słownych igraszek, unosić się będzie ponad tymi wszystkimi ludkami, którzy rzecz tę tworzą i którzy rzecz tę oglądają.

PRZEWROTNE MEDIUM

Nie docenia, zdaje się, przy tym zupełnie inteligencji telewizyjnych menedżerów. Gdy pisze o fenomenie telenowel dokumentalnych: „Oto w ramach ściśle przemysłowej, cynicznej polsatowskiej produkcji na amerykańskim formacie powstaje polska sztuka ludowa. To cud: to jakby z taśmy produkcyjnej wielkiej fabryki w Chinach wychodziły ręcznie malowane kubki albo poślaczane tabędzie z opon” – to przecież kompletnie ignoruje fakt, że tam, w telewizyjnych biurach, siedzi jeszcze paru inteligentnych facetów (o kobiecie nie wspominając!), którzy doskonale rozpoznają możliwości adaptowanych formatów. Oni tam naprawdę wiedzą, że nawet bardzo toporne telewizyjne ustawki owocują wydobyciem z naturalszczyków jakiejś prawdy o nich samych.

Gdy Masłowska rozszyfrowuje reakcje widzów na celebrycki reality show, to ćwierka tak, jakby nie wiedziała, że to wszystko zapisane jest w biblii formatu. Gdy rozkminia popularne cykle i triumfalnie obwieszcza nam, jakie to role grają w nich poszczególni bohaterowie, to przecież idzie krok w krok za dokumentacją programu, dostarczaną przez licencjodawcę, gdzie wszystko jest właśnie tak opisane. Jej naiwność, maskowana czasem autoironią, gdy odtwarza uczucia, jakie budzi Magda Gessler, rzeczywście ma w sobie coś z reakcji psa Pawłowa. Tak, chodzi właśnie o to, by Gessler wcielała się w straszliwą herod-babę, żeby przeklinała, piekła się, żeby budziła lęk i jednocześnie sympatię. I tak,



DOROTA MASŁOWSKA
„JAK PRZEJĄĆ KONTROLĘ NAD ŚWIATEM, NIE WYCHODZĄC Z DOMU”
WYDAWNICTWO LITERACKIE 2017

chodzi właśnie o to, by widzowie „Kuchennych rewolucji” mieli do dyspozycji parę poziomów odbioru: od naiwnego do ironicznego. Bo stacji zależy na oglądalności, a nie miłości. I przecież pokolenie Masłowskiej oglądające dla beki te wszystkie „Azja Express” wchodzi w ten świat, ujmując go w ironiczny cudzysłów, entuzjazmuje się relacjami Rozenek – Majdan, wkurza na Kaczoruk dla śmiechu, ale daje sobie ładować do mózgów cały ten shit.

Nie inaczej dzieje się z Masłowską: traci czas na oglądanie telewizyjnego badziewia, wyczytnia z nim niezwykle efekciarskie kombinacje, fajnie opisuje tę swoją ukochaną Polskę B, ciekawie

analizuje rytuał oglądania i konsumowania „Azja Express”, a także produkcję docusoap jako zemstę klasy niższej na celebryckim fałszywym świecie. Cóż, że jej efektywne sądy o kręceniu telenowel dokumentalnych nie mają nic wspólnego z rzeczywistością. Że ten październik robi się z zupełnie innym podejściem i że naturalszczyki wyławiani są z całym cynizmem doświadczonych starych wyg od produkcji. Zrobienie kupy do bidetu czy mięsny jeż z tandetną piosenką? Oj, bardzo naiwnie traktuje te rzeczy Masłowska, akademicką erudycją przykrywając ignorancję dotyczącą telewizyjnego molocha. Poza swoją refleksją pozostawia fakt, że ironia, jeśli chodzi o konsumpcję telewizji, została już dawno wbudowana w przekaz (pisał o tym przenikliwie w eseju „E Unibus Pluram: telewizja a fikcja amerykańska” udręczony postmodernistyczną pozą David Foster Wallace, który próbował wyrwać się z niewoli tego nieznośnego bożka czasów schyłku).

No i szaleje Masłowska. Ze swadą dowodzi, że te paradoksy to „zemsta statystycznego Polaka za całą fikcję telewizyjną i celebrycką, za te lata pokazywania mu wyphotoshopowanych twarzy, wypożyczonych samochodów i designerskich wnętrz”.

Snuje sugestywne fantazje, że to „tak jakby szarzy ludzie z bloków wzięli się do kupy i zrobili sobie wreszcie (z drobną pomocą telewizji) swój własny serial, tak jak umieli; każdy przyniósł, co miał najlepszego. Albo i najgorszego: we wspomnianie już przeze mnie kultowej scenie, w której okazuje się, że tata zrobił kupę do bidetu, i każdy członek rodziny po kolei zagląda do muszli, by stwierdzić tam obecność wypikselowanego balasa, wyczuwalne

jest coś jeszcze. Bliźniacza do linczów pod postami »Pudelka«, infantylna rozkosz defekowania w salonie, rzygania jaśniepanu do fortepianu. [...] Polsat i TVN zdają się tu tylko producentami wykonawczymi czy też alfonsami całego tego procesu”.

Nie docenia, zdecydowanie nie docenia telewizyjnych menedżerów, nie docenia przewrotności tego medium. Daje się nabierać, tylko na trochę wyższym, uniwersyteckim poziomie. Chociaż więc analizy języka, jakiego naturalszczyki używają przed włączoną kamerą, bywają kapitalne („elementy retoryki telemarketingowej” – „nie ukrywam, że”, „powiem tak”, „szczerze to” i powiedzonka typu: „szafa nie ma”, „dupy nie urywa”), choć odtwarzanie erotycznych relacji na planie „Kuchennych rewolucji” skrzy się dowcipem, to przecież podejście Masłowskiej do telewizji oparte jest na wielu złudzeniach, z których naczelnym jest to, że ironizując, demaskując chwytły, opisując własne reakcje, przechytrza się medium.

Językowa brawura pozwała jednak prześliznąć się nad niewątpliwie fałszywymi rozpoznaniem. Szarże Masłowskiej mają moc. Nawet gdy czasami uderzy w belferski sarkazm i rzuci „dowcipnie”, pisząc o zalegających w Polsce śmieciach: „Zza których pod koniec sierpnia ledwie widać, że las jednak jest w swojej idei formacją roślinną” – to zaraz zrehabilituje się westchnieniem: „Tak, jest dla nas, Polaków, ciągle jakaś adrenalina w wyjebanu starej pralki do lasu”...

Kapitalnie grać będzie popkulturowymi kliszami, gdy epizod z Dnia Dziękczynienia zacznie krótkim przypomnieniem, co jest istotą tego święta: „Polega ono na jedzeniu jedzenia i może też posłużyć jako okazja do uderzenia nie lubianego rodzica pokrywką od brytfanny lub do ogłoszenia swojego homoseksualizmu”. Będzie świetna, gdy podejmie pionierskie i bezlitosne obserwacje na temat internetowych porad wideo dotyczących sztuki uwodzenia, w których Don Juan okazuje się raczej Don Januszem.

Naprawdę, podziwiając jej smykałkę do słownych zabaw, chciałoby się wykrzyknąć: Boże, dzięki za Masłowską!

KONIEC ZŁUDZEŃ

Do tradycjonalistów ma Masłowska (do czasu!!!) stosunek pobłażliwy, jak do niegroźnych dziwaków. Świetnie opisuje strategię jej ulubionego pisma kulinarnego: „Każdy numer opatrzony jest rodzajem kuchennego reportażu, którego bohaterem jest rodzina tak niepostmodernistyczna, jakby »Prześlij Przepis« robił Tomasz

Terlikowski pod pseudonimem. Czyli pichcąca kobieta, której kopystkę podaje dziewczynka, podczas gdy chłopiec interesuje się budową maszyny do mięsa, zaś mąż towarzyszy niewprawnie w obieraniu jarzyn. [...] Gotujący mężczyźni zdarzają się bardzo rzadko, a nawet jeśli już, to zawsze deklarując swój status początkującego [...] w imię zasady, że mężczyzna w kuchni to pocieszny niezgrabiasz, mylący warząchew z sitkiem”...

Owszem, odwołuje się do stereotypów, gdy pisze o Magdzie Gessler, że „reprezentuje jedną z najbardziej znienawidzonych i otoczonych w mizoginicznej Polsce głębokim lękiem figur – figurę baby. Baby z piekła rodem; baby, którą diabeł posyła tam, gdzie sam nie może, i w której piecu pali”. Owszem, wtrąca czasem jakieś banały o tradycyjnej polskiej mentalności. Ale przecież dopiero w tekście o grafo-mańskiej „Szamance” duetu Żuławski (reżyseria) oraz Gretkowska (scenariusz) odkrywa karty i na zawsze rozwiewa nadzieje tych, którzy liczyli, że jej zdroworozsądkowe myślenie zaprowadzi ją do obozu umiarkowanej prawicy. Naiwne złudzenia. Masłowska, z entuzjazmem przejmując bełkot twórców „Szamanki”,

pisze, że bohaterka filmu „jest wszystkim, co kultura katolicka usiłuje od zawsze z polskich kobiet wyegzorczyć i zmuszać”, i przystępuje do furiackiego ataku na Kościół: „Znowu w jakimś paradoksalnym przetasowaniu historii, w polskich łóżkach i majtkach zjawia się Kościół katolicki. Niezreformowany, nadgryziony zębem czasu, w nieszczególnej formie, ale jak zawsze gotów do światopoglądowych porządków. [...] z aptek znika postinor [...] Patronką kobiet, i tych wierzących, i tych nie, znowu ma być Maryja Zawsze Dziewica ze szramami na twarzy. Jedyne błogosławione piersi to te, które ssał prezydent, a rzeczoznawcą w kwestii aborcji jest episkopat polski”.

To nie jest stylizowanie się na tupiącą nóżką feministkę ze spapranym życiem, z pretensjami do Kościoła, że chce uczyć moralności. To głos autorki. Cóż, dziwne to sprawy i późniejsze przytoczenie żartu Żuławskiego o biskupach niespecjalnie godne słuchaczki kulturoznawstwa: „Co to w ogóle są za ubiory, o co w nich chodzi? Wyobraża pan sobie, że facet w takich złocistych szatach i z pastorałem wejdzie do sklepu, żeby kupić sobie bułeczkę?”.

Nie wiem, czy to tylko moje wrażenie, ale passusy przeciw Kościołowi i PiS dźwięczą mi jakoś wtórnie, jakby pasja paraliżowała lingwistyczną wynalazczość pisarki. Przecież i koniec tego felietonu nie brzmi świeżo: „Oto prawdziwy thriller. Thriller od twórców dobrej zmiany. Zwanej coraz częściej »niezwykle złą zmianą, której jednak ostateczne wprowadzenie będzie wiązało się chyba z koniecznością wyłączenia w Polsce Internetu i przeniesienia jej terytorium w kosmos”. Mało to lotne. A może moje przekonania powodują, że czytam te fragmenty z niesmakiem?

Są w „Jak przejąć kontrolę” ciekawe fragmenty autobiograficzne, które każą nie porzucać nadziei, że Masłowska przejdzie jednak od tych form drobnych, od tego zagadywania pustki do czegoś ciekawszego. Opisy dwóch niepokojących spotkań z melnami czy też scenka z Wólki Kosowskiej, a przede wszystkim finał książki – impresja ze spaceru po Warszawie pozwalają liczyć na to, że autorka tych zapisków wreszcie odważy się przejrzeć w lustrze i porzucając swój multilingwistyczny szczebiot, podaruje nam coś więcej. Autobiograficzną powieść? Bardziej refleksyjny dziennik? Czekamy.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

PHIL M'INTYRE ENTERTAINMENTS WE WSPÓŁPRACY Z PRESTIGE MJM I MULTIMEDIA ORGANISATION PREZENTUJĄ

QUEEN

+ Adam Lambert

KONCERT

6 listopada 2017

ATLAS ARENA ŁÓDŹ

- BILETY: PRESTIGEMJM.COM, eBilet.pl, EMPIK -



"A combination of the best traits of both worlds.
Delivering a planet-sized visual spectacle, using enough electricity to power an entire city..."
BILLBOARD

Prestige
MJM

MULTIMEDIA
ORGANISATION

NOVOTEL
HOTELS & RESORTS

ŻER
empik

wprost

RZECZY

Gala

GAZETA BANKOWA

Gitarzysta

Perkusista

Multikino

GOLD HITS

onet

cgm.pl

DlaWas.info

SCENOTWÓRCY.PL

VIXON

ams



Zamiast listu pożegnalnego dziewczyna zostawiła pudełko z 13 kasetami magnetofonowymi, na których nagrała swoją opowieść o tym, co jej się przydarzyło od czasu, gdy z rodzicami przeprowadziła się do małego miasteczka gdzieś w Stanach Zjednoczonych i rozpoczęła naukę w miejscowej szkole. Ów zestaw 13 kaset zostaje dostarczony Clayowi Jennsenowi, przyjacielowi Hannah, który był w dziewczynie beznadziejnie zakochany. Każda z kaset jest oskarżeniem konkretnej osoby, odpowiedzialnej za to, że dziewczyna podcięła sobie żyły – według niej samej, bo widz może ze zrozumieniem tego mieć spore problemy.

Analogowy entourage z początku może dziwić: w końcu jesteśmy w czasach jak najbardziej współczesnych. Kiedy jednak przyjrzymy się mikrokosmosowi małego amerykańskiego miasteczka, odkryjemy, że niewiele się tutaj zmieniło od czasu przedfrowych „Carrie” Stephena Kinga z 1974 r. i „Twin Peaks”. Miejscowe liceum wciąż dzieli się na „tych fajnych” (chłopaków grających w drużynie rugby, ich dziewczyny cheerleaderki), „tych w czystcu” (np. Claya, szkolnego nerda, zafascynowanego science fiction i dorabiającego korepetycjami dla sportowych gwiazd) oraz tych poniżej czystca (fotoreportera szkolnej gazetki, dziewczynę wychowywaną przez parę homoseksualistów).

Hannah była pośrodku: rodzice prowadzili aptekę, mieszkała ani biednie, ani bogato, nie była ani ładna, ani nieładna, chociaż chłopcom się podobała. Nie była też szykanowana – choć oczywiście miała prawo poczuć się uprzedmiotowiona, gdy w prowadzonym przez chłopców z liceum rankingu oceniono, że ma „najlepszy tyłek w szkole”. Jednak większa część tytułowych 13 powodów starszemu od bohaterów widzowi wydaje się mieszczącym się w granicach licealnej normalności niedobrym zachowaniem „wrednych dzieciaków”, z całą pewnością nie przyczyną odebrania sobie życia.

I to w serialu Netflixu jest najciekawsze. Po emisji „13 powodów” w USA biuro edukacji w nowojorskim ratuszu poruczyło dyrektorom miejscowych szkół, by kazali rodzicom o nich porozmawiać ze swoimi dziećmi. „Jeżeli oglądają ten serial, spytaj je, jak się czują – czytamy w rozesłanym przez urząd liście. – I przypomnij, że szkolny pedagog zawsze może odpowiedzieć na nurtujące je pytania”. W liście tym dostrzegalna jest pewnego rodzaju bezradność amerykańskich oficjeli. Jak bowiem

Brak cierpień młodego Wertera



Wojciech Engelking

„13 powodów” miało być serialem o nastolatkach dla nastolatków, stało się zaś serialem o nastolatkach dla widzów starszych od nich. Diagnoza dotycząca najmłodszego pokolenia może przerazić

Gdyby jakkolwiek prokuratura prowadząca sprawę Hannah Baker – bohaterki nowego serialu Netflixu „13 powodów”, która chwilę przed rozpoczęciem roku szkolnego podcięła so-

bie żyły – wiedziała to, co wie widz serialu, ze znalezieniem dowodów nie miałaby trudności. Hannah dokładnie wyjaśniła, dlaczego zrobiła to, co zrobiła – a przynajmniej wyjaśniła we własnej opinii.

zrozumieć, że dziewczyna odebrała sobie życie nie dlatego, iż chłopak, w którym się kochała, ją odrzucił, ale dlatego, że też ją kochał, ale był zbyt wielką ofertą, by to wyznać? Co więcej, jak zrozumieć, że i on kupuje narrację proponowaną przez Hannah i czuje się z tego powodu winny?

Kiedy w wydanej dekadę temu pracy „Generation Me” amerykańska psycholog Jean M. Twenge zbadała najmłodsze podówczas pokolenie Amerykanów, spostrzegła, że jednym z głównych motywów popychających młodych ludzi do odebrania sobie życia jest, upraszczając, bycie odrzuconym przez grupę rówieśniczą. Potraktowała to jako jeden z dowodów na skupienie się najmłodszych Amerykanów na sobie. W „13 powodach” sytuacja ta wybujała w sposób niesamowity. Główna bohaterka nie twierdzi, że jej życie jest nic niewarte – twierdzi, iż jest warte mnóstwo, ale nie należy się światu, skoro ten nie potraktował jej tak, jak chciała. Hannah to nie Werter albo przedstawicielka modnej parę lat temu subkultury emo żegnająca się z tą planetą, bo jest tu dla niej nie do wytrzymania. Jej pożegnanie ze światem jest dla świata karą za to, że nie potrafił jej docenić.

Takie zachowanie może wydawać się wydumane, podobnie jak zostawienie 13 kaset z nagrany mi oskarżeniem. Kto tak twierdzi, ten niech zapozna się z historią pewnego angielskiego studenta, który w 2013 r. zalogował się na internetowe forum 4chan i tam rozpoczął transmisję tego, jak wódką popija tabletki nasenne, a potem otwiera w pokoju gaz. Przez Romea Vitellego z „Psychology Today” jego samobójstwo zostało określone jako nowy rodzaj odbierania sobie życia – samobójstwo jako performance, dzieło sztuki.

Serial – początkowo wydający się propozycją dla widzów young adult (czyli „niedorosłych dorosłych”), którzy od utworu artystycznego oczekują, by był czymś więcej niż dziecięcą baśnią, a czymś mniej niż poważną opowieścią – nasuwa jeszcze jeden trop. Gdy w końcu, w przedostatnim odcinku, pojawia się powód, dla którego samobójstwo nastolatki staje się zrozumiałe nie tylko dla widzów-rówieśników, zaczynamy rozumieć, że poprowadzeni głosem Hannah nie oglądaliśmy żadnego obiektywnego obrazu amerykańskiej



**„13 POWODÓW”
NETFLIX**

szkoły. Oglądaliśmy ją jej oczami: dziewczyny w depresji, która najsłabszy i najmocniejszy bodziec odbiera na tym samym poziomie upokorzenia. I wtedy nie dziwi już wcale niewyestetyzowana scena samobójstwa, być może jedna z najbardziej drastycznych, jakie w serialach zdarzyły się w ostatnich latach.

Twenge w reedycji swojej pracy sprzed paru lat spostrzegła, że od początku XXI w. liczba zachorowań nastolatków na depresję wzrosła kilkukrotnie, nieomal wprost proporcjonalnie do wzrostu poczucia własnej wartości. Dodała wówczas, że przedstawiciele Generation Me nie chcą się do tego przyznawać w obawie przed ośmieszeniem. Twórcy „13 powodów” zapraszają widza do udziału w perwersyjnym eksperymencie. Dopóki nie zobaczymy, jak Hannah się zabija, i tego, co to samobójstwo poprzedziło, dopóty jej wynikające z depresji fomy wydają się nam wydumane i głupie. Dopiero wtedy, kiedy się wydarzy, zdajemy sobie sprawę, ile małych znaków przegapiliśmy.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

WSCHÓD KULTURY

EUROPEJSKI
STADION
KULTURY

22-25 czerwca 2017

The Kooks,
Bovska, Bisz / Radex, Brodka / Unkle,
Bednarek / DrymbaDaDzyga,
LemON / Rustavi Ensemble,
Enej / Džambo Aguševi Orchestra

Koncert główny
piątek 23 czerwca, godz. 20:00
Stadion Miejski w Rzeszowie
www.wschodkultury.eu



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



WIESŁAW
CHĘĆMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Nie ufajcie wicehrabiom



★★★★★
**REŻ. STÉPHANE
BRIZÉ**
**„HISTORIA
PEWNEGO ŻYCIA”
(„UNE VIE”)**
**FRANCJA/BELGIA
2016**

wyst. Judith
Chemla, Jean-Pierre
Darroussin,
Yolande Moreau

O wyższości literatury nad kinem – nieśmiertelnego serialu odcinek kolejny. Paradoksalnie „Historia pewnego życia” to już dziś antykwariat. Powieść o pechowej baronównie, wydana w 1883 r., była – jak na owe czasy – odważna, może nawet rewolucyjna. Jednak cóż, mamy już XXI w. Drzwi, które Maupassant wspólnie ze swym krajanem Flaubertem wyważał, są otwarte tak szeroko, że aż zrobił się przeciąg. Nie ma już tematów tabu. Twórcy, media i służby specjalne śmiało zaglądają pod cudze kołdry. Kobiety też się zmieniły: nie są już tak łatwowierne i bezbronne. O tym, że małżeństwo to również związek dwóch ciał, dowiadują się na długo przed ślubem.

W epoce madame Bovary i Anny Kareniny gatunkiem,

który gwarantował dotarcie do jak największej liczby odbiorców, był melodramat. Teraz na rynku idei króluje anglosaska komedia romantyczna. Dlatego Maupassant przegrywa w przedbiegach z Jane Austen, choć jest od niej nowocześniejszy i bardziej przenikliwy. Niestety, „Historia pewnego życia” umocni reputację Francuza jako skończonego ponuraka. Film jest manifestem pesymizmu w stopniu znacznie większym niż oryginał. Jeanne nie wygląda tu „jak z portretu Veronesa”, od początku sprawia wrażenie męczennicy. Brizé i spółka wręcz wychodzą ze skóry, by opowiedzieć jej smutne dzieje w sposób możliwie nieefektywny. Widać, doszli do wniosku, że ludzie naoglądali się już namiętności, zdrad oraz zbrodni gdzie indziej i trzeba dać im odpocząć.

Bliskie plany i ciasne kadry wywołują uczucie klaustrofobii. Ani przez chwilę nie ujrzymy zamku barona Le Perthuis des Vauds w całej jego okazałości, dowiemy się tylko, że w środku jest ciemno i zimno. W książce piękno normandzkiego wybrzeża łagodziło cierpienia bohaterki. W filmie pojawił się za to obsesyjny motyw podlewania grządek. A przecież nie mamy do czynienia z jakimiś hreczkosiejami, lecz z rodową arystokracją.

W sensie społecznym powieść Maupassanta to kronika zmierzchu i upadku utytułowanych rodzin, spowodowanym przez błędy wychowawcze, powtarzane w każdym pokoleniu. Każda fortuna stopniowo jak bałwan w słońcu, kiedy zarządza nią lekkoduch lub utracjusz. Ofiarą edukacji jest również baronówna, która głowę ma nabitą farmazonami o romantycznej miłości. Zubożały wicehrabia z sąsiedztwa takiej okazji nie przegapi. „Historia pewnego życia” to materiał na epickie, kostiumowe widowisko w gwiazdorskiej obsadzie, z łalami rozbijającymi się o normandzkie klify. Skoro Francuzi mają opory przed tak trywialnym ujęciem tematu, to niech odstąpią Maupassanta Brytyjczykom. Oni się nie zawahają. ©©



TEATR: „MĄŻ I ŻONA”

Uwodzą, kłamią, porzucają, za nic mają dane słowo i los człowieka-przedmiotu, który na chwilę stał się narzędziem do uzyskania rozkoszy. Tuż-tuż, za sceną, czai się katastrofa. Koniec ich świata. Czy podmiata miłości na egoistyczny seks przyspiesza katastrofę, czy może te biedne kukielki rozkiełzanych żądz, przeczuwając tragedię,

czepiają się do ostatka zmysłowych oznak życia, ostatniego potwierdzenia, że się nadal jest, a nie tylko było – odpowiedź na to pytanie Jarosław Kilian pozostawia widzowi. Tekst Fredry podany znakomicie, bez egzaltacji, bez zmian rytmu, perlący się pianką humoru ponad niewesołą diagnozą natury ludzkiej, zawartą już w pierwotnym

zamyśle pisarza, tu, w Teatrze Polskim A.D. 2017, podkreśloną i podaną na plan pierwszy. Nadto – mnóstwo inteligentnych, komediowo wyrafinowanych pomysłów inscenizatorskich. ©© **Gabriel Michalik**
• **Aleksander Fredro „Mąż i żona”,**
reż. Jarosław Kilian, Teatr Polski
im. Arnolda Szyfmana, Warszawa

Kryształowe serca

Opowieści o urodziwych pannach, na które opiekunowie nałożyli areszt domowy w obawie przed natarczywymi epuzerami i łowcami posagów, odeszły do lamusa. Zastąpiły je ekranizacje literatury spod znaku young adult. Film Stelli Meghie jest aż nadto typowym przedstawicielem tego gatunku. Bohaterka ukończyła właśnie 18 lat, hormony w niej buzuja, ale świat i ludzi może oglądać tylko przez grubą szybę. Cierpi bowiem na rzadką przypadłość – ma alergię prawie na wszystko.

Życie towarzyskie on-line jest dla niej jedynie namiastką prawdziwego. Książniczka, uwięziona

w szklanym zamku, wygląda odsiecz. Trzeba trafu, na sąsiednią posesję wprowadza się Olly – młodzian piękny i posępny. Dawno się tak nie wynudziłem w kinie (nawet końcową fabularną przewrotkę łatwo przewidzieć).



★★★★★
REŻ. STELLA MEGHIE
„PONAD WSZYSTKO”
(„EVERYTHING, EVERYTHING”)
USA 2017

wyst. Amandla Stenberg, Nick Robinson, Anika Noni Rose

Stenberg wzruszała w „Igrzyskach śmierci”. Producenci spodziewali się, że teraz też trafi do serc widzów. Przygoda z modelem odebrała jednak Armandli jej największy atut – naturalność. Fanki powieści Nicoli Yoon, licznych również nad Wisłą, nie zniechęci, lecz pozostałym zalecam raczej wypad w plener. No, chyba że ktoś jest naprawdę uczulony. ©©

Wiesław Chelminiak



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

GRA TYGODNIA: „EVERSPACE”

Kiedy siadałem do „Everspace”, nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że będzie to kolejna na rynku kosmiczna strzelanka, która narobi nieco hałasu, ale o której świat po kilku miesiącach zapomni. Tymczasem twórcy ze studia Rockfish, wykorzystując znane z innych gier mechanizmy i zreczo-

ściową mechanikę rozgrywki, zrobili to na tyle sprawnie, że nie sposób było się oderwać od rozgrywki. Bezkręśny kosmos do zbadań, zdobywanie surowców, nieustanna modyfikacja statku i śmierć, która nie kończy zabawy. Szczególnie odkrycie zagadki tego ostatniego



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

aspektu, połączone z fabułą, daje sporo frajdy. ©© **Marcin Makowski**

- **Gatunek:** Akcja/SF
- **Platforma:** PC/XONE
- **Producent, dystrybutor:** Rockfish/Techland
- **Klasyfikacja wiekowa PEGI:** 12+

DZIEŃ MICHALINY

Autorka „Dnia Kobiet” tym razem o seksie i PRL – co wystarczyło, by zapewnić jej filmowi dużą jak na polskie warunki frekwencję w kinach. Wyrażając uznanie dla świetnej, energetycznej Magdaleny Boczarskiej w roli głównej, warto zwrócić uwagę i na to, że jest to bardzo wybiórcza i stronnicza opowieść o słynnej polskiej seksuolog.



★★★★★
REŻ. MARIA SADOWSKA
„SZTUKA KOCHANIA”
POLSKA 2016,
AGORA

wyst. Magdalena Boczarowska, Eryk Lubos, Justyna Wasilewska, Piotr Adamczyk

W ujęciu Sadowskiej autorka poradnika „Sztuka kochania” jest niemalże dysydentką, która walczy z systemem złym, bo zakazującym przyjemności i seksualnych rozbudzeń. Kto zna biografię Wisłockiej, ten wie, że tej ostrej przeciwniczce aborcji najbardziej przeciwstawiały się nie partyjne lobby ani Kościół, lecz lekarze zarabiający na – jak to się wtedy mówiło – „skrobaniu dziewczuch”. Kreowana na skandalistkę, była też Wisłocka żarliwą orędowniczką prawdziwej miłości przeciwstawianej pustym erotycznym uciechom.

ATOMOWE OSKARŻENIA

Azjatyckie kino katastroficzne kojarzy nam się głównie z Godzillą obudzoną atomowym wybuchem. W południowokoreańskim thrillerze „Pandora” mamy atom, lecz potworami są ludzie: zbyt głupi, zbyt strachliwi albo zbyt nieostrożni. W jednej z elektrowni dochodzi do awarii – szybko okazuje się, że nie tylko jest stara, lecz także nie była właściwie konserwowana. Wypadki toczą się błyskawicznie: ewakuacja, radioaktywna chmura itd. To wszystko zajmuje jedną trzecią filmu, a dalej – i tu jest prawdziwe zaskoczenie – reżyser konsekwentnie wyciąga wnioski z sytuacji i eskaluje napięcie. To także film mocno oskarżający atomową branżę o ukrywanie niedoróbek dla własnych zysków oraz polityków o to, że nie potrafią radzić sobie z kryzysowymi sytuacjami. Porównanie do awarii w japońskiej Fukushima nie nasuwa się samo – tam tragedii można było uniknąć, gdyby podnieść alarm odpowiednio wcześniej, zamiast bać się utraty twarzy. A kto potem zamiata cały bałagan? Tak jest, zwykli ludzie. ©©



★★★★★
REŻ. JONG-WOO PARK
„PANDORA”
KOREA
POŁUDNIOWA
2016, NETFLIX

wyst. Jung Jin-young, Kim Joo-Hyun, Kang Shin-il

recenzuje Piotr Gociek

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Deville i Czerwoni Khmerzy

Ta wielowątkowa, rozpięta na przestrzeni ponad 150 lat opowieść o Indochinach ma swoją dominantę w postaci historii najbardziej przerażającego eksperymentu społecznego, jakiego byliśmy świadkami za naszego życia, a mianowicie rewolucji Czerwonych Khmerów w Kambodży.

To nie skala terroru ani liczba ofiar zadecydowały o wyjątkowości tego ludobójstwa z lat 70. zeszłego wieku. Milion lub dwa miliony zabitych w ciągu czterech lat to przecież mniej niż sześć milionów, które poniosły śmierć w hitlerowskich obozach zagłady; mniej niż 20 mln, które nie wróciły z sowieckich łagrów; na pewno mniej, niż zginęło w Chinach Mao (50 mln?). A jednak kampuczańskie eksterminacji dokonanej zgodnie z zasadą: „Lepiej zabić niewinnego, niż oszczędzić życie wrogowi!” nie da się porównać z niczym. Zdrajców zwożono w wyznaczone miejsca ciężarówkami, kazano im kucnąć nad rowami, a następnie walono w głowę żelaznym prętem. Następna grupa dobijała poprzedników. Naboje oszczędzano, szkoda ich było zużywać na tych, którzy na życie nie zasługiwali.

A rewolucja Pol Pota i jego przyjaciół z czasów studiów w Paryżu wyznaczyła masę zbędnych grup społecznych i zawodowych. 17 kwietnia 1975 r., gdy Czerwoni Khmerzy zdobyli Phnom Penh, nastąpił koniec lekarzy i adwokatów, profesorów i artystów, studentów i prostytutek. Od całej tej zarazy rewolucja uwolniła lud. Uwolniła go też m.in. od pieniędzy i od druku. W ciągu kilku dni z miasta wygnano niemal wszystkich, przez okna wyrzucając to, czego posiadania zabraniała zwycięska organizacja: telewizory i sprzęt kuchenny, zegary, lekarstwa, książki. Nad chodnikami fruwały pieniądze, za które i tak niczego nie można było kupić. Dotychczasowy świat zniknął



FOT. BARBARA ZANON/GETTY IMAGES

i miało już go nie być. Nastąpił koniec „z własnością prywatną i sądami, koniec ze szkołami, z kinami, księgarniami, kawiarniami i restauracjami, koniec ze szpitalami, z handlem, z samochodami, windami, kosmetykami i lodziami, koniec ze sklepami, z pocztą i telefonami. Żadnego białego wina czy szczoteczki do zębów”.

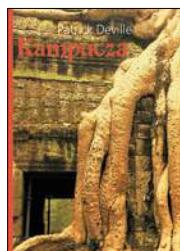
Ci, którzy będą likwidowali „wrogów” za choćby najmniejszy kontakt z Zachodem, o znajomości języka francuskiego nie wspominając, sami studiowali „Umowę społeczną” Rousseau, zaczytywali się „Wielką Rewolucją Francuską” księcia Kropotkina, pisali doktoraty z ekonomii, budując światopoglądy we Francuskiej Partii Komunistycznej, której zostali członkami.

Czerwoni Khmerzy zostali zwyciężeni i, w jakiejś części, osądzeni oraz skazani. Jednak np. ks. François Ponchaud, który jako pierwszy alarmował świat, informując o tym, co się dzieje w Kambodży, uważa, że wspólnota międzynarodowa nie ma żadnego prawa, by ferować wyroki, bo to ona wspierała zbrodniarzy. Jeśli zaś chodzi o miejscowe władze,

to są nimi byli Czerwoni Khmerzy. Towarzysze sądzą towarzyszy – powiada ten katolicki kapłan – eksspadochroniarz z Algierii, zażarty antykomunista i przez to – a jakże! – mocno niepoprawny politycznie.

Kiedy Amerykanie, gdy przejeżdżali na oczy, spytali ks. Ponchauda, czy wesprze ich w ewentualnym procesie Pol Pota i jego współpracowników, odpowiedział twierdząco, „jeśli jednak obok rozpatrywana będzie także odpowiedzialność Nixona i Kissingera, skądinąd laureata Pokojowej Nagrody Nobla. Stany Zjednoczone zrzuciły setki tysięcy ton bomb na maleńki kraj, z którym nie były w stanie wojny. Na Kambodżę i Laos spadło więcej bomb niż na Japonię w czasie wojny o Pacyfik. Każda z nich przyspieszała zwycięstwo Czerwonych Khmerów i ruchu Pathet Lao w Wientianie”.

Kampucza” sześć lat temu uznana została przez magazyn „Lire” za najlepszą francuską powieść roku. Jest ona trzecią częścią cyklu Patricka Deville’a, cyklu znanego i w Polsce, dziejącego się na różnych kontynentach, bo i w Ameryce Środkowej („Pura Vida”), i w Afryce („Ekwatoria”), a teraz i w Azji. W „Kampuczy” autor nie ogranicza się do czasów Pol Pota, sięga też w przeszłość, snując swą opowieść od roku 1860, kiedy to pewien łowca motyli zupełnie przypadkowo odkrył wspaniałe świątynie Angkoru. Pod koniec XIX w. doszło do starcia kolonializmu francuskiego i angielskiego. Po latach nastąpił upadek Francuzów i walki o wpływy dwóch antagonicznych systemów politycznych. Mamy tu też wojnę w Wietnamie, ruch Pathet Lao w Laosie i, oczywiście, Czerwonych Khmerów. A wszystko to w nawiązaniu do Grahama Greene’a, André Malraux, Josepha Conrada. Porywająca książka! ©



★★★★★
PATRICK DEVILLE
„KAMPUCZA”
NOIR SUR
BLANC,
WARSZAWA 2017



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Co się stało z Paulą Hawkins

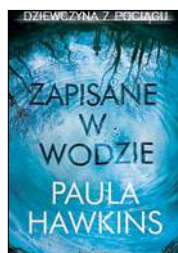
Kilka ciepłych słów zdarzyło mi się skierować pod adresem „Dziewczyny z pociągu”. Rekomendowałem czytelnikom „Do Rzeczy” ową powieść, bo polubiłem jej bohaterkę – daleką kuzynkę Bridget Jones, ale dużo wiarygodniejszą od bohaterki Helen Fielding. Narratorka poprzedniego thrillera Pauli Hawkins była osobą, z którą czytelnikom łatwo było się identyfikować: rodzinne kłopoty, depresja, walka z wagą, trochę za dużo białego wina. Zagadka kryminalna swoją drogą, ale jeśli nie masz sympatycznego (choćby i pogubionego) bohatera, toś – popularny autorze – zgubiony. Uroku oryginału nie udało się ocalić w filmie, kinowa wersja „Dziewczyny z pociągu” była chłodna i nużąca.

„Zapisane w wodzie” nie ma zalet „Dziewczyny z pociągu”, nabierało za to sporo wad, niby magnes toczący się po złomowisku i przyciągający metalowe śmiecie. Nowa powieść Hawkins, podobnie jak poprzednia, należy do popularnego w ostatnich latach podgatunku, w którym to, co najgorsze, rozgrywa się za drzwiami domów, które mijamy po drodze – w rodzinie, między małżonkami, między rodzicami

i dziećmi itd. Trup pada szybko – na początku mamy zabita w tajemniczych okolicznościach młodą kobietę, ale potem ofiar przybywa. Niestety, przybywa też narratorów, bo mamy tu łącznie 11 głosów, zwykle trudnych do odróżnienia. I tak chwyt, który może – jeśli dobrze zrealizowany – zwiększyć napięcie, tym razem tylko męczy. No i męczyłem się podczas lektury okrutnie, bo mieszały mi się te głosy, a w dodatku niespecjalnie widziałem powody, dla których poszczególnym narratorom miałbym kibicować.

Dobrych thrillerów ukazuje się wiele, nie trzeba marnować sobie życia na eksperymenty. Książka Pauli Hawkins została przez niektórych krytyków nazwana eksperymentem ambitnym, ja użyłbym raczej słowa „pretensjonalny”. Aby przekroczyć granicę między komercyjną młódką a ambitniejszą prozą, nie wystarczą instynkt

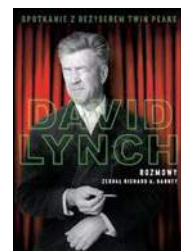
i zręczność, potrzeba jeszcze talentu i stylu. Tymczasem Hawkins potknęła się już na etapie zręczności. Nie wątpię, że „Zapisane w wodzie” będzie się nieźle sprzedawać, niesione sławą poprzedniej powieści. Słaby to jednak argument na obronę nieudanego kryminału. ©©



★★★★★
PAULA HAWKINS
„ZAPISANE
W WODZIE”
ŚWIAT KSIĄŻKI
2017

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE:

Lektura w sam raz, by uczcić nowy sezon „Twin Peaks”. Jednak Lynch to twórca dużo ważniejszy, niż można sądzić po serialu. Zbiór wywiadów z twórcą „Dzikości serca” i „Blue Velvet” przeprowadzonych w ciągu ostatnich 40 lat.



RICHARD BARNEY
„DAVID LYNCH.
ROZMOWY”
AXIS MUNDI

Piękna gawęda historyczna o koniach i Polakach, o miłości do tych pięknych zwierząt i tajemnicach sprzed wieków. Autor zna temat z autopsji – hodzi konie krwi arabskiej i bierze udział w długodystansowych rajdach konnych.



KRZYSZTOF CZARNOTA
„CZARODZIEJE
KONI”
ZYSK I S-KA

Były szef Agencji Bezpieczeństwa Narodowego o amerykańskiej wojnie z terroryzmem, ale jak się okazuje, głównie o biurokracji, kłopotach z kłamstwami mediów i politycznych podchodach na własnym podwórku. Pouczające.



MICHAEL V. HAYDEN
„NA KRAWĘDZI”
PRÓSZYŃSKI
I S-KA

Ciąg dalszy powieści „Królowie Dary”, epickiej fantasy łączącej wątki zachodnie i orientalne. Na tom trzeci trzeba poczekać, bo autor pisze nową książkę z uniwersum „Gwiezdnych wojen” (o Luke’u Skywalkerze). ©©

poleca Piotr Gociek



KEN LIU
„ŚCIANA BURZ”
SQN

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. **Paula Hawkins „Zapisane w wodzie”** (Świat Książki) – nowa powieść autorki największego bestsellera ostatnich lat, czyli „Dziewczyny z pociągu”.
2. **Agnieszka Maciąg „Smak zdrowia”** (Otwarte) – nowa książka modelki i blogerki, osobisty przewodnik po dietach naturalnych i ziołach.
3. **Jay Asher „Trzynaście powodów”** (Rebis) – śmierć nastolatki objaśniana przez nią samą na taśmach pozostawionych po samobójstwie. Także serial Netflix.
4. **Charlotte Link „Oszukana”** (Sonia Drago) – nowy kryminał niemieckiej autorki, której mocno przybyło fanów po jej wizycie na Warszawskich Targach Książki.
5. **Peter Wohlleben „Duchowe życie zwierząt”** (Otwarte) – autor „Sekretnej historii drzew” w kolejnej opowieści o tajemnicach natury. (Najchętniej kupowane książki w sieci salonów Empik między 15 a 28 maja 2017 r.)



JAN POSPIESZALSKI

KONTRA/BASEM

Ten zakątek warszawskiego Żoliborza w czerwcowe wieczory wydaje się zupełnie uśpiony, więc tłumek, który nagle pojawił się na jednej z bocznych ulic i wypełnił małą salkę, robił wrażenie zakonspirowanego spotkania jakiegoś dziwnego sprzysiężenia. Jakby tylko wtajemniczeni wiedzieli, o co chodzi, mieli hasło klucz, by znaleźć się we wnętrzu. Gdy jednak rozpoczął się koncert i Natalia zaczęła śpiewać, stało się coś jeszcze dziwniejszego. Mała kameralna salka zamieniła się w światową scenę, a ja z 40 słuchaczami staliśmy się uczestnikami globalnego wydarzenia artystycznego.

Czułem się jak jeden z tych nielicznych szczęśliwców, którzy stanowią publikę akustycznych koncertów w Tiny Desk/NPR studio. To, co wydarzyło się bowiem za sprawą Natalii Lubrano i pianisty Łukasza Damrycha w saloniku Kalinowe Serce, niczym nie odbiegało



FOT. MAURYN LADOSZ

Lubrano zachwyca

od serii kameralnych koncertów z amerykańskiej księgarni, które święcą triumfy na YouTube.

Niestety, koncert Lubrano nie był ani transmitowany, ani nawet zarejestrowany, a szkoda. Natalia jest mistrzynią i nie ma w tym cienia przesady. W sobie tylko wiadomy sposób łączy intymne autorskie teksty z rozsadzającą frazy wirtuozerią i energią. I być może to, co jest jej największym atutem – rewelacyjny warsztat wokalny, świadomość, że można wszystko – jest również obciążeniem. Wystarczą bowiem dwa akordy, a ona natychmiast robi z tego stylową bluesowo-soulową frazę, ozdobi melizmatem do góry, zjedzie oktawę w dół, cały czas re-

gulując i dozując tę swoją chrypkę, a wszystko zakołysz się jeszcze w tanecznym pulsie. Doprawdy nie ułatwia fanom zanucenia i powtórzenia swoich piosenek. Dlatego być może tak dobrze przyjęty został stary hit Niemena „Obok nas”.

Było w tym coś z metafizyki, bo przepięknie wykonany utwór zabrzmiał w salce mieszczącej się właśnie obok domu, w którym mieszkał mistrz Czesław. I tak jak wtedy odczytaliśmy piosenkę jako opis świata zamkniętego za żelazną kurtyną, tak dziś głos Natalii czytam jak świadectwo artystki wielkiego formatu, która na mocy praw rządzących show-biznesem ciągle pozostaje obok głównego nurtu. ©©



GRZEGORZ BRZozowicz

NA SŁUCH

Nad-Ego ratuje świat

Głównym problemem 73-letniego Watersa jest to, że przytłoczony własnym ego nigdy nie skupił się na samym sobie.

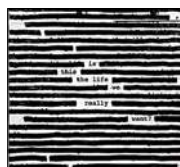
Poczynając od albumu „Animals” Pink Floyd z 1976 r., mistrz Roger diagnozuje świat i próbuje go naprawić. Po gigantycznym komercyjnym sukcesie „The Wall” uwierzył, że jest muzycznym nad-Bogiem. W połowie lat 80. rozwiązał zespół, tyle że koledzy na to nie przystali. Kopnęli go w zadek i sami zgarnęli fortunę. Przez ćwierćwiecze Waters nie nagrywał płyt z premierowym materiałem. W końcu uznał, że bez jego głosu świat runie w posadach.

Czego tu nie ma! Po budującym „floydowski” nadnastrój intro Waters, w „Déjà vu”, wręcz zapytuje: „Gdybym sam był Bogiem, to...?”.

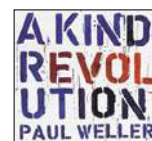
A po czymś takim to już z góry: Trump, uchodźcy, banki, globalizacja, II wojna światowa, Afganistan, drony... Tylko Izrael jakoś tym razem nie dostał po łapach.

Czy jednak dla starzejących się fanów Pink Floyd, a tym bardziej koncertu fonograficznego, te historie mają większe znaczenie? Przecież nadsztuka „najlepszej grupy świata” opiera się na rozpoznawalnym nadbrzmieniu, dzięki któremu jeszcze raz przetestujemy nasz sprzęt Hi-Fi. Fachowcy w osobach Nigela Godricha (producent Radiohead) i studyjnych wirtuozów zadbali, by nie zabrakło nadefekciarstwa.

I na koniec w „Part of Me Died” mistrz Roger wypala ostatniego papierosa i pewnie odchodzi w nadwieczność. ©©



★★★★★
ROGER WATERS
„IS THIS THE
LIFE WE REALLY
WANT?”
SONY



★★★★★
PAUL WELLER
„A KIND
REVOLUTION”
PARLOPHONE

W Polsce mało znany, w Brytanii ceniony bardziej niż Waters. Były lider The Jam i Style Council na 19. płycie oczarowuje mikropowieściami, mieszając z wrodzonym talentem rock, jazz i blue-eyed soul. Lekkie, a zarazem muzycznie fascynujące. ©©



★★★★★
RSC
„ŻYCIE TO TEATR”
GAD

W 1983 r. melodyjny symfo rock rzeszowskiego zespołu brzmiał pokracznie na tle choćby Maanam czy Oddziału Zamkniętego. Drugi album RSC wyszedł tylko na kasce. Czas obszedł się z nim okrutnie. Dla kolekcjonerów. ©©



Fundacja
im. Przemysława
Gintrowskiego

ZA WOLNOŚĆ W KULTURZE

NAGRODA IM. PRZEMYSŁAWA GINTROWSKIEGO



Nagroda dla twórców kultury stojących na straży prawdy i umiłowania wolności. Jej laureatem może zostać osoba, której działalność wpisuje się w hasło:
„A jednak coś po nas zostanie”.

Na zgłoszenia kandydatów czekamy do 30 września
pod adresem: **fundacja@gintrowski.pl**

MECENAS WYDARZENIA

PARTNER WYDARZENIA

WSPÓŁORGANIZATOR:

PATRONI MEDIALNI:



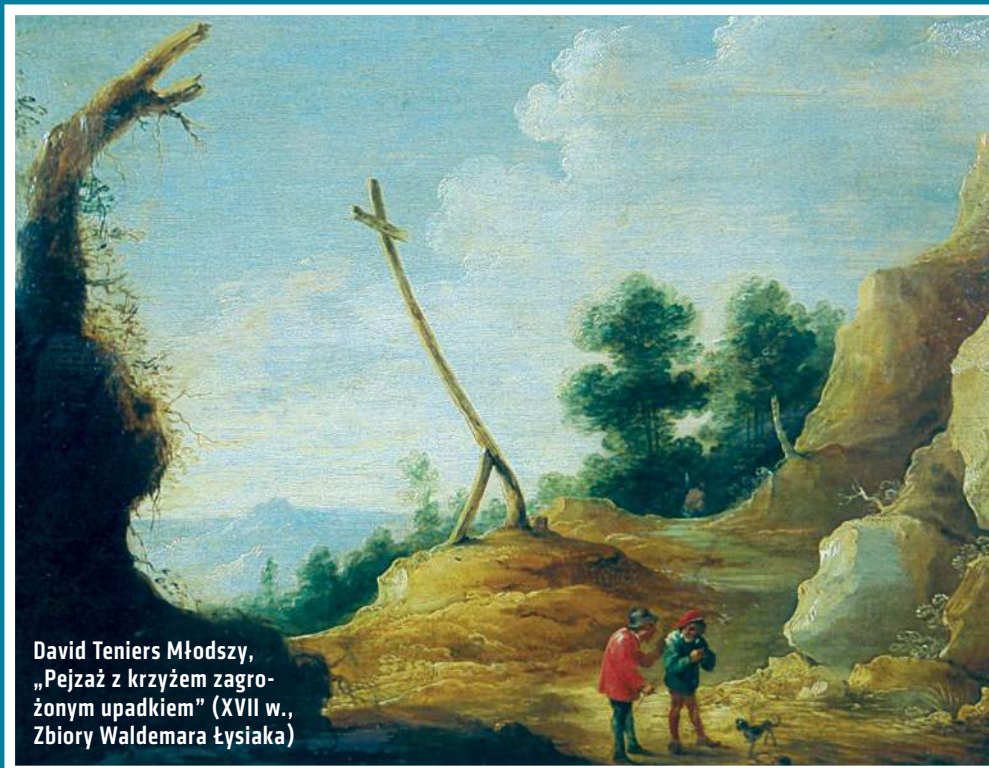
NARODOWY
INSTYTUT
AUDIOWIZUALNY
NiNA

wprost



Amoris Ecclesia

[o nowej książce Rednacza walczącego]



David Teniers Młodszy,
„Pejzaż z krzyżem zagro-
żonym upadkiem” (XVII w.,
Zbiory Waldemara Łysiaka)

Nicolás Gómez Dávila:
*„Na dzwonnicy współczesnego Kościoła
postępowy kler zamiast krzyża umieszcza chorągiewkę”*



**Waldemar
Łysiak**

Najnowsza książka Pawła Lisickiego ma celny i bardzo adekwatny wobec zawartości tytuł: „**Poza polityczną poprawnością — Polska, Europa i Kościół między nihilizmem a islamem**” (Kra-ków 2017), obarczony jednak niewłaściwym uszeregowaniem priorytetów autora, czyli błędną kolejnością tematów,

jakimi zajmuje się Lisicki, gdyż Kościół stanowi dlań materię najważniejszą, zaś Polska i Europa są jedynie dodatkiem (inna sprawa, że ważnym oraz smacznie prezentowanym) problematyki kościelnej/religijnej/biblijnej rozpatrywanej wewnątrz tego tomu, który składa się z przedruków publikacji i wywiadów Lisickiego. Autor zresztą potwierdza ów fakt już na pierwszej stronie przedmowy, tak zapowiadając treść woluminu: „*Piszę o religii, Kościele, teologii, polityce, starciu cywilizacji, zderzeniu tradycji i postę-*

pu, o Polsce i o jej miejscu w Europie”. To zdanie daje prawidłową hierarchię/dra-binkę ważności — kwestie katolicyzmu dominują. Na kolejnej stronie Lisicki potwierdza to już expressis verbis: „*«Państwo Boże», o którym pisał przed wiekami święty Augustyn, to jest najważniejszy motyw przewodni zebranych tu tekstów*”. Wśród nich liczbowo dominują felietony, mające dużą siłę rażenia i niebagatelną siłę sprawczą, o czym świadczy choćby wyrzucenie Tomasza Piątka z zespołu „Krytyki Politycznej” (przygarnęła go



fot. Robert Gardziński

nieodparte wrażenie, iż jakby mało było faktu, że dwóch wzajemnych wrogów, którymi są muzułmanizm oraz świecki wszechtolerancyjny liberalizm, łączy, mimo tylu przeciwieństw, nienawiść do katolicyzmu, to jeszcze katolicki Kościół sam wyniszcza się coraz bardziej „postępową” gangreną wewnętrzną, stając się trzecim wrogiem tradycyjnego „Rzymu”. Kolumbijski mędrzec Nicolás Gómez Dávila już trzy dekady temu bezbłędnie ujął ten destrukcyjny proces (proces stymulowany przez kościelnych „liberałów”/„humanistów”, a okłaskiwany przez „pożytecznych idiotów” wśród wiernych): „Postępowi chrześcijanie przekształcają chrześcijaństwo w humanistyczny agnostycyzm operujący chrześcijańską no-

menklaturą” (tłum. Krzysztof Urbanek). Święta prawda.

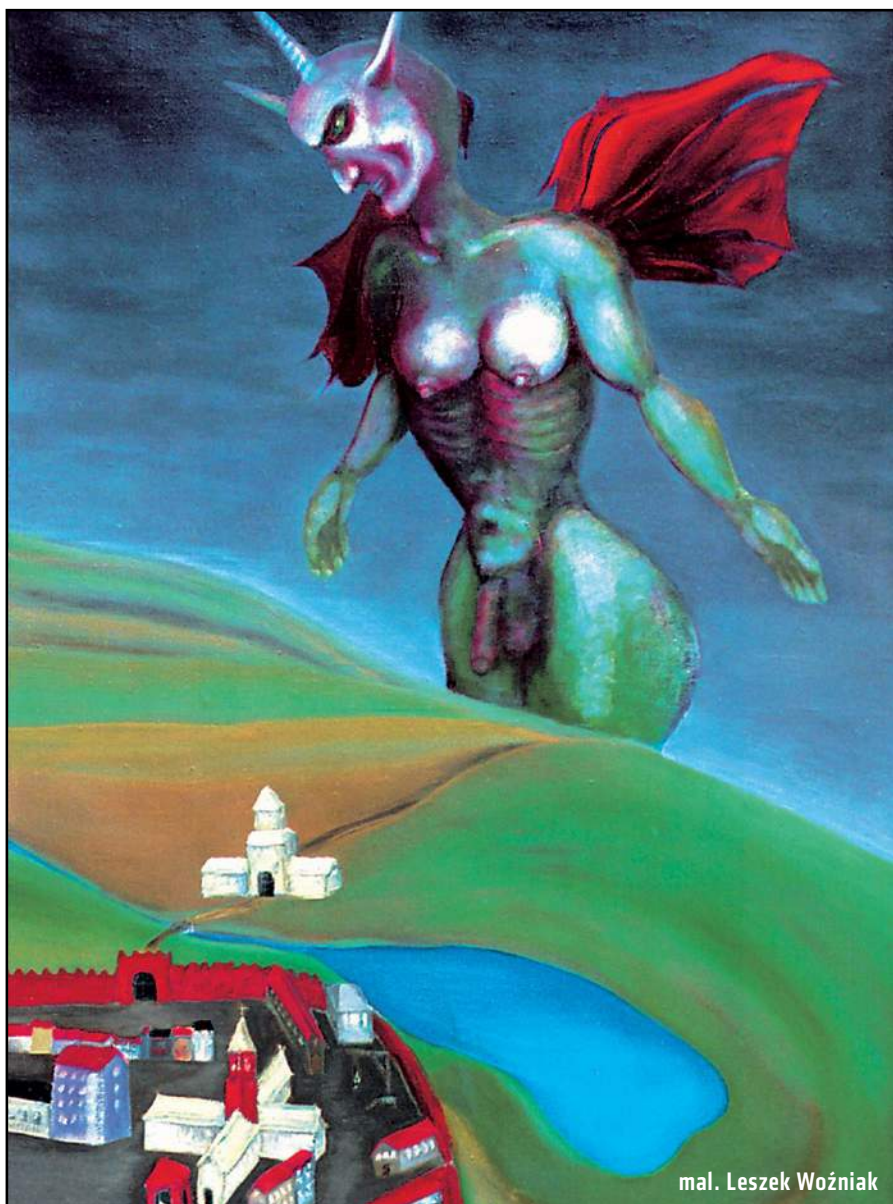
Kiedy to się zaczęło, gdzie są początki tej dekadencji i dzisiejszego kryzysu? Można jako prąźródło wskazywać Reformację Lutra lub konsekwentne laicyzowanie Starego Kontynentu zapoczątkowane Rewolucją Francuską, lecz instytucjonalnie Kościół Rzymski zaczął gnić wówczas, kiedy decyzją Soboru Watykańskiego II „otworzył się” na świat, na współczesność, na postęp, niby kobieta długo niezłomnie cnotliwa, jednak wreszcie decydująca się zmienić swą obyczajność na „luźną”. Jeszcze u schyłku XX stulecia optymistom się wydawało, że katolicka Arka okaże się teflonowa wobec dżumy „political correctness”, lecz to były złudy, myślenie

bezwzględnie „Gazeta Wyborcza”) na skutek jego dyfamacyjnych działań, które zdetonował tekst Lisickiego.

Lisicki jest swoistym „człowiekiem Renesansu”, i to w znaczeniu bardziej dosłownym aniżeli przenośnym. Wybornym biblistą, „najwybitniejszym po II wojnie światowej polskim eseistą metafizycznym” (werdykt Czesława Miłosza), nadto dramaturgiem, powieściopisarzem, tłumaczem, analitykiem literackim, wreszcie antysalonowym publicystą wojującym przeciwko lewactwu światowemu i rodzimemu. Ta ostatnia „branża” wypełnia 272 strony między okładkami jego najnowszego tomu. Czytelnik znajdzie tam bezlitosną rozprawę z terrorem „politycznej poprawności”, miażdżącą krytykę przedstawień typu „Golgota Picnic”, surowe cenzurki wystawione salonowym aktorom (Pieczyński, Stuhr, etc.), zwalczanie „postępowych” aberracji i zbroceń, kontrateizm, kontrislamizm i kontrfeminizm, tudzież bardzo odważnie i zarazem racjonalnie prezentowane nadużycia, których bazą jest pamięć Holocaustu, słowem wszystko co przystoi antylewakowi i Polakowi (sam Lisicki określił ten tom swoim „*silva rerum*”), lecz „lokomotywą” dzieła jest — jako już rzekłem — walka o zdrowy Kościół Rzymski, pełna troski (czy nawet bólu) z powodu jego degrengolady dzisiejszej.

ARKA BOŻA

Od nie tak dawna — od chwili, gdy ku mojemu szokowemu zniesmaczeniu Jan Paweł II publicznie ucałował „Koran”, muzułmańską księgę kultową ziejącą nienawiścią do chrześcijaństwa — mam



mal. Leszek Woźniak

■ naiwne, bo przecież sutanny i habity noszą ludzie, którzy bywają równie głupi i podatni na zło jak świeccy plasteliniowi. Nie dziwny się tedy, że media raczą nas permanentnie doniesieniami, które Salon słusznie odbiera jako swój triumf, a katolicy jako kamienie milowe gnicia swego Kościoła. Weźmy świeży casus belgijski. Gdy filozof Stephane Mercier na zajęciach z etyki postawił studentom do dyskusji kwestię: czy aborcja to mordorderstwo? — jego uczelnia, katolicki (!) Uniwersytet w Louvain, wszczęła przeciw niemu ostre środki dyscyplinarne i zawiesiła go, a rzecznik belgijskiego episkopatu, jezuita Scholtes, skrytykował brutalnie Merciera (marzec 2017). W całej zachodniej Europie jest tak samo. „Liberalne” zlewaczenie katolickiego Kościoła sprawia, że piorunująco maleje tam liczba wiernych (rekordowo we Francji i w Niemczech), a proces odwrotny (przyciąganie neofitów do Chrystusa) zamiera tym bardziej, im silniej struktury kościelne praktykują „otwartość” i deklarują poprawność. Uczestnictwo w niedzielnej mszy świętej wynosiło u mieszkańców Republiki Irlandii 90% roku 1984, dzisiaj natomiast ledwo przekracza 10%! Te statystyki mówią wszystko.

Rzuciłem wyżej kilka moich luźnych myśli o marnej kondycji katolickiej Arki Bożej, lecz by się zapoznać z całą złożonością, ze wszystkimi implikacjami i konsekwencjami problemu — trzeba sięgnąć po książkę Lisickiego. Kościół polski jest wciąż silny dzięki wielu czynnikom kulturowym, kulturowym, społecznym, politycznym, historycznym, wśród których takie wydawnictwa — pełniące rolę dzwonów alarmowych i tarcz chroniących przed obyczajowym zepsuciem — grają również rolę znaczącą.

FRANCISZKIADA

Nowy wolumin Lisickiego prezentuje czytelnikom krytyczne analizy wielu tematów — od manipulowania (przez genderystów) biblijnym przekazem dotyczącym Marii Magdaleny, do zarzucania (przez fałszerzy historii) antysemityzmu papieżowi Piusowi XII (który w rzeczywistości był gorliwym obrońcą Żydów) — a także krytyczne spojrzenie na różne kościelne figury z najwyższej półki. Szczególnie ciężkie klapsy (by nie rzec: baty) dostaje od autora obecny szef Watykanu, Franciszek. Za co winniśmy być Lisickiemu wdzięczni, gdyż ten Ojciec Święty robi podczas swego pontyfikatu rzeczy dziwne (czym sieje chaos) i mówi rzeczy bulwersujące. Choć-



FOT. AP/EPSTEIN

by o komunistach: „ — *Komuniści myślą jak prawdziwi chrześcijanie*”. Lub o homoseksualistach: „ — *Kimże ja jestem, żeby ich oceniać*”. Lub o Trójcy Świętej: „ — *Pan Bóg nie jest katolicki, a Duch Święty to harmonijna jedność w różnorodności*”. O misjonarstwie: „ — *Prozelityzm między chrześcijanami to ciężki grzech*”. Et cetera, et cetera. Te rozliczne lapsusy (?) Andrzej Horubała skomentował mówiąc o „*niefraobliwie gadatliwym papieżu Franciszku, grzejącym się w blaskach infotainmentu*” (2015); Ewa Polak-Pałkiewicz zdiagnozowała sceptycznie „*styl duszpasterski, w którym dominuje tendencja, by nie razić innowierców jednoznacznością nauczania katolickiego*” (2016); Robert Ménard (burmistrz francuskiego miasta Béziers) wykiął Franciszkowy multikulturalizm: „ — *Wielbi różnorodność, bo nie musi z nią mieszkać*” (2016); a Roberto de Mattei (historyk Kościoła) pyta wprost: „ — *Do jakiego Kościoła należy papież Bergoglio?*” (2016).

Bergoglio wywodzi się z jezuickiej, lewicowo-modernistycznej kontestacji lat 50-ych i 60-ych, stąd trudno się szczególnie zdumiewać obserwując lewackość i poprawność Franciszkowych przesłań. Jego nader miękkie stanowisko wobec zbrodni seksualnych lub wobec agresji islamu (wychwalał islam gdy wizytował Turcję; zbyt słabo oprotestowuje rzezie chrześcijan dokonywane przez muzułmanów, tłumacząc, że nie chce mówić o przemocy islamskiej, bo wówczas musiałby również mówić o przemocy katolickiej!) — przynosi mu pochwały ze strony Salonu międzynarodowego, zaś jego paraestradowe brylowanie zyskało mu miano „*popkulturowego papieża*”. Paweł Milcarek: „*«Naszym Papieżem» nazywa go tłum Tomaszów Lisów, a «Gazeta Wyborcza» straszy nim biskupów*” (2013). Czy będzie z mojej strony dezynwoltura, gdy przypomnę, że sto lat temu rosyjski teozof Władimir Solowjow zapowiedział ogarnięcie świata u schyłku wieku XX przez kulturowo-obyczajowy nihilizm oraz władztwo „*Mesjasza Tolerancji*”, „*Dobrotliwego Truciciela*”, będącego ideałem kusicielskiego przewodnika-pacyfisty-humanisty, bezinteresownego

dobroczyńcy, miłośnika dialogu, czymś na kształt „*Serdecznego Antychrysta*”, dla którego ważna jest moralność ponadreligijna, oczyszczona z metafizyki i teologii katolicyzmu, zaś Dekalog jest dlań zbyt surowy, bo dzieli ludzi miast jednać ich braterskim uściskiem?

A GDZIE SPRAWIEDLIWOŚĆ?

Wszystko, co napisałem wyżej o Franciszku, można zwać drobną glossą do misternych analitycznych komentarzy Lisickiego, które swym bogactwem uzmysławiają czytelnikowi całą złożoność i kontrowersyjność działań oraz deklaracji modernisty, co gra dziś rolę Ojca Świętego. Każdy znajdzie w tym tomie jakieś szczególnie poruszające go treści; dla mnie takim fragmentem jest problem lansowania przez Franciszka miłosierdzia Bożego (bezwartunkowego) kosztem sprawiedliwości Bożej. Za stosowanie reguły „*Caritas maior iustitia*” (Miłosierdzie ważniejsze niż Sprawiedliwość) był już pod pręgierzem Jan Paweł II, a Bergoglio jeszcze silniej rozwinął ów model Wojtyły, tak krytykowany przez historyka François Beridę: „*Gdy miłosierdzie bierze górę nad refleksją o wyrządzaniu zła, dobroć górę nad osądem, i kiedy przebaczenie jest efektem amnezji — to mamy problem z zakresu teologii moralnej, bo szlachetna i ogólnikowa duchowość prowadzi wtedy na manowce, tymczasem sprawiedliwa pamięć winna być bazą chrystianizmu*” (1994). Dla Franciszka nie jest ona bazą, lecz zawalidroga, co wyartykułował w sposób drastyczny rozmawiając z nestorem włoskiej lewicy, ateistycznym dziennikarzem i politykiem Eugenio Scalfarim. Kiedy opublikowano ów dialog — komentatorzy katolicki pisali, że „*włos się jeży na głowie*”, bo „*Franciszek obalił pojęcie grzechu*”.

Negowanie grzechu, a ściślej kary za grzech, jest stałym motywem wystąpienia Bergogli. W Krakowie mówił do młodzieży całego globu: „ — *Bóg nas miłuje takimi, jakimi jesteśmy, i żaden grzech, wada czy błąd nie sprawi, by zmienił swoje zdanie*”. W adhortacji „*Amoris Laetitia*” oświadczył: „*Nikt nie może być potępiony na zawsze, bo nie jest to logika Ewangelii*”. Co znaczy — po prostu! — że ludobójcy Hitler i Stalin też zbawieni będą, gdyż „*Bóg ich miłuje takimi, jakimi byli*”. Musi to budzić sprzeciw w każdym zdrowo myślącym katoliku. Swego czasu (1998) filipiński biskup Salvador Lazo wypowiedział posłuszeństwo Janowi Pawłowi II, bo nie godził się na twierdzenie, że „wszy-

scy zostaną zbawieni". Świętej pamięci „Kisiel” (Stefan Kisielewski), który sarkał, że w homiliach Wojtyły wykluczone zostały piekło, szatan i karanie zła — Franciszka potraktowałby dzisiaj dużo surowiej, i miałby słuszność, albowiem bezwarunkowe miłosierdzie równa się: niesprawiedliwość, zaś św. Paweł uczył przecież w liście do Koryntian, że „niesprawiedliwi nie wejdą do Królestwa Bożego”. Przywódca francuskich tradycjonalistów, działacz katolicki Bernard Antony, spytany czemu Kościół katolicki Zachodu coraz bardziej słabnie, wyjaśnił: „ — *Bo opiera się na mieszanice miłosierdzia i permissywnizmu, a nie na odwiecznych zasadach*” (2016).

Ku jakim przegięciom prowadzi dewastowanie sprawiedliwości młotem miłosierdzia bezwarunkowego, świadczy niedawna wypowiedź arcybiskupa Wojciecha Polaka, że „prawdziwym bluźnierstwem jest wykorzystywanie znaku krzyża do walki z kimkolwiek lub czymkolwiek”.

Ekscelencji coś się pokiełbało, bo Chrystus nie zakazywał walki z szatanem w imię Prawa Bożego, a św. Tomasz z Akwinu nakazywał chrześcijanom bitewny opór przeciw wrogom Kościoła. Co też rycerze pokroju Lisickiego czynią i będą czynić.



FOT. OBSERVATOIRE ROMAIN/AP/EAST NEWS

VOTUM SEPARATUM

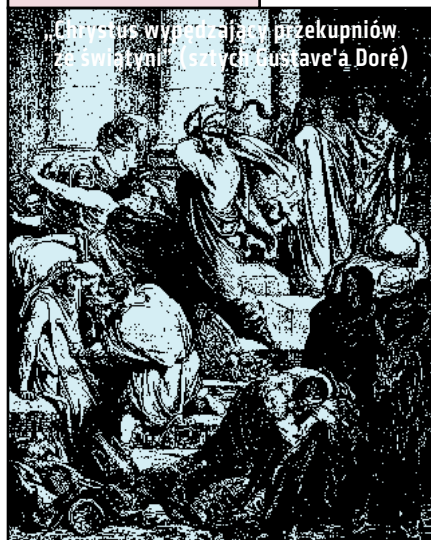
Jedyna rzecz w książce Lisickiego, z którą się nie zgadzam, to jego krytyczny stosunek wobec abdykacji Benedykta XVI i cierpkie słowa o niej. Nie tylko dlatego, że Ratzinger to mój ulubiony papież, lecz dlatego, że tę abdykację uważam za kolejny dowód wielkości Benedykta. Godeł owej wielkości można wymienić dużo, na czele z buntowniczą deklaracją „*Dominus Iesus*” (Tylko Jezus), którą się przeciwstawił ekumenicznemu szaleństwu JP II, a i znamion świętości też nie brakuje (zdeklarowany niemiecki komunista-ateista, dziennikarz Peter Seewald, nawrócił się po zetknięciu z Ratzingerem). Tęskni dziś za nim cała autentyczna prawica globu. Wiosną roku 2014 „*The Atlantic*” słusznie podniósł, że konserwatyści „żałują Benedykta, pełnego dystynkcji uczonego, któremu przydarzyło się uplasować między dwiema gwiazdami rocka, Janem Pawłem II i Franciszkiem, niefortunnie, albowiem w przeciwieństwie do nich nigdy nie szukał gwiazdorskiego poklasku i rozgłosu, woląc być doktorem Kościoła niczym św. Tomasz z Akwinu, św. Teresa

z Avila i św. Jan od Krzyża”. Benedykt zrezygnował z dalszej posługi tłumacząc się wiekiem czyli słabą kondycją, co od razu wywołało teorie spiskowe (np. że zmusili go Amerykanie), bez żadnych dowodów. Uważam, że postąpił godnie, nie małpując rozsypującego się publicznie Wojtyły.

Gdy Jan Paweł II eksponował przez wiele miesięcy swą agonię i związaną z tym kompletną stetyczność — mnóstwo ludzi wierzących było (przy całej miłości ku niemu) zniesmaczonych, zażenowanych, niejeden określał to jako żałosny/niedopuszczalny ekshibicjonizm aktora, który nie chce zejść ze sceny, woli umierać na niej. Kościelne „czynniki oficjalne” i propagandyści watykańscy klajstrowali to głędami o martyrologii szlachetnej, paragolgotycznej, lukrowali zaśpiewem o mistycyzmie cierpienia, etc. Benedykt XVI nie miał zamiaru robić „*re-make'u*” tego horroru i w porę się dymisjonował. Gazeta „*oggi*” skomentowała tę decyzję aprobowując: „*Wykluczył publiczne okazywanie niemocy wymuszonej przez metrykę, czyli epatowanie ruiną zdrowia*”, a inne rozsądne media przypomniały, że nie bez przyczyny Kościół już dawno temu ustalił, iż 75 rok życia jest progiem emerytalnym kościelnych hierarchów.

* * * * *

Książka ważna i potrzebna, umacniająca znaczenie Pawła Lisickiego jako myśliciela, który mądrze rozpatruje ciężkie przypadki ziemskiego padułu czasów dzisiejszych. Załoga „*Do Rzeczy*” ma pełne prawo być dumną ze swego kapitana. ©©



Piłsudski nie był



Wojciech J. Muszyński

Książka Ziemkiewicza należy do tych nielicznych współczesnie publikacji, wobec których nie sposób przejść obojętnie

Rozpaliła temperamenty polemistów, wiernych wyznawców Marszałka, na długo przedtem, nim zdążyli się oni zapoznać z jej treścią. Niektórzy krytykowali ją w najostrzejszych słowach, deklarując, że nie tylko jej nie czytali, lecz także czytać nie będą... Jedną z takich osób był Waldemar Łysiak, którego gwałtowną reakcję wywołał zwykły anons o planowanym wydaniu „Złowrogiego cienia Marszałka” – po czym pełen pasji zmieszał ją z błotem. Wbrew jednak obawom wyznawców Piłsudskiego, a także nadziejom jego krytyków, książki Ziemkiewicza nie da się zaszufladkować jako literatury pro- lub antypiłsudczykowskiej. Autor zrobił, co mógł, żeby pozostać maksymalnie obiektywny w swoich ocenach, choć pisząc ją, nie zawsze umiał powściągnąć swój polemiczny temperament i emocje. Nie zawsze też zdołał oprzeć się sile piłsudczykowskiej mitologii.

POLE SPORU

Przede wszystkim książka Ziemkiewicza nie jest dziełem naukowym ani nawet historycznym – to publicystyka, świetnie napisana, ale jednak publicystyka. Wielka to szkoda. Można mieć o to żal do Ziemkiewicza, że tak ważny temat potraktował lekko, sprowadzając go do rozważań napisanych dość swobodnym stylem. Jednak jako dziennikarz i publicysta miał on do tego pełne prawo. Natomiast prawdziwymi winnymi tego, że zamiast naukowej dyskusji o biografii Piłsudskiego omawiamy dziś pracę publicystyczną, są historycy – ci sami,

którzy zapewne już się szykują, żeby dzieło Ziemkiewicza łąjąc za takie czy inne usterki.

A tymczasem to historycy właśnie – i sam piszę to jako historyk – nie umieli lub z nielicznymi wyjątkami bali się wziąć pod naukową lupę postać Piłsudskiego, a wielu z nich zadowalało się tworzeniem panegiryków na cześć „Wielkiego Marszałka” albo po prostu przepisywało je z propagandowych wydawnictw przedwojennych. Zamiast więc poważnej debaty nad fenomenem, jakim Piłsudski niewątpliwie był, mamy w Polsce co jakiś czas wybuchającą awanturę między dwoma zwalczającymi się plemionami, których przedstawiciele przekrzykują się jak z Gombrowicza: „Piłsudski wielkim człowiekiem był! – Nie był! – Był! – Nie był!”.

Historycy nie umieli lub z nielicznymi wyjątkami bali się wziąć pod naukową lupę postać Piłsudskiego

Praca Ziemkiewicza wyprowadza nas z tego beznadziejnego klinu i wyznacza konkretne tematy do debaty, pole sporu. W istocie jest to wiwisekcja życia Piłsudskiego, wielu jego zachowań, wypowiedzi, działań politycznych oraz tego, jak był postrzegany przez jemu współczesnych. Na podstawie prac biografów i historyków autor starał się określić, ile wniosła działalność Piłsudskiego do sprawy odzyskania niepodległości przez Polskę. Ocena ta, co może wielu zdziwić lub oburzyć, nie wypadła pozytywnie.

Piłsudski był typowym dla swojej epoki politycznym marzycielem, walkę traktował jak powołanie, umiał zapalać do niej umysły oddanych sobie ludzi, nie miał jednak nigdy jasnego planu działania, odpowiedniej taktyki ani umiejętności dostosowania się do sprzyjających lub niesprzyjających okoliczności zarówno

wewnętrznych, jak i międzynarodowych. Wierzył fanatycznie w zwycięstwo, lecz interesowała go walka jako taka, a nie jej szczęśliwy finał. Był to zupełnie stracony rodzaj działania, obliczony na to, że „albo się uda, albo pięknie zginiemy i świat zobaczy”. Znamy ten rodzaj myślenia – polityczni uczniowie Piłsudskiego, kierując się tym samym credo („niech świat zobaczy”), zafundowali Polakom kilkadziesiąt lat później hekatombę powstania warszawskiego.

PORAŹKI ZWANE SUKCESAMI

Piłsudski też miał podobny rozмах, tylko mu się nie udawało. Był autorem kilku zupełnie absurdalnych i katastrofalnych dla Polski pomysłów, które – gdyby przyszło do ich realizacji – przyniosłyby naszemu narodowi tragiczne skutki. Pierwszym z nich była próba wywołania powstania w Kongresówce przy zbrojnej pomocy Japonii w czasie jej wojny z Rosją. Z tą koncepcją odwiedził nawet Tokio, lecz dla Japończyków, skądinąd zainteresowanych dywersją na tyłach wroga, okazała się ona zupełnie niedorzeczna. Niezrażony tym niepowodzeniem Piłsudski i jego bojówkarze PPS próbowali wywołać w Warszawie rewolucję w latach 1905–1907, biorąc przykład z działań swoich rosyjskich przyjaciół i towarzyszy. Skierowana pierwotnie przeciwko zaborcy ruchawka okazała się niewypałem, a socjalistyczni bojówkarze zamiast atakować rosyjskie władze, szybko znaleźli łatwiejszy cel, rabując własne społeczeństwo pod socjalistycznym szyldem. A Rosjanie wykorzystali okazję i przykręcili Polakom śrubę, likwidując wiele ze swobód oraz wzmagając rusyfikację.

Sztandarowym planem powstałym w głowie Piłsudskiego, który nie liczył się z jakimikolwiek realiami zewnętrznymi, była próba ponownego wywołania powstania w Kongresówce w 1914 r. w pierwszych tygodniach I wojny światowej. Tym razem sponsorami akcji były wywiady wojskowe Niemiec i Austrii. Nie

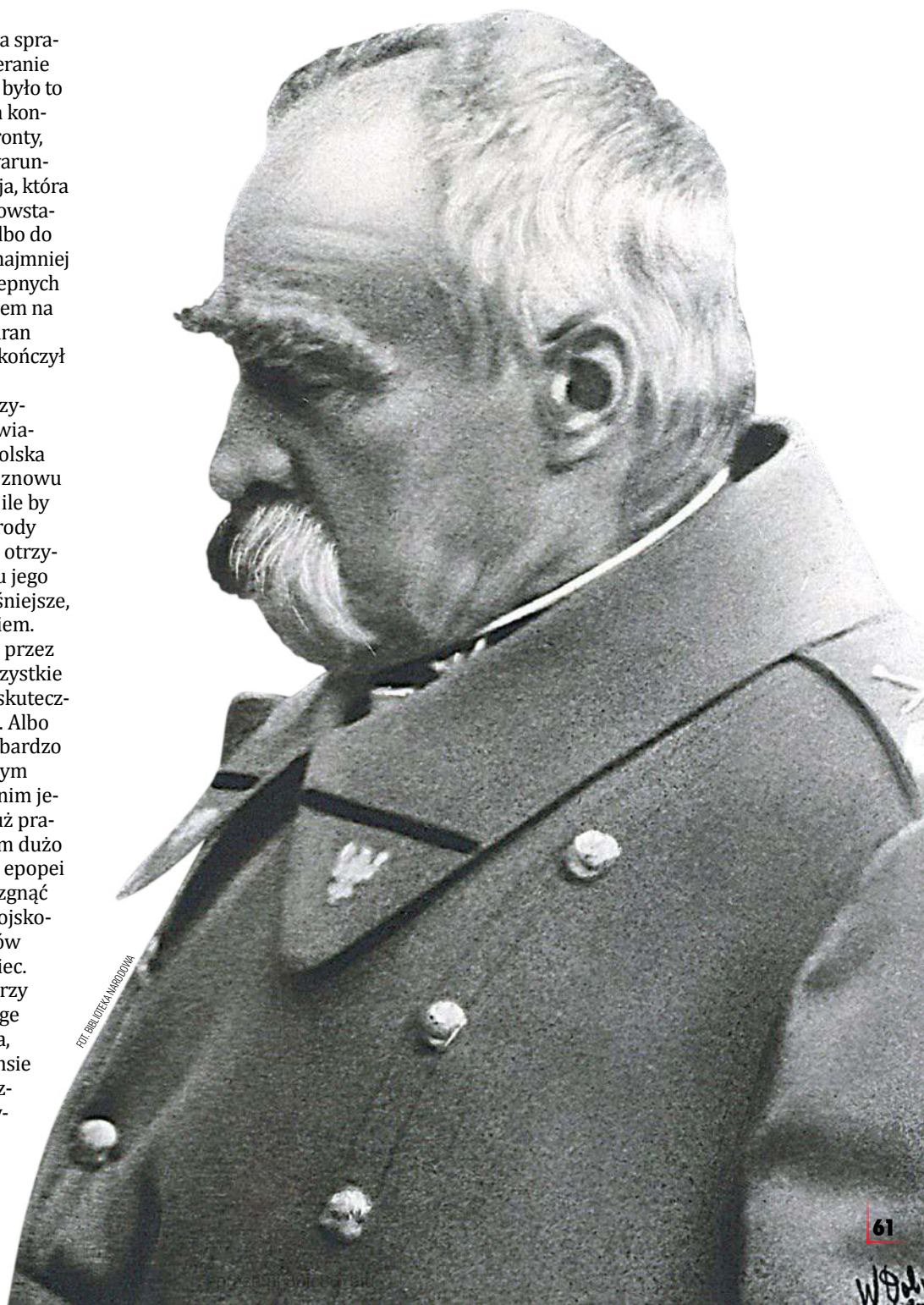
emanacją Polski

wiadomo, jaki sens strategiczny dla sprawy polskiej miałyby zbrojne wspieranie Niemców. Wiadomo natomiast, że było to kluczowe dla samych Niemiec i ich koncepcji zwycięskiej wojny na dwa fronty, w której neutralizacja Rosji była warunkiem zwycięstwa nad Francją. Rosja, która musiałaby się zmagać z polskim powstaniem, miałaby dogodny pretekst albo do wycofania się z ententy, albo przynajmniej ograniczenia swoich operacji zaczepnych w Prusach Wschodnich, a tymczasem na zachodzie Wehrmacht pracy jak taran w głąb Francji zdobyłby Paryż i zakończył konflikt tak jak w 1871 r.

Tym samym Piłsudski mógł przyczynić się do przerwania wojny światowej już po dwóch miesiącach. Polska spłynęłaby krwią po raz kolejny i znowu zupełnie bez sensu, a Piłsudski, o ile by przeżył, zapewne Pokojowej Nagrody Nobla za swoją działalność by nie otrzymał. Szczęśliwie dla naszego kraju jego działania, tak jak wszystkie wcześniejsze, zakończyły się kompletnym fiaskiem.

Jednak w historiografii pisanej przez ludzi z otoczenia Piłsudskiego wszystkie jego niepowodzenia były bardzo skutecznie przedstawiane jako chwilowe. Albo wręcz jako sukcesy. Piłsudski był bardzo pracowitym oraz zdeterminowanym działaczem, nie poddawał się i zanim jeden jego projekt się rozpadł, on już pracował nad kolejnym. Miał przy tym dużo szczęścia, tak jak choćby w czasie epopei legionowej, gdy musiał przedzierzgnąć się z cywila bez doświadczenia wojskowego w dowódcę brygady legionów walczących u boku Austrii i Niemiec.

Polacy kochający swoich żołnierzy uwierzyli w ten nowy wojskowy image dawnego socjalistycznego bojowca, który miał się stać i w pewnym sensie stał się w tamtym czasie symbolicznym archetypem polskiego wojownika. Miał też dużo szczęścia, bo okazał się skuteczny w maskowaniu i zamykaniu pod dywan dowodów swojej agenturalnej działalności dla Niemców



FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

■ i Austriaków, a wcześniej Japończyków. Świadków udało się uciszyć – jeśli nie po dobroci, to wiele mówiącym przykładem gen. Ostoi-Zagórskiego, który zaginął bez wieści. Wszystko profesjonalnie i żadna wdowa nie krążyła po Warszawie, oferując ludziom sprzedaż tajnych materiałów na Piłsudskiego. I wreszcie po raz kolejny uśmiechnęło się do Piłsudskiego szczęście, gdy w 1917 r. niemieckie władze

sabotowanie powstania wielkopolskiego – pamiętajmy, że wysłanie tam gen. Józefa Dowbor-Muśnickiego wraz z jego oficerami z dawnej armii rosyjskiej było obliczone właśnie na wprowadzenie zamętu do sztabu powstania. Wbrew jednak intencjom Komendanta poznaniacy szybko porozumieli się z kresowiakami i współpraca ułożyła się bardzo dobrze. Trudno też nazwać inaczej niż sabotażem

Sprawa kolejna to fakt, nieco zapomniany, że Piłsudski 12 sierpnia 1920 r. załamał się nerwowo (to dla niego typowe w trudnych sytuacjach, podobnie było podczas zamachu w 1926 r.) i złożył dymisję z piastowanych stanowisk na ręce premiera Witosa, a następnie udał się do majątku Bobowa w okolicy Gorlic. Wystarczy przeczytać jego „Rok 1920”, żeby dowiedzieć się, że podczas samej bitwy nie miał żadnej wiadomości o jej losach. Więcej nawet, gdy 16 sierpnia próbował samochodem dołączyć do polskich oddziałów kontratakujących znad Wieprza, nie wiedział, gdzie one są ani gdzie znajduje się on sam – na polskich tyłach czy już na bolszewickich. Niezwykły doprawdy to wódz naczelny. Komu więc należy się laur zwycięzcy: nominalnemu naczelnemu wodzowi, który zwolnił się ze swoich obowiązków, czy rzeczywistemu autorowi planu bitwy, który przez cały czas jej trwania czuwał nad jego wykonaniem i aktualizował go, dostosowując do zmieniającej się sytuacji na froncie? To też pytanie retoryczne.

PATRIOTYZM I PROPAGANDA

Książka Ziemkiewicza nie jest doskonała – to prawda – ale niech jej minusy nie przesłaniają nam plusów. Mimo że publicystyczna, ma jednak ten niezaprzeczalny walor, że w odróżnieniu od wielu dzieł uchodzących za naukowe potrafi zaciekawić czytelnika i wciągnąć w lekturę – z pewnością przeczyta ją więcej ludzi niż nudne wywody „eksper-tów”, o których już pisałem wyżej.

Książka Ziemkiewicza jest szczepionką na pseudopatriotyczną propagandę, którą karmieni są Polacy przy okazji świąt narodowych. Może dzięki niej łatwiej dotrze do rodaków ta prosta prawda, że kult

Piłsudskiego nie jest wyrazem patriotyzmu, ale wynikiem manipulacji propagandy, najpierw sanacyjnej, a potem komunistycznej. A piosenki, którymi jesteśmy raczeni przy okazji rocznicy 11 listopada (w rodzaju „Jedzie, jedzie na Kasztance”), to infantylne gnioty propagandowe, a nie żadne pieśni patriotyczne. Może dzięki książce Ziemkiewicza Polacy zrozumieją, że Piłsudski nie był emanacją Polski, mimo iż on sam się za taką uważał.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Cała chwała wygranej Bitwy Warszawskiej 1920 r. przypisywana jest Piłsudskiemu. Zapomina się, że plany bitwy opracował profesjonalny sztabowiec, gen. Tadeusz Jordan-Rozwadowski, marszałek polny armii austriackiej. Obraz „Cud nad Wisłą” Jerzego Kossaka. FOT. MWP

okupacyjne go aresztowały i wysłały do Magdeburga. Dzięki temu w oczach społeczeństwa stał się męczennikiem narodowej sprawy – wybaczone mu proniemiecką akcją w legionach i wszystko inne też.

Uważam, że „Złowrogi cień Marszałka” to świetna książka, choć Ziemkiewicz czasami się myli, źle interpretuje fakty bądź ich nie zna. Mimo że przygotował się solidnie do pisania, niestety czasami widać braki warsztatowe. Nie chodzi mi tu o drobne omyłki w rodzaju: porządek wersalski zamiast wiedeński, ale o sprawy generalne. Uwydatnia się to szczególnie w rozdziale „Gwiezdny czas” (moim zdaniem najłabszym z całej pracy), dotyczącym okresu 1919–1922, gdy Piłsudski jako Naczelnik stanął na czele odradzającego się państwa polskiego. Ziemkiewicz jest przekonany, że w tym okresie Piłsudski nie szukał zemsty na przeciwnikach politycznych, starał się być wobec nich koncyliacyjny, a ogólny bilans jego rządów wypada pozytywnie.

Być może się nie znam, ale jeżeli przymusowe zdemobilizowanie żołnierzy Armii Hallera (w przededniu wielkich batalii roku 1920) nie było polityczną zemstą, to co by nią mogło być? Może

stosunku do politycznej akcji Dmowskiego w Paryżu, któremu Piłsudski z Warszawy ciągle podsyłał swoich ludzi, najpierw żeby zajęli jego miejsce, potem żeby mu pomagali. Merytorycznie nic a nic do negocjacji nie wnieśli, ale za to okazali się skuteczni w kularach, obmawiając i oczerniając Dmowskiego przed przedstawicielami innych delegacji. O tym wszystkim i wielu innych „dokonaniach” Naczelnika i „Pierwszego Marszałka” R.A.Z. nie napisał. Wielka szkoda.

Dyskusyjna jest też sprawa Bitwy Warszawskiej 1920 r. Według autora cała chwała należy się Piłsudskiemu. Tymczasem ta kwestia jest bardziej skomplikowana. Piłsudski był głównodowodzącym Wojska Polskiego – to fakt, tylko zapomina się, że plany bitwy opracował profesjonalny sztabowiec, gen. Tadeusz Jordan-Rozwadowski, marszałek polny armii austriackiej, mający doświadczenie w sztabowym dowodzeniu masami żołnierzy. Który z nich dwóch wiedział, jak profesjonalnie przygotować plan bitwy? To pytanie retoryczne.



RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
„ZŁOWROGI CIEŃ
MARSZAŁKA”
FABRYKA SŁÓW
2017

Kompleksy inteligenta





Tomasz Kwaśnicki

Eseje Piotra Skwieceńskiego ukazują, że kompleks postkolonialny, słusznie przypisywany elitom lewicowo-liberalnym, trawi również elity centroprawicowe

Spojrzenie na Rosję oczami człowieka, z którym zwykłem nie zgadzać się niemal we wszystkim, co dotyczy polskiej racji stanu, okazało się zajęciem intelektualnie odświeżającym. Odkryłem, że w paru kwestiach się jednak z Piotrem Skwieceńskim zgadzamy. Autor słusznie dowodzi np., że Związek Sowiecki był tworem par excellence rosyjskim, a nie obcą chorobą, której zarazki zostały podstępnie rozpylone nad bogobojnym i cnotliwym rosyjskim społeczeństwem z kapitalistycznych aeroplanów oraz sterowców. Oczywiście zachodnie mocarstwa i rozmaite lobbies zrobiły co w ich mocy, by rewolucja przybrała pożądaną przez nie postać, nie zmienia to jednak faktu, że specyficzny porządek, jaki wyłonił się z rewolucyjnego chaosu, był bez wątpienia prawowitym i naturalnym płodem „duszy rosyjskiej”.

POSTKOLONIALIZM

Zaletą książki jest także jej warstwa anegdotyczna. Autor karmi nas rozmaitymi facecjami z czasów Rosji współczesnej i minioniej, z których wyciąga często ciekawe wnioski na temat kondycji czy to rosyjskich elit, czy to rosyjskiej opozycji, czy to w końcu rosyjskiego społeczeństwa jako całości.

Co więcej, szczerzy rusofob Skwieceński piętnuje z całą bezwzględnością rusofobiczne ekscesy w swoim własnym środowisku, w czym niekiedy posuwa się aż do przesady. Twierdzi np., że polska niechęć do Rosji ma charakter „eksterminacyjny”, a jako dowód przytacza fragmenty pewnej noweli, w której pada fraza: „Zniszczyliśmy ten naród”. Zdanie to wypowiada w alternatywnej rzeczywistości polski oficer po tym, jak w owym równoległym wymiarze Polacy dokonali bliżej niesprecyzowanego „zniszczenia narodu” rosyjskiego. Chociaż przeciętnemu czytelnikowi wyciąganie wniosków

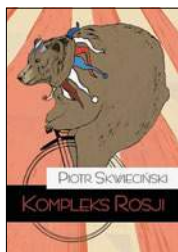
o skrywanych ludobójczych instynktach na podstawie fantastyki może wydać się przedsięwzięciem karkołomnym, to Skwieceński zapewnia, że właśnie w tym gatunku literackim „duch narodu (czy skromniej: jakaś ważna jego część) uzewnętrznia się bezkarnie i bez ograniczeń”.

Wspominam o tym, bo po przeczytaniu książki nabrałem przekonania, że najwięcej światła na postawę Skwieceńskiego wobec Rosji rzuca właśnie jego paternalistyczny stosunek do własnego narodu. Widać to najwyraźniej w przesycionej charakterystycznym resentymencie antysarmackiej filipice, pochodzącej z tekstu „Sarmaci w świecie wiecznej Jałty”. Znajdujemy tam zrozumiałą manifest typowo inteligentckiego wyobcowania, w którym autor daje upust niechęci do tego, co stanowi o naszej kulturowej indywidualności, bo tym przecież jest sarmatyzm – jedyna oryginalnie polska forma zachodniej kultury, którą Skwieceński potępia z gorliwością PRL-owskiego licealisty jako „ideologiczną nadbudowę” (ipsissima verba) gospodarczego upadku, zbożowej monokultury, plantacyjnej gospodarki, poddaństwa chłopów, uwiadu miast i mieszczaństwa, w końcu osunięcia się Polski do roli peryferii „prawdziwej Europy”. W swej modernizatorskiej pasji Skwieceński zapomniał jednak powiązać tę wyliczankę z którymkolwiek z wytworów sarmackiej kultury, takim chociażby jak specyficzne formy katolickiej dewocji, oparta na rzymskich i ewangelicznych wzorach moralność i obyczajowość, republikańska myśl i praktyka, imponujące osiągnięcia w dziedzinie militarnej, oryginalny ubiór i architektura, w końcu poezja, która ukształtowała język Skwieceńskiego. Bez względu na to, czy widok szarżującej husarii napienia go świętym oburzeniem, czy spogląda na sarmackie konterfekty z mieszaniną pretensji i wstydu, czy go skręca na dźwięk „Godzinek”, „Gorzkich żalów” lub „Bóg

się rodzi”, nie wykazał on najmniejszego związku pomiędzy tymi kulturowymi fenomenami a nieszczęściami, o które obwinia „ideologię sarmatyzmu”, bo tak, ułatwiając sobie zadanie, nazywa jedyny autentycznie polski wariant europejskiej kultury, nasz najoryginalniejszy do niej wkład. Zamiast wykazać, w jaki sposób portret trumienny poskutkował niewolą chłopów pańszczyźnianego, Skwieceński pisze: „Oczywiście, można wszystko widzieć osobno. Można nie dostrzegać związku między zasygnalizowanymi wyżej zjawiskami i faktami. Można uważać sarmatyzm za wspaniały przejaw polskiego geniuszu, którym w pewnych aspektach był. Trudno jednak zaprzeczyć, że stał się przede wszystkim wyrazem peryferyjności”. Ten zarzut właśnie – zarzut „peryferyjności” wypowiedziany pod adresem tego, co w naszej kulturze najbardziej osobliwe, sprowadzenie sarmatyzmu do „przede wszystkim wyrazu peryferyjności” – jest bez wątpienia symptomem wielokrotnie opisywanego w polskiej i światowej literaturze „kompleksu postkolonialnego”, wyrażonym w tym przypadku wprost i bez ogródek deklaracją własnej narodowej niższości, bycia gorszym, bycia „peryferium” w stosunku do zachodniego „centrum”. Co ciekawe, Skwieceński również dostrzega, a nawet potępia widoczne gołym okiem polskie zakompleksienie względem Zachodu, jednak winą za ten stan rzeczy obarcza ponownie naszych sarmackich przodków. To ich „chorobliwa duma” zrodziła nasz „kompleks niższości”. „To ich historia temu winna, że nasza będzie całkiem inna” – chciałoby się powtórzyć za Jackiem Kaczmarskim. Nie miałbym zresztą pretensji do Skwieceńskiego, gdyby po prostu zganił gnuśność, głupotę, warcholstwo czy kastowy egoizm szlachty. Problem w tym, że zamiast tego stara się jak może zdyskredytować dawną Polskę jako taką.

AUTOAGRESJA ELIT

Na przykładzie tym przekonujemy się naocznie, że kompleks postkolonialny, bez wątpienia słusznie przypisywany elitom lewicowo-liberalnym, trawi również elity centroprawicowe. Im szybciej zdamy sobie z tego sprawę, tym szybciej zrozumiemy, że pod płaszczykiem patriotycznego rezonerstwa kryje się nierzadko głęboko zakorzenione, często jedynie mgliście uświadomione poczucie własnej niższości oraz wynikająca stąd bezpośrednia postawa prymusa – wiecznie spragnionego pochwał i stale szukającego potwierdzenia własnej wartości. Jak wiemy, w praktyce



PIOTR SKWIECIŃSKI
„KOMPLEKS
ROSJI”
TEOLOGIA
POLITYCZNA 2017

oznacza to dla nas płacenie za „akceptację” społeczności międzynarodowej kolejnymi elementami naszej państwowej suwerenności, by wspomnieć chociażby podpisanie traktatu lizbońskiego przez Lecha Kaczyńskiego i przyjęcie umowy CETA przez rząd Beaty Szydło. Łatwość, z jaką Rzeczpospolita ulega międzynarodowej presji, jest wyrazem charakterystycznego dla naszych elit politycznego parweniuszostwa, przekonania o tym, że stosunki międzynarodowe stanowią rodzaj skomplikowanych towarzyskich relacji, a więc że (podobnie jak w salonowym towarzystwie) istnieje w nich jakieś centrum, pewien elitarny „wewnętrzny krąg”, do którego koniecznie należy aspirować, a cała międzynarodowa gra interesów sprowadza się w rezultacie właśnie do rywalizacji o przepustkę do tej „towarzyskiej śmietanki”, o to, by stać się częścią jakiegoś obcego, z założenia lepszego od Polski, organizmu.

Ten sposób myślenia o stosunkach międzynarodowych i pozycji Polski na światowej arenie ma naturalnie swoje źródło w dziejowych traumach, które zaowocowały intelektualną autoagresją, ale jest on dodatkowo utrwalany przez zjawisko innego rodzaju, mianowicie przez specyficzną i niesłychanie toksyczną formację naszych elit.

Ze wszystkich „wpływów rosyjskich na duszę polską” bez wątpienia najszkodliwsza jest to, że polskie elity rekrutują się w zdecydowanej większości z „inteligencji”, będącej – jak twierdzi Isaiah Berlin – „największym wkładem Rosji w społeczną przemianę świata”.

Słowo „inteligencja” wypowiedziane jest w Polsce z nabożną czcią, jakby rzeczywistość oznaczała „arystokrację ducha”, a nie „zjawisko typowe dla krajów zacofanych”, jak twierdzi Andrzej Walicki, „kastę”, „grupę interesu” czy towarzyską koterię, jak opisywał inteligencję Richard Pipes. Przede wszystkim jednak, co słusznie zauważa Agata Bielik-Robson, klasa ta charakteryzuje się „konformistyczną stadnością”, a opinię tę niezależnie od siebie podzielają także Pipes i Walicki.

Dla naszych obecnych rozważań oznacza to przede wszystkim, że uwarunkowany i uzasadniony historycznie kompleks postkolonialny nakłada się w Polsce na w praktyce do złudzenia go przypominający „zespół inteligenta” – prawdziwego animal sociale, zwierzęcia towarzyskiego, całkowicie poddanego regułom organizującym życie ludzkiego stada. „Społeczeństwo” – pisała Hannah Arendt – „zawsze

wymaga, by jego członkowie działali tak, jak gdyby stanowili jedną ogromną rodzinę mającą tylko jedną opinię i jeden interes”.

Piotr Skwieceński jest doskonałym wyrazicielem tego typu formacji nie tylko dlatego, że z dumą pisze o sobie i swoim środowisku „my, giedroyciowska inteligencja”, że fantazjuje o cenzurze prewencyjnej i wzywa do donoszenia na ideowych adwersarzy na policję, ale przede wszystkim dlatego, że jest on jednym z głównych propagatorów i „teoretyków” uprawianego na prawicy ostracyzmu.

W omawianym tu zbiorze znalazłem paszkwil idący tak daleko, że aż dziwi, dlaczego nikt z wydawców nie powstrzymał Skwieceńskiego przed jego publikacją. „Otóż wyobrażam sobie – Skwieceński puszcza wodze swej fantazji – pociesz-

„pociesznego” i „nieodparcie śmiesznego”. Skończywszy swój „żart”, Skwieceński dedykuje oponentom piosenkę Jacka Kaczmarskiego „Wieszanie zdrajców”.

NIENAWIŚĆ DO ROSJI

Zarówno kompleks postkolonialny, jak i inteligentka formacja są przyczyną emocjonalnego stosunku środowiska Skwieceńskiego do Rosji. Albowiem dokładnie z tych samych powodów, dla których polskie elity nieustannie aspirują do zachodniego „centrum”, żywią również szczerą nienawiść do Rosji. Przykład Ukrainy dowodzi, że wrogości tej nie da się wytłumaczyć samą tylko krwawą historią. Przyczyną resentymentu jest to, że Rosja, bez względu na całe jej oczywiste barbarzyństwo, zachowuje się dziś racjonalnie. Cokolwiek prawdziwego powiedzielibyśmy o cynizmie i nihilizmie przywódców Rosji, uosabiają oni zasadę suwerenności oraz bezwzględного prymatu narodowego interesu. Podczas gdy rządzący Polską uczynili cnotę ze stopniowego wyzbywania się suwerenności na rzecz mitycznego „centrum”, „moskiewscy przywódcy myślą w kategoriach klasycznej gry dyplomatyczno-wojskowej, której celem jest uzyskanie od partnera korzyści, a jeśli się uda – podporządkowanie go”, co ze zgrozą konstataje Skwieceński. Podczas gdy polskie elity pojmują własny kraj, a nawet samą polskość w kategoriach peryferii „prawdziwej Europy”, „Rosja [...] ma ambicję być nie tylko państwem, nie po prostu kawałkiem Europy. Rosja postrzega siebie jako alternatywny model rozwojowy” – gorszy się autor „Kompleksu Rosji”.

Kiedy poszło się na tak daleko posunięte kompromisy i odstępstwa od oficjalnie głoszonych zasad, kiedy zaprzęgnięto wszystkie siły intelektualne i oratorskie do przekonania siebie oraz innych, że suwerenne państwa narodowe to XIX-wieczny przeżytek, a rezygnacja z kolejnych atrybutów niepodległości jest przejawem nie tylko „politycznego realizmu”, lecz także „patriotyzmu”, wówczas samo wspomnienie Putina lub Ławrowa musi doprowadzać do szewskiej pasji. Dlatego, zdaniem Skwieceńskiego, rozwiązaniem „może być tylko doprowadzenie Rosji do klęski. Do takiej klęski, którą musiałaby uznać właśnie za klęskę, nie mając możliwości duchowej ucieczki – jak po krachu ZSRR...”. Cytowany w „Kompleksie Rosji” Edward Luttwak, były doradca prezydenta George’a Busha, powiedział: „Urok Rosji polega na tym, że jest poważna, a otaczają ją klauny”.

Sprowadzenie sarmatyzmu do „przede wszystkim wyrazu peryferyjności” jest bez wątpienia symptomem „kompleksu postkolonialnego”

ne współzawodnictwo o to, kto dostąpi zaszczytu sformowania rządu kolaboracyjnego. Współzawodnictwo między faszystami a lewakami. Między środowiskami kojarzonymi z ruchem narodowym, korwinizmem itd. a rozmaitymi mniej lub bardziej psychopatycznymi grupkami z różnych lewackich marginaliów. Już sobie wyobrażam, jak jedni i drudzy przekonują ruskich generałów, że to właśnie oni są właściwą opcją, prawdziwymi »przyjaciółmi Moskali«. Że to właśnie my, a nie ci drudzy, lepiej zapewnimy wszystko to, co Moskwa chce, żebyśmy zapewnili... Kiedy wyobrażam sobie, jak przepychają się w przedpokojach, typiąc na siebie z nienawiścią i donosząc, że ci drudzy to tak naprawdę w odróżnieniu od nas jedynie udają miłość do Rosji, a tylko my was kochamy naprawdę, to jest to obraz tak nieodparcie śmieszny, że niemalże chciałbym, by stał się rzeczywistością...”. Już samo nazwanie narodowców i korwinistów „faszystami” mówi wystarczająco wiele o autorze tego „skrótowego myślowego”, ale być może jeszcze gorsze świadectwo wystawia mu to niczym nieskrępowane, małostkowe samozadowolenie z okazanej adwersarzom pogardy oraz uznanie tej parady obelżywego grubiaństwa za coś

MAREK MIGALSKI: W jakim miejscu sceny politycznej jest Inicjatywa Polska, której jest pan jednym z liderów?

DARIUSZ JOŃSKI: Jesteśmy po lewej stronie.

Czego? SLD?

To ugrupowanie postępowe, modernistyczne, lewicowe, zdroworozsądkowe.

Czyli jesteście jak SLD.

Nie jesteśmy jak SLD. Różnimy się od niego skutecznością.

Czym?! Skutecznością? SLD mają dziś 5–6 proc. poparcia w sondażach, a wy nawet nie jesteście w nich uwzględniani.

Skuteczność będzie w wyborach.

Aha, czyli chodzi o skuteczność przyszłościową. No to naprawdę jesteście formacją modernistyczną.

Nasza skuteczność przejawia się w tym, że gdy obiecaliśmy, iż pod inicjatywą liberalizacji prawa aborcyjnego zbierzemy ćwierć miliona podpisów, to to zrobiliśmy.

Nie tylko wy zbieraliście te podpisy.

Zapelowaliśmy do różnych organizacji. Także do SLD. Oni jednak powiedzieli, że chcą zbierać podpisy pod konkurencyjnym projektem.

I SLD wam nie pomógł?

Nie. Mało tego – Sojusz przeszkadzał nam zbierać podpisy. Czarzasty odpowiedział na nasz apel, że SLD się do tego nie włącza, że idzie swoją drogą i będzie zbierał swoje podpisy pod referendum. Myśmy w trzy miesiące zebrali ćwierć miliona, a właśnie teraz mija rok od czasu, gdy Czarzasty obiecał, że zbierze pół miliona, a mają 100 tys. To nazywam skutecznością.

Wie pan, ilu macie followersów na Twitterze?
Ja mam 17,5 tys.

To ma pan osiem razy więcej niż cała wasza Inicjatywa razem wzięta. A sam Palikot ma 300 razy więcej followersów od was. Nie istniejecie w sferze publicznej.

Dla nas najważniejsze jest obecnie budowanie lokalnych inicjatyw, przygotowywanie się na wybory samorządowe, tworzenie nowego lewicowego programu. Nasi członkowie, tacy jak wiceprezydent Poznania Tomasz Lewandowski, wiceszef sejmiku śląskiego Kazimierz Karolczak, pokazują, jak można skutecznie działać na rzecz lokalnych społeczności.

A kto jest waszym szefem? Wy chyba nie macie formalnego lidera?

Naszą liderką jest Barbara Nowacka.

A z czego to wynika? Bo chyba nie ze statutu.

Niedawno zarejestrowaliśmy statut. Nie chcieliśmy od razu wybierać przewodniczącego. Liderką jest Nowacka.

Chyba jednak nieformalnie?

Nowacka, która była liderką Zjednoczonej Lewicy, powinna nadal pełnić funkcję naszej przewodniczącej. Ponieważ chcemy kontynuować tamten proces jednoczenia się lewicy.

A wie pan, że ona jest jednocześnie współprzewodniczącą Twojego Ruchu? Nie przeszkadza wam, że wasza liderka jest jednocześnie współliderką u Palikota?

Tamta partia de facto przestała funkcjonować.



Z Dariuszem Jońskim z Inicjatywy Polska, byłym posłem i rzecznikiem SLD

rozmawia Marek Migalski

Nie żałuję odejścia z SLD

Tylko że ona ma dotacje budżetowe, a wy nie.
Pieniądze nie są najważniejsze.

Jako były europoseł w pełni się z panem zgadzam.

Potrafimy zbierać podpisy pod naszymi inicjatywami, zrobiliśmy dwie konwencje, organizujemy spotkania. To wszystko bez pieniędzy budżetowych. W obecnej formule jest nam nawet lepiej, bo nie odstręczamy od siebie partyjnością. Gdy zbieraliśmy podpisy i poszliśmy do aktorów Starego Teatru w Krakowie, to oni jak jeden mąż...

I jedna żona!

(śmiej) Tak, i jedna żona – podpisali się pod naszym projektem. Właśnie dlatego że nie jesteśmy obecnie partią.

Jednak wybranie na swoją szefową liderki innej partii jest dziwaczne. Zwłaszcza że niektórzy, np. Leszek Miller, uważają, iż to przez nią Zjednoczona Lewica nie weszła do Sejmu.

Tamta Zjednoczona Lewica z Nowacką na czele zdobyła 7,6 proc., czyli o wiele więcej, niż dziś ma jakakolwiek partia lewicowa.

Czyli te 7,6 proc. to był wasz sukces?!

Porażką było to, że Nowacką wybrano na liderkę na trzy tygodnie przed wyborami, bo nie było wcześniej zgody liderów partii na to, by ona była szefową całej Inicjatywy.

Liderów partii, czyli Millera i Palikota?

Tak. Zgodzili się na to dopiero wówczas, gdy sondaże zaczęły schodzić poniżej 5 proc. Dudę na prezydenta wskazano rok wcześniej.

FOT. MARCIN SZULCZYSKI/EPK NEWS



Zgadzam się, ale przyzna pan, że ona się jednak trochę przyczyniła do tej klęski słabym występem w ostatniej telewizyjnej debacie?

To wszystko się na siebie nałożyło. Jeśli się robi kampanię tak naprawdę w trzy tygodnie, to trudno jest uzyskać dobry wynik.

Zostawmy historię. Możecie pójść z SLD we wspólnym bloku?

Dla mnie to będzie trudne.

Dlaczego?

Na przykład dlatego, że gdy w Łodzi zbieraliśmy podpisy pod projektem bezpłatnych przejazdów dla dzieci, SLD głosował przeciw.

Czarzasty radzi sobie jednak świetnie. Przekracza systematycznie próg wyborczy. Nie musi się z wami liczyć.

To, że on mówi, iż przejechał 100 tys. km po Polsce, niczego nie oznacza. Stan licznika auta nie świadczy o poparciu dla partii. Ja się musiałem tłumaczyć przez lata, dlaczego SLD, gdy rządził, likwidował bary mleczne i zniżki na przejazdy dla studentów.

No i jak pan to tłumaczył?

Mówiłem, że tego nie rozumiem.

Trwał pan jednak w tym SLD.

Nie odpowiadałem za te decyzje. Nie byłem nawet posłem. Byłem wtedy w młodzieżówce. Choć ma pan rację – byłem wtedy w Sojuszu. Nie potrafię jednak odpowiedzieć, dlaczego wówczas moi koledzy tak głęboko sięgali do kieszeni tych biednych ludzi.

Jednak dziś, gdy pan odżegnuje się od współpracy z SLD, to wygląda to tak, jakby mrówka stawiała żądania słoniowi.

Niech pan popatrzy na Francję. Kim był Macron jeszcze kilka miesięcy temu?

Jednak to jest liczenie na cud.

Nie na cud. Raczej na to, że swoją wiarygodnością zasłużymy sobie na zaufanie ludzi.

Dzisiaj, gdy cała lewica jest poza Sejmem, szanse każdego ugrupowania są równe.

Niech pan nie żartuje. Potencjał SLD jest o wiele większy. Ilu macie członków?

Nie liczba członków decyduje...

Ilu macie członków?

W granicach 400–500.

No to SLD może was zakryć czapkami.

A pamięta pan Unię Wolności? Ilu członków, jakie nazwiska...

I to pan przewiduje wobec SLD?

Czytałem ostatnio wywiad z szefem Sojuszu w poważnej gazecie, gdzie wyznawał on, że nie pije alkoholu od półtora roku. Chciałem pogratulować. To jest niepoważne. Lewica potrzebuje poważnych polityków, a nie czegoś, co przypomina kabaret „Ucho prezesa” i innego pana, który czeka przed drzwiami na wpuszczenie. Kiedy patrzę na poprzednich liderów lewicy, to widzę, że to byli poważni zawodnicy.

A tej powagi pan nie widzi u Czarzastego?

Absolutnie nie. Mało tego, pamiętam dwie kampanie wyborcze, gdy on – kiedy widział słabe sondaże – to uciekał. Po raz pierwszy przy Magdalenie Ogórek, a po raz drugi przy okazji startu Zjednoczonej Lewicy.

Czyli on rejturuje w ciężkich czasach?

Nie chcę wierzyć, że zastraniał się wówczas swoim stanem zdrowia.

A może wam dzisiaj jest bliżej do Nowoczesnej po jej ostatniej zmianie kursu? I że to ona dla was jest zagrożeniem, bo głosi większość tych haseł, które i wy głosicie.

Te dwa ostatnie sondaże po konwencji Nowoczesnej niewątpliwie pokazują, że odnalazła ona jakąś swoją drogę. W jej programie są postulaty przez nas wcześniej zgłaszane, m.in. dotyczące związków partnerskich czy rozdziału Kościoła od państwa.

Widzi pan, że to jest jednak dla was zagrożenie?

Na pewno dla części naszego elektoratu to jest atrakcyjna oferta.

Pan jest zbyt doświadczonym politykiem, by nie widzieć, że wy samodzielnie do Sejmu nie wejdziecie i że musicie być częścią jakiejś całości. Do kogo wam jest tak naprawdę bliżej – do jakiejś lewicowej układanki czy do Petru?

Rozmowy o blokowaniu list na wybory samorządowe zaczęły się przed miesiącem, więc będę mądrzejszy za jakieś trzy–cztery miesiące.

Ale do kogo jest panu bliżej?

Gdy słyszę Pawła Rabczyńskiego mówiącego o związkach partnerskich, to wiem, że nam jest blisko do Nowoczesnej.

Bardziej niż do Czarzastego?

Lubię rozmawiać z ludźmi wiarygodnymi.

Pan zna lepiej elektorat SLD niż ja, ale pan wie, że on jest bardziej konserwatywny aksjologicznie niż elektorat Nowoczesnej. Wy możecie spokojnie wyładować w ramionach Petru.

Dynamika polityki jest dziś tak duża, że nikt nie wie, co się stanie za parę miesięcy. Żeby wygrać z PiS, każdy z polityków musi zadbać o swoich wyborców. Nikt dwa lata przed wyborami nie powie, że z kimś na pewno pójdzie lub na pewno nie pójdzie. Myśmy wspólnie z Barbarą Nowacką zdobyli 10 proc. całej listy Zjednoczonej Lewicy.

To znaczy?

W dwójkę dostaliśmy 100 tys. głosów, czyli 10 proc. tego, co dostała Zjednoczona Lewica w całym kraju. Barbara – 70 tys., a ja 30 tys. Nie można stracić tych wyborców.

A nie żałuje pan, że odszedł z SLD?

Nie, nie żałuję. Żałowałbym, gdybym nie odszedł. Jeśli ktoś blokuje naszą inicjatywę bezpłatnej komunikacji dla 80 tys. łódzkich dzieci, to niech się potem nie dziwi, że odchodzą od niego działacze, a także wyborcy. A tak właśnie SLD postąpił u mnie, w Łodzi.

A jakie są pana relacje z Millerem? Przecież on też jest z Łodzi.

Składamy sobie życzenia na święta.

Jak to lewica.

Musi nadejść nowa epoka, nowych polityków, którzy są w stanie ze sobą rozmawiać i myśleć o przyszłości. Otwarcie akt, zamknięcie IPN, koniec z deubekizacją, ze zmianami nazw ulic.

To raczej zdenerwuje moich czytelników.

Może, ale nie może tak być, że na IPN wydajemy 300 baniek, a na Polską Akademię Nauk stówę!

Czyli jaka będzie Polska pańskich marzeń w 2020 r.?

Chciałbym, żeby prezydentem kraju był wówczas Robert Biedroń, a premierem Barbara Nowacka.



IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Starość się wypaczyła

Jakiś czas temu rozplątałem się tu nad młodym pokoleniem, które ma ostatnio kiepską prasę. Pogorszyła się ona jeszcze, gdy na posiedzeniu Sejmu dziecięcego nastąpił wysyp ponurych eurosceptyków. Żeby było zabawniej i symetrycznie, jakiś licealista wyniośle odmówił przyjęcia jakiejś nagrody od Hanny Gronkiewicz-Waltz, chcąc ją w ten sposób ukarać za niedostateczne zaangażowanie na rzecz mniejszości seksualnych. Chyba chodziło właśnie o to, acz pewności nie mam, ponieważ młodociany intelektualista swe wywody sformułował w sposób skrajnie niezrozumiały, co oczywiście jest całkowicie zrozumiałe. Młodociani intelektualści używają trudnych słów, by nikt nie miał wątpliwości, że są intelektualistami.

Nie zmienia to mej oceny młodego pokolenia. Jest entuzjastyczna. Od tego się jest młodym człowiekiem, żeby mieć radykalne poglądy. Gorsze jest co innego. To, że skrajność stała się cechą dziadków i babć. Skrajność to jeszcze pół biedy, osadzony w moim płynnie mózgowym liberalizm lat 90. anachronicznie podpowiada mi, że nie należy nikogo oceniać za wyznawane poglądy. Gorszy jest fanatyzm. 70-latkowie to fanatycy.

Nie bardzo wiem, kiedy to się stało, ale starość się wypaczyła. Stała się swym zaprzeczeniem. Mało jest dzisiaj Nestorów, którym życiowe doświadczenie podpowiada, że racje są skomplikowane i podzielone. Oni wyginęli i zostali zastąpieni przez

podstarzałych Achillesów, którzy najchętniej rozsiekaliby wrogów, ale członki już nie te co kiedyś, więc jedynie gardłują.

Dlaczego tak się dzieje? Dlaczego Polska jest pełna fanatycznych staruszków (i staruszek, one chyba są nawet bardziej zaciekłe)? Dlaczego siwe włosy nie są już znakiem rozwagi i mądrości? Kiedyś myślałem, że to efekt samotności. Że zostawiamy naszych rodziców samych przed telewizorami, w których się kłócą politycy, i w rezultacie oni zaczynają żyć tym, co im podłej jakości media serwują?

Jednak jest chyba i głębsza przyczyna. Doświadczenia naszych rodziców rozpaczliwie nie przystają do dzisiejszych rozpędzonych czasów, za którymi my sami ledwie nadążamy (albo i nie). Ich umiejętności i przeżycia wydają się anachroniczne wnukom, których niewiele są w stanie nauczyć. Często zresztą bywa odwrotnie – sami są nauczani, a nie uczą. To zapewne rodzi poczucie zepchnięcia na margines. I żeby być słyszanym z tego bocznego toru, krzyczą głośno i radykalnie, bo zauważyli (przecież nie są głupi), że z szumu komunikacyjnego przebijają się jedynie najostrzejsze, najmocniejsze, najbrutalniej formułowane tezy.

Nie mam pojęcia, czy moja hipoteza jest słuszna. Jednak już niedługo przekonam się o tym na własnej skórze. A ponieważ kiepsko u mnie z radykalnymi opiniami, pewnie na starość nikt nie będzie zwracał na mnie uwagi. ©©



MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Duch wojownika

Używanie wobec ludzi określenia „barany” uchodzi powszechnie za obraźliwe. Jednak nic innego nie przychodzi mi na myśl, kiedy porównuję doniesienia medialne tylko z jednego dnia.

Oto w Turynie fałszywy alarm wywołuje panikę dziesiątków tysięcy kibiców, z drugiej strony kolejny atak w Wielkiej Brytanii obok łez i rytualnych zaklęć nie przynosi żadnej refleksji, żadnego działania. Gorzej! Oto pokazuje jakiegoś późnego wnuczka pokolenia dzieci kwiatów, który bredzi, że nienawisć można pokonać miłością, a wszelka ostrzejsza reakcja to jest właśnie to, o co wrogom ludzkości chodzi. Dobry Boże, toż to nawet komunizmowi nie udało się zabić w ludziach instynktu samozachowaw-

jak duma, godność, ambicja. Że podstawową komórką dla wielu pozostaje rodzina, a wspólnotą naród, nawet gdy brakuje religijnego spoiwa.

Obok strachu, paraliżu, oghupienia tu i ówdzie pojawia się gniew. W Londynie samotny kibic z gołymi rękami rzucił się na uzbrojonych w noże morderców. Oczywiście Europejczycy to nie Amerykanie i choćby chcieli chwycić za broń, nie mają broni. A ograniczenia w jej dostępie mają być jeszcze bardziej rygorystyczne. Może więc nawet jeśli nadejdzie przebudzenie, będzie już za późno. O ile już nie jest.

Zorganizowana mniejszość może odgrywać poważną rolę w wyborach. Lorda Mayora Londynu nie wybrali sami mułomanie, lecz inni kolorowi bracia – zapewne w wielkiej części chrześcijanie połączeni resentymentami i chęcią dołożenia białasom. A przecież z każdym rokiem, z każdą falą uchodźców, z każdym rocznikiem produkcji matek wieloródek będzie gorzej. Sułtanat zamiast Zjednoczonego Królestwa, Islamska Republika Galii, Muzułmańska Rzesza Niemiecka. 20 lat temu brzmiało to już jak political fiction. Dzisiaj nie.

A przecież sen trwa, media sączą politycznie poprawny jad. Nikt nie próbuje wyobrazić sobie przyszłości. Nie będą umierać za Manchester, Niceę, Madryt, a jak trzeba, założą burki... A może po prostu wierzą, że zdołają uciec – do Rosji, do Ameryki, do Polski – albo liczą, że jak będzie już naprawdę źle, przyjdzie jakiś rusek i jankes i ich wyzwoli. ©©

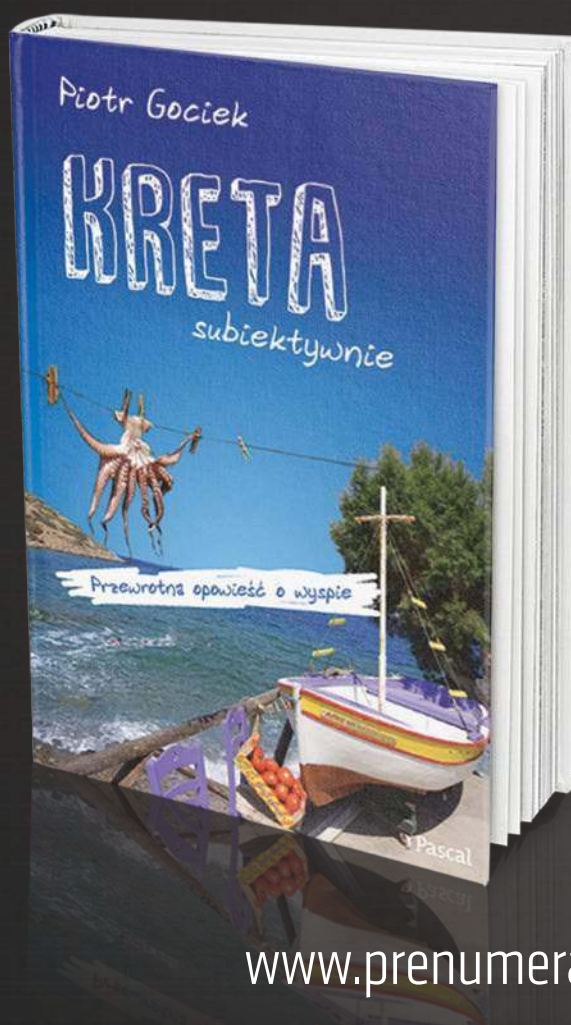
Mimo postępów ideologii gender wierzę, że zwykli ludzie zachowali wolę przetrwania

czego! I proszę mi nie mówić, że tak postąpiłby Jezus. Za chód nie wierzy w Jezusa, więc może powoływać się na niego wyłącznie instrumentalnie.

Ciągle żywię nadzieję, że poprawnym politycznie mediom nie udało się zniszczyć natury ludzkiej. Mimo postępów ideologii gender wierzę, że zwykli ludzie zachowali wolę przetrwania, chęć zachowania gatunku i takie uczucia

CZYTAJ CO TYDZIEŃ **W LEPSZEJ CENIE** **ZAMÓW PRENUMERATĘ**

PRENUMERATA PÓŁROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY”
+ KSIĄŻKA PIOTRA GOĆKA „KRETA SUBIEKTYWNIE”



Kreta subiektywnie – czyli wesołe zapiski dyletanta. Przewrotna opowieść o wyspie, na której im więcej zobaczysz, tym więcej pozostaje do odkrycia.

- Co można robić nad zatoką, przy której tańczył Grek Zorba?
- Dlaczego król Grecji musiał nocować w wąwozie Samaria?
- Czego absolutnie nie należy mówić Kreteńczykom?
- Czy Knossos to archeologiczny Disneyland?
- Jak trafić na urodziny Giorgiosa i pozostać trzeźwym?
- Co polscy żołnierze w służbie rosyjskiego cara robili na Krecie?
- Które miasto wyspy było dumą Rzymu i dlaczego nic o tym nie wiecie?
- Dlaczego autor spacerował po Rethymnonie w górze od pidżamy, żółtych szortach i z fuksjową parasolką?

138 zł

oszczędność 81 zł

www.prenumerata.dorzeczy.pl

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WPLATA NA KONTO:
62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o.
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa.

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy
Ci obecnie trwającą prenumeratę,
a prezent wyślemy z najbliższym
wydaniem tygodnika.

WIĘCEJ INFORMACJI:

E-MAIL: prenumerata@point-group.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: www.prenumerata.dorzeczy.pl
eprasa.pl 80fc8579fd



Zdzisław Kościelak

Złośliwy gest, na który w 1987 r. zdecydowała się PZPR podczas wizyty Jana Pawła II w Gdańsku, był oznaką politycznej porażki władz PRL

W czasie swych licznych pielgrzymek do Polski i innych krajów o tradycji katolickiej papież Jan Paweł II spotykał się niezmiennie z gorącym przyjęciem zgromadzonych tłumów. Przyjęcie to bywało z reguły chłodniejsze w krajach protestanckich, prawosławnych oraz muzułmańskich, zawsze jednak ich mieszkańcy i władze troszczyły się o przyjęcie gościa z należnym szacunkiem. Wśród dwóch i pół tysiąca miejsc, które Jan Paweł II odwiedził podczas swoich 102 podróży po świecie, oprócz zagłuszanej przez sandinistów mszy w Nikaragui było jeszcze jedno, gdzie nie usłyszał braw ani okrzyków sympatii. Przeciwnie – zgromadzeni odwrócili się doń plecami. Trudno w to uwierzyć, że tak gorzkiego przyjęcia papież Polak doświadczył we własnym kraju. Mowa o pobycie Jana Pawła II pod pomnikiem Poległych Stoczniovców w Gdańsku 12 czerwca 1987 r.

Wizyta papieża w mieście, gdzie narodziła się Solidarność, była przedmiotem zabiegów Kościoła już w 1983 r. Kiedy komuniści zgodzili się na kolejną papieską pielgrzymkę, zaakceptowali Gdańsk – pod warunkiem że Jan Paweł II będzie na Westerplatte, a z Lechem Wałęsą spotka się poza oficjalnym programem. O tym, że papież odwiedzi pomnik Poległych Stoczniovców, nie mogło być nawet mowy.

NIEBEZPIECZNY POMNIK

Pomnik ten, w postaci trzech 42-metrowych krzyży z wiszącymi na nich kotwicami, wzniesiono w ekspresowym tempie po zakończeniu sierpniowego strajku przed słynną bramą nr 2 ówczesnej Stoczni Gdańskiej im. Lenina ku czci śmiertelnych ofiar Grudnia '70. Odsłonięto go 16 grudnia 1980 r. w 10. rocznicę krwawo stłumionego protestu. W ten sposób stał się on także trwałym znakiem sierpniowego zwycięstwa i miejscem lub celem antykomunistycznych demonstracji, a otaczający go plac otrzymał oficjalną nazwę pl. Solidarności.

Tyłem do



Miejsca tego nie było więc ani w pierwotnych wersjach programu zgłaszanych przez stronę kościelną jeszcze w 1986 r., ani po wspólnych ustaleniach rządu i episkopatu 9 lutego 1987 r., ani nawet po wizycie odpowiedzialnego za kwestie techniczne kard. Tucciego w dniach 10–11 marca 1987 r. Nie zniechęcało to działaczy Solidarności, którzy – jak raportował Departament IV MSW – planowali „wszczęcie zajść” w trakcie papieskiego przejazdu w odległości kilkuset metrów od pomnika. Specjalnie przygotowani demonstranci mieli „zatrzymać samo-

chód wiozący Jana Pawła II, utworzyć szpaler prowadzący do pomnika” i w ten sposób skłonić papieża do przejścia w jego kierunku – lub przynajmniej spowodować „zatrzymanie samochodu z Janem Pawłem II w miejscu, z którego widoczny byłby pomnik, aby w ten sposób Jan Paweł II mógł złożyć hołd poległym stoczniovcóm”. 8 maja 1987 r. tajny współpracownik SB ps. Szejka (według dokumentów IPN pod pseudonimem tym krył się ks. Wiesław Lauer, kanclerz kurii i redaktor naczelny diecezjalnego dwutygodnika „Gwiazda Morza”) doniósł,

papieża



Komuniści najpierw nie chcieli się zgodzić na obecność papieża pod pomnikiem Poległych Stoczniovców, a potem postanowili przygotować dla niego bardzo gorzkie powitanie

FOT. ZBIGNIEW KOSYCARZ/KFP/REPORTER

że bp Tadeusz Gocłowski „został wezwany w trybie pilnym do Rzymu”. Wyjazd ten nastąpił „na wyraźne polecenie papieża” i dotyczył planów pobytu Jana Pawła II w Gdańsku – mianowicie „ewentualnego złożenia hołdu przez papieża pod pomnikiem Stoczniovców”.

Powróciwszy z Watykanu, 16 maja 1987 r. bp Gocłowski przekazał lokalnym notabdom prośbę o włączenie pomnika Poległych Stoczniovców do programu papieskiej wizyty. Według SB „nieodpowiedzialna inicjatywa” biskupa „zaskoczyła władze”. Wprowadzenie tego

punktu „miałoby poważne, trudne w tej chwili do oceny, następstwa”, a antykomunistyczni opozycjoniści odbiorą to jako „jednoznaczne poparcie ich racji”. Było jednak jasne, że modlitwa pod pomnikiem jest życzeniem samego papieża. Mając do wyboru alternatywę w postaci brutalnego pacyfikowania demonstrantów na oczach głowy Kościoła i jadących tuż za papamobile przedstawicieli mediów z całego świata, władze zgodziły się włączyć pomnik do nieoficjalnego programu wizyty, nigdzie tego jednak nie ogłaszając.

12 czerwca 1987 r. po spotkaniu z chorymi w bazylice Mariackiej papieski pojazd, zamiast zawieźć Ojca Świętego na obiad i odpoczynek do Oliwy, skręcił w kierunku stoczniowej bramy. Jan Paweł II ukląkł u stóp pomnika i po krótkiej modlitwie złożył bukiet z 49 białych i żółtych róż – tyle bowiem nazwisk figurowało na oficjalnej liście zabitych w Grudniu '70. Przy pomniku oczekiwała duża grupa osób, milczących i stojących tyłem do papieża. Kim byli ci ludzie i dlaczego wzięli udział w tej dziwnej manifestacji?

PAPIEŻ – NASZ WRÓG

Odpowiedź na to pytanie próbował znaleźć lokalny „Dziennik Bałtycki”, który przed drugą wizytą Jana Pawła II w Trójmieście (1999) dotarł do jednego z uczestników owego milczącego zgromadzenia, podówczas oficera Marynarki Wojennej. Na odprawie kadry w kinie Grom w Gdyni-Oksywiu on i jego koledzy usłyszeli, że „Kościół jest wrogiem zarówno Ludowej Ojczyzny, jak i wojska”, wobec tego papieżowi („który nie pasuje do socjalizmu”) należy dać do zrozumienia, że go „nie popieramy”. Zebrany polecono założyć cywilne ubrania, zabrać ze sobą żony i dorosłe dzieci „bo sami mężczyźni nie będą wyglądać przekonywująco” i zachowywać się „lodowato”. Wczesnym rankiem 12 czerwca 1987 r. oficerów przewieziono autokarami do Gdańska. Jedynie nieliczni zabrali ze sobą żony i dzieci.

W 2005 r., tuż po śmierci Jana Pawła II, w wydaniu specjalnym tej samej gazety zamieszczono skrót tamtego reportażu, apelując o zgłaszanie się innych uczestników niecodziennego zgromadzenia pod pomnikiem. I chociaż – jak szacowano w artykule – brało w nim udział kilka tysięcy osób, na apel redakcji odpowiedział tylko jeden, mieszkaniec wsi koło Starogardu Gdańskiego, w 1987 r. członek PZPR. „Nasz sekretarz otrzymał polecenie, aby wybrać dziesięciu zaufanych ludzi, którzy pojadą pod pomnik Poległych Stoczniovców, gdy będzie tam papież”, ponieważ „spodziewano się manifestacji”. „Chętnie się zgodziłem” – opowiadała rozmówca – bo „choć chodziłem do kościoła, to Solidarność wówczas mi się nie podobała”. Wybranych zawieziono rano pod siedzibę PZPR w Starogardzie, gdzie już czekały autobusy. Ze Starogardu wyjechało ok. stu osób – byli wśród nich także partyjni aktywiści ze starogardzkich szkół. „Atmosfera była jak na majówce. Szybko znalazł się alkohol.

„Dostaliśmy kielbaski, piwo” – opowiadał, dodając: „Teraz jest mi głupio, że uczestniczyłem w tamtych wydarzeniach. Nie rozmawiamy o tym ze sobą. Ludzie pewnie się wstydzą”.

Kto zdecydował o zorganizowaniu owej szczególnej „publiczności” oraz kto – i przede wszystkim dlaczego – nakazał sprawić papieżowi jawny afront, okazując mu tak ostentacyjne lekceważenie? Znając stosunki panujące w PZPR, trudno przecież uwierzyć, by mógł to być spontaniczny gest. PRL-owscy decydenci zakładali, że papieska wizyta „sprawi zawrót ekstremit opozycji”, bo „papież powtórzy nasze hasła o pojednaniu” oraz „ukáže konstruktywną rolę Kościoła i wierzących w tym procesie”. Pragnąc współgrać z przewidywanymi słowami Jana Pawła II, 9 czerwca 1987 r. Biuro Polityczne PZPR przyjęło „wykładnię polityczną”, która zalecała m.in., aby państwowa propaganda akcentowała spodziewane w wypowiedziach papieża „wątki zbieżne” ze stanowiskiem władz – np. „problematykę Ziem Zachodnich” lub „tendencje odwetowe i militarystyczne w RFN”.

Jan Paweł II oczekiwał tych jednak nie spełnił. Największym ciosem dla władz okazała się papieska wizyta na Westerplatte. Postawiona jako jeden z warunków zgody na włączenie Gdańska do programu pielgrzymki, miała w zamiśle partyjnych propagandzistów udowodnić, że – tak samo jak komuniści – papież żywa do „pokoju” i „odprężenia”, czym sprzeciwia się „imperialistycznej” polityce Stanów Zjednoczonych i ich prezydenta Ronalda Reagana. Akcentując zaś polskość Gdańska i Szczecina, daje odpór „rewizjonistom” z RFN pragnącym powrotu przedwojennych granic.

Tymczasem Karol Wojtyła sprawił władzom PRL gorzką niespodziankę. W swoim przemówieniu na Westerplatte, skierowanym do zgromadzonej tam młodzieży, powiedział: „Każdy z was, młodzi przyjaciele, znajduje też w swoim życiu jakieś swoje Westerplatte. Jakiś wymiar zadań, które trzeba podjąć i wypełnić. Jakąś słuszną sprawę, o którą nie można nie walczyć. Jakiś obowiązek, powinność, od której nie można się uchylić. Nie można zdezerterować. Wreszcie – jakiś porządek prawd i wartości, które trzeba utrzymać i obronić. Utrzymać i obronić w sobie i wokół siebie. Obronić – dla siebie i dla innych. Tak jak to Westerplatte”.

Władze były zaskoczone takim, dotąd niespotykanym, ujęciem tematu. Papież nie

tylko nie powiedział tego, czego odeń jakże logicznie oczekiwały, lecz także wykorzystując Westerplatte jako symbol bohaterstwa i walki z przeważającymi siłami wroga, potraktował je jako zachętę do przeciwstawiania się komunistycznej władzy! Mieczysław Rakowski w swoich dziennikach zapisał, że na Westerplatte „Jan Paweł II nie wspominał o pokoju (na co liczył Wojciech Jaruzelski), pouczał natomiast młodzież, jaką siłę moralną powinna posiadać”.

DECYZJE PARTYJNE WIERCHUSZKI

Zgromadzenie lojalnych członków PZPR pod pomnikiem Poległych Stoczniovców miało zapewne na celu jedynie uniemożliwienie manifestacji zwolenników Solidarności z udziałem papieża. Jednak lekceważące odwrócenie się doń plecami mogło stanowić swoisty rewanz za niespełnienie oczekiwań władz w najważniejszym dla nich punkcie wizyty w Gdańsku. Decyzja o tym musiała zapaść na najwyższych szczeblach władzy – np. w Biurze Politycznym KC PZPR. Nie da się jednak tego potwierdzić, gdyż przechowywany w stołecznym Archiwum Akt Nowych (AAN) zespół dokumentów pod nazwą „Protokoły z posiedzeń Biura Politycznego KC PZPR” z tego okresu nie zawiera zapisów przebiegu obrad, lecz jedynie opracowania i materiały pomocnicze, będące zwykle załącznikami do właściwych protokołów.

Jan Paweł II, wykorzystując Westerplatte jako symbol, potraktował je jako zachętę do przeciwstawiania się komunistycznej władzy

W AAN zachował się wszakże dziennik tajnej korespondencji Wydziału Społeczno-Prawnego KC PZPR z czerwca 1987 r. Wydział ten, kierowany przez Andrzeja Gdułę, poprzednio zastępcę gen. Kiszczaka w MSW, w strukturze KC był odpowiednikiem tego właśnie ministerstwa. Głównymi nadawcami tejże korespondencji byli sekretarze Stanisław Ciosek i Józef Baryła, a składała się ona niemal wyłącznie z materiałów związanych z wizytą papieża, takich jak np. „szyfrówka” MSZ z Rzymu, teksty papieskich homilii, wykazy uczestników zamkniętych spotkań itp.

11 i 12 czerwca, kiedy Jan Paweł II gościł na Wybrzeżu, Stanisław Ciosek nadesłał aż 10 tajnych pism! Najprawdopodobniej jednak to Józef Baryła, wieloletni oficer polityczny, w latach 1980–1985 szef Głównego Zarządu Politycznego LWP, zadecydował, aby zademonstrować papieżowi niezadowolenie władz, wykorzystując kadrę oficerską niemal w 100 proc. należącą do PZPR. Świadczyć o tym może adnotacja poczyniona 8 czerwca przy piśmie adresowanym do Andrzeja Gduły: „Proszę realizować decyzję J. Baryły”. Wybór Kociewia jako miejsca pochodzenia części „demonstrantów” też nie był przypadkowy. Zdominowane przez Kaszubów Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie (ZKP) było jedynym spośród 18 (!) legalnie działających w województwie gdańskim stowarzyszeń, które oficjalnie zgłosiło zamiar uczestniczenia w papieskich uroczystościach – a pomiędzy tymi zamieszkującymi od wieków Pomorze społecznościami występuje niezbyt silny, ale odczuwalny antagonizm.

Można też przyjąć, że afront pod pomnikiem adresowany był bezpośrednio do samego papieża, zwykle żywo reagującego na zachowanie publiczności, oraz do jego bliskiego, zwłaszcza włoskiego otoczenia, w dużej części przeciwnego wspieraniu Solidarności. Pod pomnik nie wpuszczono bowiem żadnego dziennikarza ani żadnej ekipy telewizyjnej, jedynie trzech fotoreporterów. Byli to Wojciech Kryński z kontrolowanej przez władze Centralnej Agencji Fotograficznej (CAF), Zbigniew Kosycarz – fotoreporter „Głosu Wybrzeża”, organu KW PZPR w Gdańsku, oraz osobisty fotograf papieża, Arturo Mari. Toteż nie licząc wydanego w 1988 r. niskonakładowego albumu, trudno było gdziekolwiek znaleźć zdjęcie Jana Pawła II na tle pleców partyjnego i wojskowego aktywu. Z oczywistych względów afrontu wyrządzonego papieżowi nie miało zamiaru nagłaśniać jego otoczenie.

Niezależnie od rzeczywistych intencji afront ten był wymownym znakiem politycznej porażki władz PRL. Godząc się na kolejną wizytę Jana Pawła II, komuniści liczyli, że papież wpisze się w głoszoną przez nich politykę „dialogu ze społeczeństwem” oraz powtórzy zbroszone przez nich hasła potępienia zbrodni i pragnienia pokoju. Kalkulacje te spełzły jednak na niczym, a komunistom pozostały jedynie bezsilne i złośliwe gesty – takie jak ten pod pomnikiem Poległych Stoczniovców.



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Bracia Białorusini

Zawsze wielką sympatią darzyłem naród białoruski. Jego przedstawiciele stanowili nieodłączny element mozaiki narodowej Wielkiego Księstwa Litewskiego – ojczyzny moich przodków. Bez nich nasze państwo nie byłoby takie samo! Lecz także w późniejszych czasach Białorusini odgrywali niezwykle pozytywną rolę.

Weźmy choćby rewolucję bolszewicką. Podczas gdy na Rusi podburzeni przez komunistycznych agitatorów włościanie palili dwory i wyżyнали „polskich panów” – na Białorusi panował spokój. Podobnie było w II RP. O ile państwo polskie miało ustawiczne problemy z Ukraińcami, o tyle Białorusini byli na ogół spokojnymi i lojalnymi obywatelami.

Wielu Białorusinów walczyło dzielnie w armii gen. Władysława Andersa – wystarczy pojechać na cmentarz wojenny na Monte Cassino, aby zobaczyć wiele prawosławnych krzyży. Historycy szacują, że w oddziałach AK na Nowogródcyżynie Białorusini stanowili ok. 40 proc. żołnierzy. Jaka szkoda, że w 1991 r. – a podobno była taka szansa – nie doszło do zawiązania federacji Polski i Białorusi!

Moja sympatia do Białorusinów jeszcze wzrosła po przeczytaniu nowego, znakomitego numeru „Glauko-

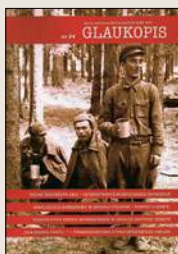
pisu”. Profesor Marek Chodakiewicz opublikował w nim wzruszający dokument z listopada 1945 r. Jest to petycja białoruskich żołnierzy wcielonych do Armii Czerwonej skierowana do „pana prezydenta” Bieruta. Zdezorientowani Białorusini nie zdawali sobie sprawy, że piszą do sowieckiego agenta. Byli przekonani, że Bierut jest prawdziwym polskim przywódcą.

„My żołnierze białoruscy – pisali – żądamy jednogłośnie o przyłączenie Kresów Wschodnich do Polski. W 1939 roku my Białorusini walczyliśmy w obronie polskich granic na frontach: pod Mławą, Narwią i w obronie Warszawy. Zajęcie tych terenów przez Czerwoną Armię nastąpiło siłą zbroi przeciw [woli] Polski i naszego narodu.

Z powodu przynależności narodowej żąd sowiecki zaciągnął nas do Czerwonej Armii, co dla nas jest nie po żądaniu. Mylnem jest, że niektórzy przedstawiciele żądu Polskiego posądzają naród białoruski o wrogiem usposobieniu do narodu Polskiego.

Nie jest to żądanie kilku żołnierzy, ale wszystkich Białorusinów” [pisownia oryginalna – przyp. red.].

Mam nadzieję, że NKWD nie wytropiło autora tej petycji. Los tych śmiazków byłby bowiem wówczas niewesoły. ©©



★★★★★
„GLAUKOPIS”
34/2017



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Dramaturg i kobiety

Ponurak, małomówny, zamknięty w sobie – tak charakteryzowano Sławomira Mrożka w dokumentach SB – „nieufnie nastawiony wobec wszystkich znajomych. W obecności osób trzecich bywa bardzo ostrożny i wstrzymuje się w wypowiedziach”.

Sławomir Mrożek nie miał najlepszego zdania o swoich partnerkach

Legendarna wręcz małomówność nie przeszkodziła Mrożkowi w powodzeniu u płci pięknej. Po śmierci swojej pierwszej żony, plastyczki Marii Obremby, prowadził kawalerski tryb życia i nie chciał się wiązać na stałe z inną kobietą. Cieszył się jednak dużym zainteresowaniem pań, gdyż pomimo dość dyskusyjnej urody jego inteligencja stanowiła magnes dla płci pięknej. Nie miał jednak najlepszego zdania o swoich partnerkach i związki te szybko się kończyły.

„Nigdy nie miałem objawów morderczo-erotycznych – tłumaczył – i mam nadzieję, że interesuje mnie to nie z powodów zboczenia. Owszem, biłem czy dusiłem (raczej podduszałem), ale nie z miłości, tylko doprowadzony do furii dokuczliwą głupotą partnerek. Dosyć mnie wymęczyły, mnie słabego i tak wrażliwego pazia, różne idiotki”.

Spotkał jednak wreszcie kobietę, która kompletnie zawróciła mu w głowie. Niewiele o niej wiadomo, w „Dziennikach” określał ją jako Y. Była mężatką, mieszkała w Nowym Jorku i pracowała jako dziennikarka. Nawiązała burzliwy romans, a w notatkach Mrożka zaczęły pojawiać się słowa, których wcześniej nigdy nie używał w stosunku do żadnej kobiety („Jakże miałbym wiedzieć, czy jest życie pozagrobowe, kiedy nawet nie wiem, czy Y. przybyła pierwszym, czy drugim samolotem z Nowego Jorku”). Uważał, że jest „najmniej zwykłą (czyli niezwykłą) kobietą, jaką spotkał”. Zauważał w niej też „jakość, w której rozpoznawał wiele cech własnych, swoich”. Miał już ponad 40 lat, ale chwilami zachowywał się jak nastolatek.

Wszystko ma jednak swój kres i związek ten zakończył się po ośmiu latach, a niebawem Mrożek spotkał właściwą kobietę. Była nią młodsza o blisko ćwierć wieku Meksykanka, Susana Osorio, którą poślubił w 1987 r. Oświadczając się jej, zgodnie z meksykańskim obyczajem śpiewał piosenki, co zapewne wpawiłoby w osłupienie wielu jego znajomych. Wprawdzie wcześniej też zdarzały mu się popisy wokalne, ale wyłącznie pod wpływem alkoholu, a repertuar był ograniczony do pieśni pochodzących ze śpiewników ZMP. Odpowiednia kobieta potrafi jednak bardzo zmienić zakochanego w niej mężczyznę... ©©

Wiele hałasu o nic

Spotkania takie jak Emmanuel Macron z Angelą Merkel same w sobie nie stworzą Unii dwóch prędkości FOT. AP/EAST NEWS



Olivier Bault

Stworzenie „twardego jądra” UE jest nie tylko nieopłacalne dla wielu krajów Zachodu, lecz także niemożliwe ze względu na unijne prawo

Polskie gazety lewicowo-liberalne wyjątkowo entuzjastycznie przyjęły wygraną Emmanuela Macrona we francuskich wyborach prezydenckich. „Gazeta Wyborcza” poświęciła mu swoją pierwszą stronę. „Jak to zmieni Francję i Europę?” – pytała w podtytule, zapowiadając, że „Podział UE na zintegrowane jądro i peryferie, na których zapewne znajdzie się rządzona przez PiS Polska, jest bliższy”. W komentarzach Marek Beylin tłumaczył czytelnikom, że: „Macron chce właśnie Unii zintegrowanej politycznie wokół strefy euro, z oddzielnym budżetem, parlamentem i ponadnarodową egzekutywą. Za kilka lat Polsce będzie trudno do nowej Unii doskoczyć, bo ugrzęźniemy na peryferiach”. To brzmiało trochę jak instrukcje prezesa Ringier Axel Springer wysłane do polskich dziennikarzy po wyborze Donalda Tuska na drugą kadencję przewodniczącego Rady Unii Europejskiej („W nadchodzącym czasie na autostradzie unijnej integracji pojawia się nie tylko pas szybkiego i wolnego ruchu, ale też parking. I to jest właśnie moment, gdy do gry włączają się wolne media, takie jak my”).

JAK WYJDĄ Z UE?

Warto zatem zadać sobie pytanie: Czy wizja ścisłej integracji jakiegoś „twardego jądra” Unii jest realna w aktualnej sytuacji? Francuskie gazety należące do tego samego nurtu myślenia o UE co media Agory i Ringier Axel Springer są dużo bardziej powściągliwe. Prawdą jest, że Macron zapowiedział w programie wyborczym, iż chciałby, aby powstał wspólny budżet strefy euro, nad którym miałyby głosować osobny wspólny parlament i który miałyby być realizowany przez ministra gospodarki i finansów tejże strefy. Druga propozycja Macrona zakładająca duże zmiany w „twardym jądrze” to projekt konwentów obywatelskich w całej Unii (podobnych

do konwentu, który opracował były, nieszczęsny projekt konstytucji europejskiej?), w celu wypracowania nowego projektu, który zostanie przyjęty przez wszystkie zgadzające się z jego zapisami kraje, z zastrzeżeniem, że „żaden kraj europejski nie będzie mógł blokować tego nowego etapu”. Tylko... by zmienić Traktat o UE, potrzeba jednomyślności. Czyżby nowy prezydent Francji zamierzał wyprowadzić Francję z Unii, aby stworzyć coś nowego z kilkoma innymi krajami?

Zresztą nawet pierwsza propozycja wymagałaby głębokiej zmiany obowiązującego traktatu lizbońskiego lub podpisanie nowego traktatu, gdyż absolutnie się nie mieści w postanowieniach o wzmocnionej współpracy Traktatu o Unii Europejskiej i Traktatu o funkcjonowaniu Unii Europejskiej. A przecież prezydent Macron nigdy nie powiedział, że zamierza wystąpić z Unii Europejskiej razem z kilkoma innymi krajami, aby stworzyć coś w rodzaju Stanów Zjednoczonych Europy. Trudno sobie wyobrazić, aby mógł mieć na to zgodę narodu francuskiego, który w 2005 r. odrzucił w referendum projekt konstytucji europejskiej i który w 2017 r. oddał ponad 46 proc. głosów w pierwszej turze wyborów prezydenckich na rzecz eurosceptycznych kandydatów, domagających się m.in. powrotu do franka francuskiego.

NIEREALNE PROPOZYCJE

Po wizycie nowego prezydenta Macrona w Berlinie w ramach jego pierwszego wyjazdu zagranicznego lewicowo-liberalny dziennik „Le Monde” (zaprzyjaźniony z „Gazetą Wyborczą”) podkreślał, że Niemcy nie chcą słyszeć o europejskich obligacjach i dlatego Macron musiał na wstępie uspokoić, że rozmowy o wspólnej odpowiedzialności za dług w ramach strefy euro mogłyby dotyczyć wyłącznie pożyczek zaciąganych w przyszłości. Angela Merkel zastrzegła, że Niemcy będą gotowe renegotjować traktaty tylko wtedy, jeśli będzie to miało jakiś sens. „Le Monde” wyjaśniał też, że niemiecki minister finansów Wolfgang Schäuble, biorąc pod uwagę obecną sytuację w Europie, zaznaczył, iż wszelka próba rewizji traktatów byłaby iluzoryczna. Gazeta wskazała też na brak zgody między Francją a Niemcami w zakresie polityki antydumpingowej. Pani kanclerz miała

też wyrazić oczekiwanie, że Francja musi najpierw naprawić swoje finanse publiczne. Dlatego po tej wizycie centroprawicowy dziennik „Le Figaro” pisał, że Angela Merkel i Emmanuel Macron chcą w pierwszej kolejności wzmocnić współpracę dwustronną między krajami, zapowiadając pierwszą francusko-niemiecką radę ministrów na lipiec. Na tej radzie Paryż i Berlin mają omawiać kwestie dyrektywy o pracownikach oddelegowanych, prawa azylowego i wzajemności w handlu międzynarodowym. Według „Le Figaro” niemiecki rząd uważa, że propozycje Macrona na temat wspólnego budżetu i wspólnego ministra finansów strefy euro są „nierealistyczne”.

TWARDE JĄDRO?

Sama współpraca dwustronna między Berlinem a Paryżem czy nawet spotkania takie jak Macrona z Merkel lub jak to z udziałem prezydenta Francji, kanclerz Niemiec oraz premierów Włoch i Hiszpanii w Wersalu w marcu (na którym mówiono o potrzebie „Europy wielu prędkości”) nie tworzą same z siebie „twardego quasi-federalistycznego jądra UE” – nawet jeśli propozycje Macrona w sprawie wspólnego budżetu strefy euro cieszą się poparciem Gentiloniego i Rajoya. Ci dwaj ostatni nie mają zbyt mocnej pozycji w swoich krajach – premier Rajoy stoi na czele rządu mniejszościowego, a Gentiloni w 2018 r. będzie musiał skonfrontować się w wyborach z przodującym w sondażach Ruchem Pięciu Gwiazd zapowiadającym referendum w sprawie wyjścia ze strefy euro oraz z ewentualną koalicją centroprawicy Berlusconi, proponującą powrót do waluty narodowej dla rozliczeń wewnętrznych oraz z Ligą Północną, która jest zwolenniczką odejścia od euro w ogóle.

W przeciwieństwie do tego, co zapowiadają z nieukrywaniem zadowoleniem media Agory i Ringier Axel Springer, spotkania kilku największych krajów UE nie oznaczają izolacji Polski i odstawienia jej na „parking integracji europejskiej”. Polska również prowadzi rozmowy z innymi krajami UE i spoza niej – czy to w ramach częstych spotkań w formie Grupy Wyszehradzkiej, czy np. na niedawnym spotkaniu szefów MSZ państw nordyckich, bałtyckich i V4 w Sopocie, czy w związku

z inicjatywą Trójmorza lub na szczycie szefów parlamentów państw Europy Środkowo-Wschodniej (w maju w polskim Sejmie). Podobnie jak Berlin, Paryż, Rzym i Madryt Polacy mają prawo promować własną wizję dalszego funkcjonowania Unii Europejskiej.

Czasy, kiedy tandem francusko-niemiecki pociągał automatycznie za sobą pozostałe kraje Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej, dawno minęły z dwóch powodów: państw członkowskich w Unii Europejskiej jest dzisiaj nie 6 czy 12, a 28 czy 27, jeśli nie liczyć już Wielkiej Brytanii, a dzisiejsza Francja przeżywa podobne trudności gospodarcze i finansowe jak Włochy i ją także można dziś śmiało nazywać „chorym człowiekiem Europy”: stale rosnący dług publiczny, który osiągnął na koniec 2016 r. 96 proc., deficyt finansów publicznych wciąż na wysokości 3,4 proc. w 2016 r., bardzo duży deficyt

euro i dlatego w interesie Berlina jest utrzymywanie wspólnej waluty pomimo rosnących długów krajów śródziemnomorskich – łącznie z Francją. W takiej sytuacji stworzenie wspólnego budżetu, parlamentu i rządu dla całej strefy euro jeszcze bardziej utrudniałoby tym krajom powrót do własnej waluty. To, że Polska zachowała własną walutę, jest dziś raczej elementem siły gospodarczej i wolności, a nie słabości i izolacji. Według Eurostatu w latach 1995–2015 udział produkcji przemysłowej w szybko rosnącym PKB Polski zwiększył się o 8,2 proc. W 2015 r. przemysł stanowił 26,3 proc. PKB Polski, 25,9 proc. PKB Niemiec i tylko 14,1 proc. PKB Francji, 18,8 proc. PKB Włoch i 18 proc. PKB Hiszpanii.

Są inne dziedziny, w których za pośrednictwem mechanizmu wzmocnionej współpracy mogłoby powstać „twarde jądro” Unii. Jednak znalezienie

i potencjał nabywczy w przypadku wspólnych zakupów Francji i Niemiec będą i tak nie większe niż możliwości i potencjał jednego tylko z tych dwóch krajów 20 lat temu. Od czasu upadku Związku Radzieckiego mówi się we Francji o wspólnej europejskiej obronie jako o recepcie na problemy wywołane ciągłym niedoinwestowaniem w obronę narodową. Pamiętajmy też, że nawet jeśli Warszawa nie zdecyduje się być w „twardym jądrze” w tej akurat dziedzinie, to postanowienia o wzmocnionej współpracy zawarte w Traktacie o Unii Europejskiej jasno stanowią, że ta współpraca będzie musiała w przyszłości pozostać otwarta na wszystkie kraje Unii, które chciałyby się do niej przyłączyć. Tak stanowi art. 20 ust. 1 ww. traktatu: „Celem wzmocnionej współpracy jest sprzyjanie realizacji celów Unii, ochrona jej interesów oraz wzmocnienie procesu jej integracji. Współpraca taka otwarta jest dla wszystkich Państw Członkowskich w dowolnym czasie, zgodnie z artykułem 328 Traktatu o funkcjonowaniu Unii Europejskiej.” A art. 326–328 Traktatu o funkcjonowaniu UE precyzują, że wzmocniona współpraca nie może naruszać traktatów i prawa Unii ani naruszać „kompetencji, praw i obowiązków Państw Członkowskich, które w niej nie uczestniczą” oraz że „Państwa Członkowskie mogą przystąpić do współpracy także w dowolnym innym momencie”. Szczegółowe postanowienia dotyczące stałej współpracy strukturalnej w sferze wojaskowej (Protokół X do Traktatu o Unii Europejskiej) zastrzegają dodatkowo, że „wspólna polityka bezpieczeństwa i obrony Unii szanuje wynikające z Traktatu Północnoatlantyckiego zobowiązania tych Państw Członkowskich, które uważają, że ich wspólna obrona jest wykonywana w ramach Organizacji Traktatu Północnoatlantyckiego” oraz że „jest zgodna ze wspólną polityką bezpieczeństwa i obrony przyjętą w ramach tej organizacji”.

Zatem opowieści o tym, jak to po wyborze Macrona od razu powstanie „twarde jądro” ściślej zintegrowanych krajów Unii, z których Polska i niektóre inne państwa członkowskie mogłyby zostać trwale wykluczone – bez głębokiej zmiany albo jaskrawego naruszania obowiązujących traktatów UE – można między bajki włożyć.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Trudno mówić o szkodzie, jeśli powstanie np. „twarde jądro” w dziedzinie polityki azylowej, a Polska pozostanie „na parkingu”

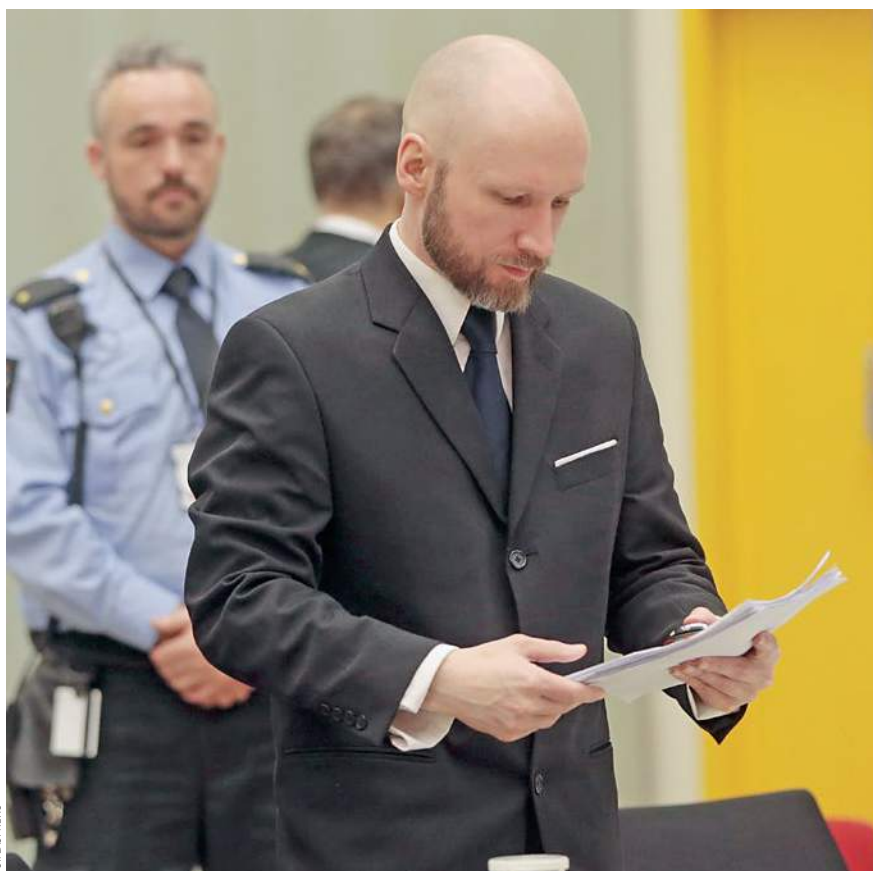
handlu zagranicznego (48,1 mld euro w 2016 r. po 45,7 mld euro w 2015 r.), utrzymujące się wysokie bezrobocie, powiększające się obszary biedy itd. Na ile to wina wprowadzenia wspólnej waluty europejskiej, zdania są podzielone, ale podczas gdy udział produkcji przemysłowej w PKB utrzymuje się w Niemczech, spada we Francji, Włoszech i w Hiszpanii (w latach 1995–2015 zanotowano według danych Eurostatu 26,6-procentowy spadek udziału produkcji przemysłowej w PKB we Francji, 21,3-procentowy spadek we Włoszech i 15,9-procentowy spadek w Hiszpanii).

NIEMIECKIE PROFITY

Na konferencji Europejskiego Chrześcijańskiego Ruchu Politycznego (ECPM), zorganizowanej 24 maja w polskim Sejmie przez Prawicę Rzeczypospolitej europosła Marka Jurka, brytyjski ekonomista dr Michael Schluter, były konsultant Banku Światowego, wycenił transfer bogactwa z krajów południa strefy euro do tych z północy – dzięki wprowadzeniu wspólnej waluty – na 160 mld euro rocznie! Niemcy są głównym beneficjentem waluty

się w nim nie jest przecież celem samym w sobie. Trudno mówić o szkodzie dla Polski, jeśli powstanie np. „twarde jądro” w dziedzinie polityki azylowej, a Polska pozostanie „na parkingu”. Lepiej nie być w grupie krajów, które w imię złe pojętych praw człowieka czy z jakichś innych nie do końca jasnych powodów nie chcą zrobić tego, co trzeba, aby zatrzymać nielegalną imigrację i zapewnić bezpieczeństwo własnym obywatelom.

A co z zapowiadaną od dawna wzmocnioną współpracą niektórych krajów Unii w dziedzinie obronności? To w tej sferze mogłaby powstać Europa kilku prędkości z ewentualną szkodą dla Polski, jeśli – zgodnie z tym, co pisał 24 maja niemiecki portal Deutsche Welle – „Unia Europejska chce mocno przyspieszyć w sprawie zacieśniania współpracy obronnej, a Polska wcale się do tego nie pali”. Polska może się do tego nie palić, podobnie jak od zawsze dystans zachowywali Brytyjczycy, którzy nie chcieli takiej współpracy obronnej krajów europejskich, która mogłaby osłabić rolę NATO. Możliwości ewentualnych wspólnych struktur



FOT. EAST NEWS

WSZYSTKIE ŻAŁE BREIVIKA

Sąd Najwyższy w Norwegii zdecydował, że nie będzie rozpatrywał odwołania Andersa Breivika od wyroku sądu niższej instancji. Prawicowy ekstremista, który w 2011 r. zabił 77 osób, odsiaduje wyrok 21 lat więzienia i wciąż skarży się na realia izolacji. Breivik uważa, że warunki, w których odbywa karę, są „niehumanitarne”. A siedzi w celi złożonej z trzech pomieszczeń, może oglądać telewizję i grać w gry wideo. Ma też zapewnione ćwiczenia fizyczne. Morderca poskarżył się jednak sądowi, że jest izolowany od innych więźniów oraz że kontrola jego korespondencji to brak poszanowania dla jego życia prywatnego. Nie podoba mu się również jakość więziennego jedzenia oraz to, że musi posługiwać się plastikowymi sztućcami. Domagał się również zgody na przyjmowanie gości, ponieważ – jak argumentował – chciałby założyć rodzinę. I choć norweski Sąd Najwyższy nie rozpatrzył nawet skargi Breivika, to jego adwokat nie traci rezonu. Już zapowiedział, że w imieniu klienta odwoła się teraz do Europejskiego Trybunału Praw Człowieka w Strasburgu.

IMIGRACJA „NA OJCOSTWO”

Niemcy zapraszają imigrantów i nie kontrolują ich na granicach, ale za to będą ścigać tych, którzy wysilają się na większy podstęp. Tamtejsze MSW zamierza zaostrzyć prawo związane z uznawaniem ojcostwa przez Niemców. Szacują bowiem, że w ten sposób wiele cudzoziemców wyłudza prawo do pobytu. Zdaniem niemieckich urzędników w ten sposób rocznie trafia w niepowołane ręce ok. 5 tys. niemieckich paszportów. Niektórzy mężczyźni w krótkim czasie przyznawali się nawet do 10 dzieci. To często bezrobotni, więc alimenty tym kobietom wypłaca potem państwo.

ŚWIATŁA RÓWNOŚCI

Pod koniec czerwca w Madrycie odbędzie się festiwal World Pride, który oficjalnie wspiera lewicowa administracja burmistrz Manueli Carmeny. Z powodu tej imprezy władze hiszpańskiego miasta wydadzą sporo pieniędzy (blisko 28 tys. euro) m.in. na zainstalowanie okazjonalnych światła na przejściach dla pieszych.

Zamiast zwykłego zielonego lub czerwonego ludzika pieszym wyświetlać się będzie para tej samej płci trzymająca się za rękę (ewentualnie serduszko). W ten sposób oznakowane mają zostać 72 przejścia w Madrycie. A urzędnicy zastanawiają się także, czy na czas festiwalu nie zastąpić też tymczasowo zwykłych przejść dla pieszych tęczowymi malunkami. Podobno wszystko się zwróci, bo do miasta na festiwal ma przyjechać 2 mln turystów. Zyski miasta z imprezy mają wynieść 300 mln euro.

BŁOGOSŁAWIĄCY ROBOT

W kościele w Wittenberdze ustawiono robota nazwanego „BlessU-2”. Mniejsze zdziwienie budzi fakt, że choć stanął w Niemczech, to nazwę ma angielską. Większym zaskoczeniem jest to, że maszyna błogosławi wiernym – potrafi to zrobić w pięciu językach (niemieckim, polskim, angielskim, hiszpańskim i francuskim). W dodatku wierny może sobie też wybrać, jakim sztucznym głosem chce być sztucznie pobłogosławiony: męskim czy kobiecym. Maszyna w kościele wzbudziła u wiernych mieszane

uczucia. Rzecznik kościoła tłumaczył mediom, że ten element wystawy z okazji 500. rocznicy reformacji to tylko pewien zabieg, który ma doprowadzić do dyskusji o przyszłości Kościoła.

STRACH PRZED GWAŁCICIELKAMI

Jak doniósł portal Africanews.com, błąd strach padł na ciemnoskórych mężczyzn w Zimbabwie. W stolicy kraju miało dojść do dwóch seksualnych napadów na mężczyzn. Pierwszą ofiarą był kierowca autobusu. 37-latek miał zostać terroryzowany bronią przez dwie kobiety, które kazały mu wjechać w krzaki. Tam mężczyzna został zmuszony do uprawiania seksu z jedną z napastniczek, a potem do wypicia mikstury, po której stracił przytomność. Zupełnie odwrotny przebieg miała druga napaść. W jej trakcie grupa kobiet zaproponowała mieszkańcowi Harare podwiezienie samochodem. W aucie dały mu do wypicia jakiś napój, po którym stracił przytomność. A kiedy się obudził, stwierdził, że został seksualnie wykorzystany.

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ ŁUKASZ ZBORALSKI



Jacek Przybylski

Premier Theresa May powtórzyła fatalny błąd Davida Camerona. Przedterminowe wybory zamiast wzmocnić jej pozycję, skończyły się katastrofą. Partia Konserwatywna straciła bezwzględną większość w parlamencie. May zostaje. Na razie

Wysoka i modnie ubrana już jako studentka deklarowała, że chciałaby zostać pierwszą kobietą na czele brytyjskiego rządu. I chociaż ambitne plany pokrzyżowała jej Margaret Thatcher, to Theresa May i tak zapisała się na kartach historii jako druga kobieta rządząca Wielką Brytanią. May została nią jednak poniekąd przez przypadek. Po politycznym trzęsieniu ziemi wywołanym przegranym referendum w sprawie brexitu w lipcu 2016 r. May okazała się jedyną osobą w najsłabszej od lat Partii Konserwatywnej, która była zdolna i chętna do błyskawicznego przejęcia sterów po Davidzie Cameronie. Eurosceptyczka, która jednak przed referendum opowiadała się za tym, aby jej kraj pozostał członkiem UE, przeprowadzając się na Downing Street 10, obiecała sprawnie przeprowadzić rozwód z Brukselą.

Czwartkowe wybory pokazały, że Thatcher i May różni bardzo wiele. Ta pierwsza została premierem po wygranej kampanii. Ta druga zbyt szybko uwierzyła, że jest nowym wcieleniem żelaznej damy. Ich cechą wspólną miał być wyjątkowo stanowczy charakter. May określana jest bowiem jako silna, odważna, twarda, zdecydowana, bezwzględna i nieustępliwa. Sama siebie również lubi przedstawiać jako „piekielnie trudną kobietę”, dumna z określenia, którego użył najpierw jeden z jej partyjnych kolegów. Jeszcze jako szefowa resortu spraw wewnętrznych May potrafiła więc publicznie mieszać z błotem za korupcję czy brak kompetencji najwyższych rangą oficerów policji.

Przed czwartkowymi wyborami w Wielkiej Brytanii jednym z najbardziej popularnych przebojów na Wyspach była jednak piosenka Captain SKA zatytułowana „Liar, Liar” („Kłamczucha, kłamczu-

May to nie Thatcher





FOT. GETTY IMAGES

cha”) – protest song przeciwko szefowej rządu, która okazała się o wiele słabszym premierem, niż w trudnych czasach oczekiwało wielu jej rodaków. Znany twórca street artu występujący pod ps. Banksy chciał zaś podarować kopie swojej grafiki „Dziewczynka z balonem” każdemu, kto odda głos przeciw konserwatystom – wycofał się z tego pomysłu dopiero, gdy policja przypomniła mu, że oferowanie czegokolwiek w zamian za oddany głos to przestępstwo.

I bez dodatkowych nagród brytyjscy wyborcy, zwłaszcza najmłodsi z nich, zapragnęli jednak zemsty na szefowej torysów, która przez ostatnie tygodnie prowadziła fatalną kampanię wyborczą. Sztywna niczym robot, bez emocji powtarzała wciąż frazesy o „stabilności” i „mocnym przywództwie”. O „stabilności” mówiła też po ogłoszeniu dramatycznie złych dla konserwatystów wyników wyborów, gdy jej kariera polityczna zawisała na włosku, bo publicznie słychać już było głosy wzywające szefową rządu do rychłej dymisji. Torysi mają powody do wściekłości. – Nie strzeliliśmy sobie w stopę, strzeliliśmy sobie w głowę – ten komentarz konserwatywnego parlamentarzysty Nigela Evansa świetnie oddaje partyjne nastroje.

Przy bardzo wysokiej, wynoszącej aż 69 proc. frekwencji rządząca Partia Konserwatywna zdobyła bowiem zaledwie 319 z 650 miejsc, tracąc 13 miejsc i bezwzględną większość w parlamencie. Opozycyjna Partia Pracy niespodziewanie wprowadzi do parlamentu aż 261 deputowanych, o 29 więcej niż w wyborach w roku 2015. Szkocka Partia Narodowa zdobyła 35 mandatów, Liberalni Demokraci – 12, a Demokratyczna Partia Unionistyczna – 10.

Gdy zamykaliśmy to wydanie „Do Rzeczy”, premier Theresa May ogłosiła, że Partia Konserwatywna sformuje mniejszościowy rząd, licząc na wsparcie deputowanych z Demokratycznej Partii Unionistycznej.

BRYTYJSKA MERKEL?

Przed ogłoszeniem wyników czwartkowych wyborów 60-letnia szefowa rządu w Londynie była wielokrotnie porównywana nie tylko do Margaret Thatcher, lecz także do Angeli Merkel. Podobnie jak niemiecka kanclerz Angela Merkel Theresa Mary May, z domu Brasier, jest córką pastora. Podobnie jak szefowa niemieckiego rządu dorastała

w środowisku, w którym dużo mówiło się o pomocy innym. – Służba publiczna jest częścią mnie tak długo, jak długo pamiętam – opowiadała, walcząc o przywództwo w Partii Konserwatywnej, podkreślając, że jest nie tylko córką pastora, lecz także wnuczką brytyjskiego oficera.

W przeciwieństwie do Davida Camerona i wielu członków politycznych elit Wielkiej Brytanii mała Theresa nie chodziła do elitarnych szkół. Nie mogła też liczyć na wsparcie wpływowych rodziców. Pochodząca z nadmorskiego Eastbourne jedynaczka na kieszonkowe musiała zarobić, pracując w soboty w lokalnej piekarni. Szybko straciła oboje rodziców: gdy miała zaledwie 25 lat, jej ojciec zginął w wypadku samochodowym, a wkrótce potem na stwardnienie rozsiane zmarła matka.

Po ukończeniu geografii na Uniwersytecie Oksfordzkim Theresa May przez dwie dekady pracowała w Banku Anglii. Polityką zajęła się pod koniec lat 80.: jako członkini rady londyńskiej dzielnicy Merton stała na czele komisji edukacji. Mimo dużych ambicji jej walka o miejsce w Izbie Gmin zakończyła się porażką zarówno w 1992 r., jak i dwa lata później. Upragniony mandat parlamentarny zdobyła dopiero w 1997 r., ale już w 2002 r. zapisała się w historii Partii Konserwatywnej jako pierwsza kobieta, która została wybrana na przewodniczącą tego ugrupowania.

W rządzie Davida Camerona udowodniła, że jest naprawdę twardym graczem. Przez sześć lat piastowała urząd szefa resortu spraw wewnętrznych – niezwykle trudne stanowisko, które pogrzebało polityczne ambicje wielu jej poprzedników. Tak długo na tym stołku nie wytrzymał nikt inny od 1892 r. Theresa May krótko sprawowała również urząd ministra ds. kobiet i równości. Jej polityczne przeciwniczki wytykały jej jednak m.in. to, że nigdy nie została matką. Jej partyjna koleżanka Andrea Leadsom, matka trojga dzieci (córką i dwaj synowie), wywołała nawet przed rokiem wielką medialną awanturę, stwierdzając, iż „bycie mamą oznacza, że ma się większy interes w dbaniu o przyszłość kraju”. Ostatecznie May – która potomków nie ma z powodów zdrowotnych – została pierwszym bezdzietnym premierem Wielkiej Brytanii od 1974 r., gdy urząd przy Downing Street 10 skończył piastować konserwatysta Edward Heath. Szefowa rządu w Lon-

dy nie żyje jednak samotnie. Od ponad 35 lat jest żoną bankiera Philipa Maya, którego poznała na trzecim roku studiów na dyskotekę konserwatystów. Przyszłych małżonków przedstawiła sobie ponoć wówczas przyszła premier Pakistanu Benazir Bhutto. Para wzięła ślub cztery lata później, w 1980 r.

Męska część partyjnych elit długo uważała May za zbyt popularną, by ją zdegradować, i zbyt niebezpieczną, aby ją promować. To właśnie z tego powodu, gdy po odejściu Williama Hague'a zwolnił się fotel szefa brytyjskiej dyplomacji, Cameron nie chciał awansować na to stanowisko May. „Tępa, nudna, ambitna” – tak przed trzema laty swoją koleżankę z rządu miał podsumować podczas rozmowy z „Financial Times” jeden z członków gabinetu Davida Camerona. Uważana za niezwykle pracowitą May unikała bowiem towarzyskich klik, nie chodziła do barów w pobliżu parlamentu, a podczas lunchów nie plotkowała o innych politykach.

Zresztą nawet o swoim życiu prywatnym Theresa May opowiada bardzo niechętnie. Z nielicznych fragmentów wywiadów dotyczących osobistej sfery brytyjskiej premier wiadomo, że uwielbia gotować – ma w domu ponad 100 różnych książek kucharskich. W wolnym czasie czyta magazyn „Vogue” i słucha utworów Mozarta i Elgara, choć lubi także przeboje szwedzkiej Abby.

Chętnie jeździ również na wycieczki rowerowe, chodzi na długie spacery i... na zakupy. Ekstrawaganckim elementem jej stroju są buty na niskim obcasie w kocie cętki. Brytyjska premier ma ich całą kolekcję. Ponoć gdy w 2002 r. wzywała torysów do przeprowadzenia wewnątrzpartyjnych reform, określając Partię Konserwatywną mianem „wstrętnej partii”, miała na sobie leopardzie szpilki. May nie ukrywa również, że jest praktykującą anglikanką. – Wiara jest częścią mnie. Jest częścią tego, kim jestem i jak podchodzę do różnych rzeczy – podkreśla. Swego małżonka brytyjska premier określa zaś mianem tradycyjnego romantyka, który nigdy nie zapomina o ważnych rocznicach i uwielbia kupować jej kwiaty.

NIEBEZPIECZNA GRA

Jako szefowa rządu Theresa May szybko poczuła się zbyt pewnie. I nie wyciągnęła wniosków z fatalnego błędu swego poprzednika Davida Camerona.

Ten ostatni pewny zwycięstwa ogłosił referendum w sprawie brexitu – nie spodziewał się bowiem, że większość jego rodaków może zagłosować przeciwko członkostwu w Unii Europejskiej. Mimo że pełna kadencja Izby Gmin kończyła się dopiero w roku 2020, premier May, chcąc zwiększyć przewagę torysów w parlamencie i tym samym umocnić swoją własną pozycję przed rozpoczęciem rozwodowych negocjacji z Unią Europejską, zaryzykowała i w połowie kwietnia rozpisła przedterminowe wybory.

Oczywiście, gdy podejmowała najważniejszą decyzję w całej swojej politycznej karierze, ryzyko nie wydawało się zbyt duże. Partia Konserwatywna miała w sondażach bezpieczną, wynoszącą 20 punktów procentowych przewagę nad opozycyjną Partią Pracy. Na wcześniejsze wybory nalegało więc wówczas wielu torysów, marzących o zdobyciu w parla-

Torysom zaszkodziła fatalna, okropna i nudna kampania wyborcza.

Los Theresy May wydaje się więc przesądzony

mentie większości rządu 100 lub nawet 150 głosów. Aroganckie podejście do polityki i pogarda dla wyborców udzieliły się więc ekipie samej Theresy May.

Oczywiście, brytyjska premier nie mogła przewidzieć, że podczas wyborów, które odbyły się 8 czerwca, będą obowiązywać nadzwyczajne środki bezpieczeństwa. W ciągu ostatnich trzech miesięcy krajem wstrząsnęły bowiem trzy krwawe zamachy terrorystyczne. Wielu Brytyjczyków było zaś wściekłych na szefową rządu za wprowadzone przez jej gabinet cięcia w policyjnym budżecie, co skwapliwie wykorzystali przedstawiciele Partii Pracy, głównego konkurenta konserwatystów w walce o miejsca w parlamencie. To niezwykła sytuacja: gdyby na fotelu premiera zasiadał teraz inny konserwatysta, zamachy najprawdopodobniej zwiększyłyby jego szanse i zmniejszyły poparcie dla „miękkich” lewicowców.

Jednocześnie wielu przeciwników opuszczenia UE przez Wielką Brytanię postanowiło potraktować przyspieszone

wybory jako powtórkę z referendum i osłabić torysów tak, aby uniemożliwić im tzw. twardy brexit. Brytyjcy negocjatorzy będą bowiem obecnie w o wiele trudniejszej sytuacji, niż mogliby być, gdyby Theresa May nie zdecydowała się na ryzykowny polityczny zakład.

Szefowej rządu w Londynie zaszkodziła również fatalna kampania wyborcza, która zamiast maskować, uwypuklała wady słabo wypadającej w mediach May. Szefowa rządu wygłosiła więc serię nudnych przemówień, podczas których brzmiała protekcyjnie, sztucznie i niewiarygodnie. Przewaga torysów topniała więc w błyskawicznym tempie. Mimo to Brytyjczycy pytani przed głosowaniem, kto byłby najlepszym premierem, najczęściej wskazywali właśnie na obecną szefową rządu (ok. 50 proc.). Jej główny konkurent – skrajnie lewicowy 68-letni Jeremy Corbyn, który niespodziewanie przeprowadził bardzo skuteczną kampanię wyborczą – byłby lepszym premierem w oczach 35–40 proc. ankietyowanych.

Przedterminowe wybory, które miały ułatwić rządowi w Londynie wykonanie wydanego wcześniej przez wyborców polecenia brexitu, mogą mocno skomplikować negocjacje rozwodowe z Unią Europejską, mające się rozpocząć już 19 czerwca. To właśnie rozmowy z Brukselą, a także strach przed możliwą przeprowadzką Corbyna na Downing Street 10 – który też otwarcie marzy o stworzeniu rządu mniejszościowego – mogą sprawić, że konserwatyści zgodzą się, by Theresa May jeszcze przez pewien czas pozostała premierem. Trudno się jednak spodziewać, aby osoba, przez którą torysi znaleźli się w takich tarapatach, mogła długo sprawować funkcję lidera Partii Konserwatywnej. Nieformalny wyścig o jej stanowisko już się rozpoczął.

I chociaż kwietniową decyzją o rozpisaniu przedterminowych wyborów May istotnie zmieniła kalendarz polityczny – zgodnie z planem kolejny raz Brytyjczycy powinni bowiem pójść do urn dopiero w 2022 r., a nie w roku 2020 – to może się okazać, że mieszkańcy Wysp czekają kolejne wcześniejsze wybory. Jedno jest pewne: w interesie Polski leży silna Wielka Brytania ze stanowczym liderem u jej steru. Po czwartkowych wyborach zamiast obiecywanej siły i stabilizacji Brytyjczycy przez co najmniej miesiące, jeśli nie lata, będą musieli zmierzyć się z jeszcze większą dawką chaosu i niepewności.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



TYLKO U NAS!

WYWIAD Z EGZEKUTOREM AK, UCZESTNIKIEM AKCJI PRZECIWKO KOPPEMU

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

HISTORIA
DO RZECZY



NAJCHĘTNIEJ CZYTANY
MIESIĘCZNIK HISTORYCZNY

Tomasz Konopka – **Badaniem szczątki Sikorskiego** / Piotr Zychowicz – **Co się stało z córką generała?** / Krzysztof Jasiewicz – **Sowiecki raj dla Żydów** / Eleanor Hancock – **Tajemnica nocy długich noży** / Sławomir Cenckiewicz – **Donosy Kiszczaka** / Marcin Bartnicki – **Polak, który chciał zabić Chruszczowa** / Mikołaj Iwanow – **Jak własowcy wyzwolili Pragę**

i wiele, wiele więcej

eprasa.pl 80fc8579fd

Katarski kryzys



Witold Repetowicz

Od kilku lat Katar skutecznie budował swoje imperium. Jednak liczne błędy doprowadziły do tego, że jego sąsiedzi zerwali z nim kontakty dyplomatyczne

Ojciec katarskiego emira Tamima, szejek Hamad, wprowadził swoje niewielkie, ale bajecznie bogate królestwo na niebezpieczny, choć do pewnego czasu skuteczny tor w polityce zagranicznej. Popierając ekstremistyczne organizacje muzułmańskie, Katar zaczął skutecznie rywalizować z Saudami o prymat w świecie politycznego islamu. Katar i Arabia Saudyjska wyrastają z tego samego salaficko-wahabickiego, ekstremistycznego nurtu w islamie. Katar w latach 60. rozpoczął flirt z innym nurtem islamistycznym – Bractwem Muzułmańskim.

BUDOWA IMPERIUM

Po 2011 r., gdy na fali tzw. arabskiej wiosny, w kolejnych krajach arabskich, tj. Tunezji, Libii, Egipcie czy Jemenie, władzę zaczęło przejmować Bractwo i współpracujące z nim organizacje powiązane z Al-Kaidą, wydawało się, że Katar oraz szejek Hamad są na dobrej drodze do stworzenia swoistego imperium katarskiego. Również w Syrii to Katar, a nie Arabia Saudyjska, która pogrążyła się w wojnie w Jemenie, zaczął uzyskiwać przewagę w kontroli nad tamtejszymi dżihadystami, współpracując w tym zakresie z Turcją. Ta polityka miała też wsparcie propagandowej maszyny w postaci telewizji Al-Dżazira, którą sprytny władca Kataru potrafił zamaskować pozorami obiektywnego medium.

Szejkowi Hamadowi sprzyjało też to, że USA pod słabym przywództwem Baracka Obamy i owładniętej obłądną ideą demokracji świata arabskiego Hillary Clinton popierały tę politykę Kataru, ignorując jej tło: wspieranie ekstremistycznych i terrorystycznych organizacji z Bractwem Muzułmańskim i Al-Kaidą na czele. Telewizja Al-Dżazira i zręczna polityka emira pozwoliły jednak stworzyć fałszywy obraz Kataru i jego działań. Katar wykorzystywał też dwa inne narzędzia do poszerzania swoich wpływów i tworzenia pozytywnego obrazu: kontraktów gazowych oraz działalności fundacji żony szejka Hamada i matki obecnego emira: Mozy bint Nasser. Wspieranie dżihadystów w Syrii nie przeszkadzało Katarowi utrzymywać dobrych relacji z Iranem, z którym to małym państwem łączą wspólne interesy, w tym 51 trylionów metrów sześciennych gazu we wspólnych złożach. To z kolei nie przeszkadzało Katarowi utrzymywać ograniczonych stosunków z Izraelem i przekazać 3 mln dol. na kampanię wyborczą obecnego premiera Izraela Beniamina Netanjahu w 2013 r.

W 2013 r. fortuna zaczęła się jednak odwracać od szejka Hamada, który nagle został zmuszony do abdykacji. Spodziewano się, że nowy emir Tamim ibn Hamad, będzie skuteczniej koordynował politykę ze swoim saudyjskim „starszym bratem”. Tak się jednak stało tylko w bardzo ogra-

niczonym wymiarze. Katar nieco stonował swoją politykę zagraniczną, ale jej nie zmienił, wchodząc na kurs kolizyjny z Saudami i Zjednoczonymi Emiratami Arabskimi. Dotyczyło to m.in. Egiptu, w którym nadal popierał Bractwo Muzułmańskie za przyzwoleniem USA i chronił szejka Karadawiego na swoim terytorium, a także w Libii, gdzie popierał dżihadystyczny rząd w Trypolisie, złożony z Bractwa Muzułmańskiego i Al-Kaidy, co również odbywało się za zgodą Obamy. W tym samym czasie Egipt i Emiraty zbrojnie wspierały konkurencyjny rząd w Tobruku, co oznaczało katarsko-emiracką/egipską wojnę zastępczą na terytorium Libii.

BŁĄD ZA BŁĘDEM

W czasie wyborów prezydenckich w USA katarska maszyna propagandowa, tj. Al-Dżazira i jej klony, prowadziły bezpartyjną kampanię przeciwko Trumpowi i na rzecz Hillary Clinton. Jednak zwyciężył Trump, co dla Kataru oznaczało katastrofę. Faktem jest, że zwycięstwa Clinton oczekiwali również Saudowie, którzy także są głównym eksporterem ekstremizmu salaficko-wahabickiego na świecie, a nawet wspierają organizacje związane z Bractwem Muzułmańskim. Jednak Saudowie wspierają Bractwo Muzułmańskie w Europie, natomiast w świecie arabskim preferują dyktatorskie reżimy w stylu gen. Sisiego.





Kryzys może zakończyć się abdykacją emira Tamima ibn Hamada
FOT. GETTY IMAGES

Wyjątkiem jest Jemen, co zakrawa na ironię, gdyż popierany przez międzynarodową koalicję sunnicką pod przywództwem Saudów i zdominowany przez Bractwo Muzułmańskie rząd Jemenu niezwłocznie przyłączył się do antykatarskich działań podjętych przez Saudów i Emiraty. Nic dziwnego, gdyż jego byt zależy od tych państw, a nie od Kataru. Saudowie wykazali się też wyjątkowym pragmatyzmem, kiedy kupili sobie przychyłność Trumpa, podpisując umowy z USA na rekordową sumę 400 mld dol. Katar tymczasem robił błąd za błędem, a w dodatku musiał uporać się z aferą związaną z pustynnym polowaniem.

W grudniu 2015 r. 27 katarskich dygnitarzy, w tym członkowie rodziny książęcej, wybrało się na polowanie na pustynię w opanowanej wówczas przez Państwo Islamskie irackiej prowincji Anbar. Już sam ten fakt dużo mówi o relacjach między Katarą a Państwem Islamskim. Uczestnicy polowania mieli jednak pecha, bo zamiast na wspieranych przez siebie dżihadystów natknęli się na szyitów ze ściśle powiązanej z Iranem irackiej milicji Kata'ib Hezbollah i zostali porwani. Po 16 miesiącach Katar kupił ich wolność w złożonej transakcji, w której 700 mln dol. zostało przekazanych Iranowi oraz Kata'ib Hezbollahowi, a 300 mln dol. – Al-Kaidzie w Syrii, która w zamian za to miała zwolnić

grupę szyickich jeńców (Irakijczyków i Irańczyków) oraz pozwolić na ewakuację ludności cywilnej z dwóch oblężonych enklaw szyickich w prowincji Idlib (Fua i Kafrija). Do transakcji doszło, ale dodatkowo rozsierdziła ona Emiraty oraz Saudów.

Szejk Tamim popełnił kolejne błędy. Zamiast starać się załagodzić spór z Saudami, a także pójść w ich ślady i opłacić sobie wsparcie USA, wreszcie zrozumieć, że w nowej sytuacji politycznej trzeba wycofać się ze wspierania Al-Kaidy i Bractwa Muzułmańskiego, postanowił iść na konfrontację ze swoimi „braćmi”. Gdy niedawno media powiązane z Emiratami ujawniły, że wpływowy szejk Saud bin Nasser al-Thani ostro skrytykował swego krewniaka emira Tamima i zapowiedział powołanie „partii opozycyjnej”, Katar zamiast skorzystać z „oferty mediacji”, tj. ultimatum, przeszedł do kontrataku. Ultimatum obejmowało zakaz działalności fundacji matki emira, zerwanie kontaktów z Iranem i jego sojusznikami, zmianę polityki propagandowej Al-Dżaziry, zaprzestanie wspierania organizacji terrorystycznych (czyli Al-Kaidy i Bractwa Muzułmańskiego) oraz koordynację polityki zagranicznej z Saudami i Emiratami (co oznacza m.in. zakończenie wspierania dżihadystów w Libii).

Emir Tamim odpowiedział jednak atakiem. Katarscy hakerzy włamali się na

konto e-mailowe ambasadora Zjednoczonych Emiratów Arabskich w USA i ujawnili korespondencję między nim a powiązanym z byłym wiceprezydentem USA Dickiem Cheneyem neokonserwatywnym think tankiem, oskarżając następnie Emiraty o konspiracyjne z Izraelem. Odpowiedź była błyskawiczna. Kilka godzin później Emiraty, Saudowie, Egipt i Bahrajn zerwały stosunki dyplomatyczne z Katarą i przystąpiły do blokady połączeń morskich, lądowych i powietrznych, a także nie wykluczyły interwencji militarnej. Do działań tych przyłączyły się Jemen oraz Malediwy. Do wstrzemięźliwości natomiast wezwwały Rosja i Iran.

WARUNEK POSŁUSZEŃSTWA

Nie ulega wątpliwości, że Katar tej rozgrywki nie wygra. Najbardziej prawdopodobne jest to, że kryzys nie potrwa długo i skończy się abdykacją emira oraz zastąpieniem go przez nowego władcę z tej samej rodziny, być może szejka Sauda bin Nassera. Jest bowiem mało prawdopodobne, by Saudowie oraz Emiraty zaufały emirowi Tamimowi, że teraz już będzie wobec nich posłuszny. A to właśnie jest warunek zażegnania kryzysu. Będzie to zaprzestanie wspierania Bractwa Muzułmańskiego i Al-Kaidy, a co za tym idzie – większe szanse na stabilizację w Libii. Dla Europy może to być korzystne, gdyż daje to szansę na dogadanie się ze wspieranym przez Emiraty i Egipt libijskim gen. Haftarem w sprawie zablokowania napływu migrantów z Afryki. O ile Europa będzie chciała się dogadać.

Jednak jeśli emir nie zechce dobrowolnie opuścić tronu, licząc na wsparcie ze strony Rosji i Iranu, to srodze się zawiedzie. Saudowie z Emiratami usuną go siłą, a USA nie kiwną w tej sprawie palcem, gdyż wiedzą, że nowy emir nie zmieni nic w sprawie relacji z USA. W katarskim Al-Udeid znajduje się bowiem największa amerykańska baza na Bliskim Wschodzie. Trudno więc też wyobrazić sobie, by w takiej sytuacji irańska lub rosyjska odsiecz dla emira była realna. Kryzys katarski nie wpłynie też na zobowiązania tego kraju wynikające z kontraktów gazowych, w tym zawartych z Polską. Nie o to w tym wszystkim chodzi, a nowy emir też będzie musiał z czegoś żyć.

Kryzys może przedłużyć natomiast zapowiedź „bratniej pomocy” ze strony Turcji. Saudowie, Emiraty i Trump nie odpuszczają, Katar będzie izolowany, a na jego partnerów będą wywierane naciski. Jednak Turcja również zapłaci za to swoją cenę.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Z Pawłem Surówką, prezesem Grupy PZU
rozmawia Edyta Hołdyńska

Będziemy inwestować w polskiego „żubra”

FOT. MICHAŁ WĄDRA, WHITESMOKE STUDIO/PZU

EDYTA HOŁDYŃSKA: Dobięła końca transakcja przejęcia części akcji Pekao SA przez PZU. Co się zmieni w banku, także dla klientów?

PAWEŁ SURÓWKA: Pekao SA będzie inwestować w polski rynek więcej niż do tej pory. Symboliczna, ale bardzo istotna, jest także kwestia dywidendy. Ta nie będzie już przelewana do Włoch, a zostanie w Polsce. Nie traktujemy jednak Pekao wyłącznie jako źródła dywidendy. PZU chce inwestować w Pekao. Przede wszystkim w nowe technologie. To bardzo duży podmiot o szerokiej skali działalności, z rozległą siecią dystrybucyjną i dobrymi relacjami z klientami. Jest to obszar do stworzenia wielu nowych rozwiązań w zakresie ubezpieczeń majątkowych, produktów oszczędnościowych czy polis na życie, np. dla małych i średnich firm rodzinnych. Myślę, że połączenie sił PZU i Pekao w znaczący sposób wpłynie na stabilność, ale też na finansowy rozwój polskiej gospodarki. I – co szczególnie istotne – zależy nam, by zmiany na lepsze dostrzegli sami klienci. Liczy-

my więc na efektywną współpracę z bankiem na poziomie oferty.

Dlaczego Pekao SA będzie przekazywało dywidendę państwu, kiedy wicepremier Mateusz Morawiecki zapowiedział już, że nie będzie potrzebował dywidendy od PKO BP?

To, że dywidenda z Pekao już w tym roku trafi w polskie ręce, było dla nas bardzo ważne, by sfinalizować jak najszybciej tę transakcję, zwłaszcza że dywidenda mogła trafić do Włoch. Teraz możemy potwierdzić, że pieniądze wpłyną do PZU.

A co z dywidendą PZU?

W przypadku dywidendy wypłacanej przez PZU uważam, że jeśli jest ona na gwarantowanym poziomie nie niższym niż 50 proc., to przy możliwości zachowania 20 proc. zysku na rozwój wewnętrzny oraz 30 proc. na potencjalne projekty i przejęcia sprawia, że inwestycja w PZU w dłuższym terminie będzie dla inwestorów bardziej rentowna, bo rozwój PZU oznacza, że w przyszło-

ści będziemy mogli wypłacać inwestorom coraz więcej.

Za bank najbardziej rozwinięty pod względem nowych technologii uznawany był dotąd, również przez pańskiego poprzednika Michała Krupńskiego i obecnego prezesa Polskiego Funduszu Rozwoju Pawła Borysa, ING Bank Śląski. Czy to znaczy, że również pan będzie się z nim ścigał?

Za najbardziej rozwinięty na polskim rynku bank pod względem technologicznym uważam raczej Alior, należący do PZU. Jest na innym poziomie technologicznym niż Bank Pekao, a to oznacza, że Pekao będzie się starało pod tym względem dogonić Aliora. Zresztą te banki różnią się także pod względem strategii. Alior jest bardzo silnie nastawiony na wzrost. Cały czas się rozwija, bo stosunkowo niedawno powstał, można powiedzieć od zera, i w dalszym ciągu szuka możliwości ekspansji. Przy jego zakupie zależało nam, by Alior mógł rosnąć i ze średniego banku stać się jednym z największych graczy. I cały czas konsekwentnie realizujemy ten cel. Bank

Pekao SA to instytucja już bardzo duża, to drugi pod względem wielkości bank w Polsce, co nie zmienia faktu, że jest także nastawiony na wzrost. Chcę wyraźnie zaznaczyć, że oba banki będziemy wspierać w rozwoju.

Obok radości z powrotu symbolicznego polskiego „żubra” do kraju pojawiają się jednak obawy, czy tak duża instytucja finansowa, którą stało się PZU przez przejście akcji Pekao SA, jest podmiotem zbyt skoncentrowanym i zależnym od państwa. Czy poradzi sobie w czasach kryzysu?

Jesteśmy największą instytucją finansową w Europie Środkowo-Wschodniej, ale to nie powód do obaw, wręcz przeciwnie. W kryzysie liczy się siła finansowa, którą my posiadamy. Polski sektor bankowy jest jeszcze bardzo rozdrobniony i w najbliższym czasie będziemy obserwować kolejne konsolidacje banków, nie tylko tych z udziałem sektora publicznego, lecz także prywatnego. Duże banki wchłaniają mniejsze i to jest naturalna kolej rzeczy. To dla nas dobra droga rozwoju. Choć w tej chwili jako PZU zaspokoiłoby nasz apetyt akwizycyjny, nie wyklucza to, że Alior i Pekao będą chciały dokonać przejęć. Na razie jednak nie znam takich planów.

Z drugiej strony PZU, które ma bardzo szeroką dystrybucję ubezpieczeń, zadaje sobie pytanie o jej kształt w przyszłości. Obserwujemy spadający wolumen klientów, którzy udają się do oddziałów. Z podobną sytuacją mamy do czynienia w bankowości, a powodem jest technologia. Coraz więcej czynności można wykonać zdalnie z domu bez wizyty w placówce bankowej i ubezpieczeniowej. Naturalną odpowiedzią na to jest profesjonalne doradztwo finansowe w zakresie bankowości i ubezpieczeń w oddziałach, czyli usługi, których klienci nie otrzymują przez Internet. To właśnie po przejściu przez PZU Banku Pekao jest naszą przewagą, bo klienci w jednym miejscu znajdą wiele usług finansowych w zakresie ochrony majątku, życia, zdrowia i inwestycji, które będą dla nich wsparciem na różnych etapach ich życia.

Już teraz mamy jednak dwa duże banki z udziałem Skarbu Państwa, czyli Pekao SA i PKO BP. Czy nie obawia się pan konkurencji na tym polu? Czy ewentualne faworyzowanie obu banków, albo tylko jednego z nich, na rynku nie będzie zbyt bolesne dla pozostałych?

To dwa różne banki nastawione na innych klientów, ale najważniejsze jest,

że mamy jeden wspólny cel. Wszystkim nam zależy, by polscy klienci indywidualni i przedsiębiorcy mieli dostęp do usług finansowych, np. kredytowania, w polskich instytucjach. I to umożliwiają banki z większością udziałów w Polsce. To bardzo istotne w czasie ewentualnego kryzysu. Po 2008 r., kiedy mieliśmy do czynienia z kryzysem finansowym na świecie, banki zagraniczne działające w Polsce dostosowywały swoją politykę do warunków kryzysowych ze szczególnym uwzględnieniem celów, które były realizowane poza granicami Polski. Tylko PKO BP był wówczas w polskich rękach i zapewniał warunki kredytowania dostosowane do realnej sytuacji w kraju, nie za naszymi granicami. Teraz, w przypadku Pekao SA, centrum decyzyjne jest w Warszawie.

Jak wygląda stan finansowy PZU Życie? Pytam także w kontekście planów odbudowy polskiego kapitału i planów na zachęcanie Polaków do oszczędzania indywidualnego, zawarte w Strategii Odpowiedzialnego Rozwoju. Polacy chcą odkładać na przyszłość?

To teraz dla nas ogromne wyzwanie. Właśnie banki i ubezpieczyciele powinni dążyć do tego, żeby zaoferować klientom możliwie szeroką paletę rozwiązań nie tylko w zakresie oszczędzania na emeryturę czy ubezpieczeń na życie, lecz także całłościowego doradztwa finansowego. Zaczyna się ono m.in. od pytań o wielkość i lokowanie oszczędności, zabezpieczenia przed różnego rodzaju ryzykiem, zabezpieczenie finansowe na starość, ochronę zdrowia etc. Po takiej rozmowie z klientem można zaproponować odpowiednie rozwiązania: bankowe i ubezpieczeniowe, które bardzo często będą ze sobą powiązane. Widzimy wyraźnie, że istnieje wiele potencjalnych synergii dwóch dużych instytucji. Zależy nam na zacieśnieniu współpracy PZU z Pekao i znalezieniu takich rozwiązań, które dadzą klientowi wiele atrakcyjnych produktów finansowych.

Jednym z większych zarzutów płynących od klientów w stronę PZU są podwyżki cen OC. Jak to wpłynęło na finanse i liczbę klientów w firmie? Odpłynęli w poszukiwaniu tańszych opcji?

Podwyżek nie dokonywaliśmy ze względu na nasze ustalenia wewnętrzne, ale na wymogi Komisji Nadzoru Finansowego. Nie wprowadziliśmy ich też na rynku jako pierwsi i to nie u nas były

one najwyższe. Zależało nam, by spełnić wymóg Komisji Nadzoru Finansowego zobowiązujący ubezpieczycieli do zapewnienia rentowności polis komunikacyjnych. Komisja nadal zwraca branży uwagę na problem, że cały rynek traci na tych produktach. Na to nakładają się rosnące wymagania regulacyjne dotyczące utrzymywania kapitałów na bezpiecznym poziomie, czyli takim, który w przypadku nawet dużych katastrof pozwoli na wypłatę wszystkich zobowiązań ubezpieczeniowych. W ostatnim roku obok konkurencyjnych cen pomogła nam także bardzo duża dyscyplina dotycząca kosztów własnych. Dlatego aż 800 tys. klientów zrezygnowało z dotychczasowego ubezpieczyciela i skorzystało z oferty PZU. Nadal jednak rosną roszczenia związane ze szkodami osobowymi, zadośćuczynienia, koszty leczenia i rehabilitacji osób po wypadkach. Wierzę jednak, że nie musimy wprowadzać podwyżek.

Jest pan zadowolony z wyników finansowych PZU? Przejął pan firmę od Michała Krupińskiego w dobrym stanie?

Nasze wyniki finansowe są obecnie bardzo dobre, dzięki realizacji strategii wprowadzonej ponad rok temu, kiedy PZU SA było kierowane przez Michała Krupińskiego, a ja byłem prezesem PZU Życie. Na to wszystko, co osiągnęła Grupa PZU w tym czasie, pracowaliśmy razem. Współtworzyłem strategię Grupy i dlatego chcę ją kontynuować. Uważam, że nie ma konieczności wprowadzania teraz zmian. Będziemy realizować cele, jakie sobie wyznaczaliśmy.

Co planuje PZU na najbliższy czas poza zaplanowaną już wcześniej strategią?

Najprawdopodobniej w drugiej połowie roku dokonamy aktualizacji strategii, która uwzględni w naszych projektach rolę Pekao SA. Nie mogliśmy tego wcześniej wziąć pod uwagę, bo nie mieliśmy pewności, czy transakcja nabycia akcji dojdzie do skutku. Teraz w Grupie PZU jest Pekao i to powoduje, że będziemy nasze plany aktualizować. Wkrótce o nich poinformujemy.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Paweł Surówka jest absolwentem Université Paris 1 Panthéon Sorbonne oraz École des Hautes Études en Sciences Sociales (EHESS). Podstawowe studia odbył na Ludwig-Maximilians-Universität (LMU) w Monachium. W latach 2007–2013 zajmował stanowisko doradcy finansowego w Bank of America Merrill Lynch. W czerwcu 2016 r. został prezesem PZU Życie. Od kwietnia 2017 r. jest prezesem Grupy PZU SA.

Rząd PiS lubi stawiać sobie epokowe cele. A przynajmniej o nich informować. Mamy mieć centralny port lotniczy, uregulowane rzeki, którymi transportować będziemy towary, i elektryczny polski samochód. O ile do każdego z tych pomysłów można było mieć mniejsze lub większe zastrzeżenia, a koncepcja polskiego auta elektrycznego już zaczyna wyglądać jak autokarykatura, o tyle rząd miał jeszcze jeden wielki cel, bardziej realny – rozwinięcie polskich firm kolejowych do gigantów, którzy nie tylko będą dominować na rodzimym rynku, lecz także zbudują pozycję na rynkach zagranicznych.

Wygląda jednak na to, że nie tylko nie rozwinie przemysłu kolejowego ani nie wykorzystamy ogromnego potencjału polskich firm, lecz także nie zdołamy wyrwać ich z kłopotów, które je trapią.

ROZWÓJ W TEORII

W ogłoszonym przez wicepremiera Mateusza Morawieckiego w lutym Planie na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju znalazł się program „Luxtorpeda 2.0”. Ministerstwo Rozwoju zaplanowało (i ślusznie), że będzie wspierać te branże, w których Polska może uzyskać na rynkach konkurencyjną przewagę – wzięło więc na cel przemysł kolejowy, w którym polskie firmy już nieźle sobie radzą i mają spory potencjał. Plan zakładał, że wykorzystując czas rozbudowy kolei aglomeracyjnych, linii tramwajowych oraz pieniądze UE na projekty zakupu taborów, nie tylko zapewni się Polakom szyny i nowe pojazdy, lecz także jednocześnie zbuduje się potęgę polskich firm kolejowych.

Jak tego dokonać? Inwestując w badania i rozwój, które pomogą stworzyć nowe typy pojazdów, oraz po prostu dając rodzimym dostawcom zarobić przede wszystkim na własnym rynku.

Takiemu podejściu można było tylko przyklasnąć. Było czymś zupełnie odmiennym od praktyki poprzedniego rządu. PO i PSL wydały np. miliardy złotych na budowę dróg, nie budując jednocześnie potęgi rodzimych firm – te faktycznie wykonywały prace jako podwykonawcy zagranicznych gigantów i często jeszcze nie dostawały zapłaty. Na kolei było lepiej, ale tylko trochę. W samym zamyśle kolei dużych prędkości oddawaliśmy pole obcym firmom (zakup Pendolino). Rodzimy zakładom z Bydgoszczy dano szansę na stworzenie nowoczesnych pociągów, ale niemiłosiernie przecięgano przetarg

i choć Pesa zaprojektowała i wykonała pociąg cztery razy szybciej, niż robi się to na świecie, przekroczyła termin dostaw i została obciążona karami.

Teraz – jak wynikało z planu Morawieckiego – nowosądecki Newag, bydgoska Pesa i wielkopolski Solaris miały dzięki programowi rozwojowemu rozwinąć skrzydła.

Jednak najpierw muszą mieć szansę przetrwać trudny czas. Nie jest tajemnicą, że firmy z niecierpliwością czekały na krajowe zamówienia, tocząc bratobójczą walkę. Newag jeszcze w ubiegłym roku musiał zamknąć swój zakład w Gliwicach i przenieść produkcję lokomotyw do Nowego Sącza. Zwolnienia grupowe objęły większość pracowników gliwickiego oddziału. Pesa postanowiła utrzymać zatrudnienie, ale tylko dlatego, że zakład liczył na to, iż PKP InterCity wykorzystają zapisaną w umowie na pociągi Dart możliwość ogłoszenia zamówienia uzupełniającego. Dzięki niemu do 20 poprzednich składów można było jeszcze zakupić kolejnych 10 pociągów.

Kolejowa spółka miesiącami nie podejmowała decyzji. W tym czasie ktoś próbował torpedować ten zakup – akurat

wówczas do mediów trafiały np. informacje o wysokiej awaryjności bydgoskiego pociągu (niedługo później zakład udowodnił, że po usunięciu usterek wieku dziecięcego pociągi Dart mają sprawność na poziomie 97 proc.). Trzyletni okres, w którym PKP InterCity mogły dokonać zakupu, upłynął 23 maja. Zarząd kolejowej spółki ogłosił wówczas, że większej liczby dartów nie kupi. Uzasadnienie było dość niezwykle. Chociaż spółka miała możliwość dokupienia pociągów zapisaną w umowie, argumentowała, że to... mogłoby być niezgodne z unijnym prawem. „Prawo zamówień publicznych oraz prawo unijne wymagają w tym zakresie spełnienia określonych przesłanek. Te, w naszej ocenie, nie zostały zachowane” – napisano w oświadczeniu.

Takie rozwiązanie było podwójnym ciosem. Uderzyło w jedynego samodzielnego w kraju producenta pociągów. Warto bowiem pamiętać, że Newag zwykle startuje w przetargach ze szwajcarskim Stadlerem. A całkiem niedawno Solaris ze Stadlerem utworzyły spółkę Solaris Tram, która będzie się zajmować produkcją tramwajów – co może być

Luxtorpeda



Lukasz Zboralski

Albo plan uczynienia z Polski giganta w produkcji pociągów był tylko buńczucznym hasłem, albo ktoś poświęcił go w politycznej wojnie na osłabianie Mateusza Morawieckiego



też pierwszym krokiem do późniejszej produkcji pojazdów kolejowych.

Z nieoficjalnych informacji, do których dotarło „Do Rzeczy”, wynika, że bydgoska firma szuka już inwestora, by pozyskać środki na bieżącą produkcję. To może oznaczać, że za chwilę to też nie będzie już całkowicie polska firma.

Jest to zarazem cios w kolejowy plan Morawieckiego. Jednak brak wsparcia dla bydgoskich zakładów tylko lekko kwestionował sensowność programu „Luxtorpeda 2.0”, ale już ogłoszona przez PKP InterCity strategia taborowa właściwie go rujnuje. Przedsiębiorstwa dostają wprawdzie granty z Narodowego Centrum Badań i Rozwoju na zaprojektowanie i wdrożenie nowych rozwiązań taborowych (powstanie np. dwunapędowa elektryczno-spalinowa lokomotywa i PKP InterCity ma już jesienią podpisać umowę na jej zakup). Przewozy Regionalne chcą też kupić nowe składy. Jednak PKP InterCity w tej perspektywie stawiają na remonty starych wagonów. W oświadczeniu o rezygnacji z zakupu kolejnych pociągów Pesa kolejowa spółka zaznaczyła, że „dominujący rodzaj taboru, wykorzystywany przez PKP InterCity, to

składy zestawione z lokomotywy i wagonów, obsługujące kategorię TLK. Dla zagwarantowania ciągłości systemu utrzymania i zabezpieczenia wymaganej dostępności przewoźnik skupia obecnie swoje działania na modernizacji wagonów”.

PKP InterCity chcą wydać 2 mld zł na modernizację starych składów i ok. 860 mln zł na zakup nowych wagonów i lokomotyw. To nie tylko trend inny od zachodniej Europy (ETZ – czyli elektryczne zespoły trakcyjne – zastąpiły już prawie wszystkie składy z lokomotywami wykorzystywane w przewozach lokalnych we Francji, w Hiszpanii i Wielkiej Brytanii – a przecież w Europie mają konkurować polskie firmy), lecz także w dłuższej – 30-letniej – perspektywie mniej opłacalne posunięcie. Nowy ETZ kosztuje niewiele ponad 40 mln zł i po 15 latach musiałby zostać poddany naprawie modernizacyjnej oraz przeglądowi. A modernizację starych wagonów w tym czasie trzeba by przeprowadzić dwa razy, wydając blisko 70 mln zł.

Czy w ten sposób można zbudować innowacyjność kolei? I czy można przekonać więcej pasażerów, zapraszając ich na dekadę do odnowionych starych wagonów?

Być może plan Morawieckiego wali się z politycznego powodu. Wskazywać może na to chwiejność zapowiedzi władz PKP.

POLITYCZNY HAMULEC?

W maju zarzekano się, że zakupów nowych ETZ nie będzie. A kilka dni temu prezes PKP SA Krzysztof Mamiński obwieścił, że warta 2,5 mld zł strategia PKP InterCity została zmodernizowana: ma być duże zamówienie na kilkadziesiąt elektrycznych zespołów trakcyjnych. Chociaż Mamiński formalnie podlega Ministerstwu Infrastruktury i Budownictwa, to kojarzony jest raczej z ministrem rozwoju. Wygląda więc na to, że kolejarze próbują wpisać się w plany rozwojowe, ale odgórnie są one zatrzymywane.

Wygląda też na to, że Ministerstwo Rozwoju, które ma niebawem pokazać finansowy plan „Luxtorpeda 2.0”, nie bardzo kontroluje to, co dzieje się w kolejach podlegających resortowi infrastruktury. Gdy zapytaliśmy, jak rezygnacja z zakupu dartów i potencjalna wyprzedaż części polskiej firmy może wpłynąć na plan rozwoju, departament komunikacji odpisał nam zdawkowo: „Prowadzone są prace analityczno-koncepcyjne dotyczące potrzeb modernizacyjnych i zakupowych taboru oraz uzgodnienia z przewoźnikami kolejowymi dotyczące ich planów w tym zakresie”.

Poświęcanie programu kolejowego w ramach politycznej wojny prowadzonej przeciwko Mateuszowi Morawieckiemu byłoby chyba nawet gorsze niż ujawnienie, że plan „Luxtorpeda 2.0” był tylko zbiorem pobożnych życzeń mającym zapewnić rządowi jedynie dobry PR.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Projekt „Luxtorpeda 2.0” wzięł nazwę od przedwojennego polskiego pociągu. Na zdjęciu obok obecnej nowoczesnej polskiej konstrukcji – pociągu Dart. FOT. PESA, NAC/JAN

na bocznicę



TEST „DO RZECZY”: ARCHOS 55 DIAMOND SELFIE

Przyzwoita cena, elegancki wygląd oraz 4 GB pamięci RAM – to największe zalety smartfona produkowanego przez francuską firmę Archos.

Testowany smartfon jak na tę półkę cenową prezentuje się zaskakująco dobrze. Tafla wzmocnionego szkła Dragontrail oraz metalowe ramki po bokach to elementy dominujące raczej wśród telefonów z segmentu premium.

Spory wyświetlacz IPS o przekątnej 5,5 cala i rozdzielczości Full HD (1920 x 1080) charakteryzuje się niezłym kontrastem, dobrymi kątami widzenia oraz wysoką maksymalną jasnością, co docenimy zwłaszcza w ostrym słońcu. Szkoda tylko, że głośniczek wydaje z siebie dźwięki marnej jakości – aby naprawdę móc cieszyć się oglądaniem filmu, a zwłaszcza teledysków, trzeba więc zabierać ze sobą słuchawki.

We wnętrzu testowanego gadżetu znajdują się ośmiordzeniowy procesor Snapdragon, 4 GB pamięci RAM oraz 64 GB pamięci wewnętrznej, którą można rozszerzyć za pomocą karty microSD. Dzięki takim bebechom smartfon nie ma więc problemów np. z otwieraniem aplikacji ani uruchamianiem kilku zadań jednocześnie, choć przy bardziej intensywnym korzystaniu z procesora urządzenie może mocno się nagrzać.

Archos 55 Diamond Selfie może obsługiwać dwie karty SIM (jednak tylko wtedy, gdy nie używamy w tym samym czasie karty microSD, bo na wsuwanej do wnętrza telefonu tace są tylko dwa miejsca: na nanoSIM i microSIM lub

nanoSIM i microSD). Po stronie plusów można też zapisać baterię o pojemności 3 tys. mAh, która wystarcza, aby telefon działał półtora dnia lub dwa dni na jednym ładowaniu.

Teoretycznie zaletą tego modelu smartfona jest też możliwość odblokowywania go za pomocą czytnika linii papilarnych. I co prawda ten ostatni niestety czasem działa, a czasami nie, ale jak na budżetowy telefon specyfikacja tego modelu Archosa i tak jest niezła – wprowadzane właśnie na rynek flagowce najdroższych marek mają bowiem właśnie 4 GB pamięci RAM i 64 GB pamięci na dane (choć wyposażone są oczywiście m.in. w lepsze wyświetlacze, precyzyjniejsze skanery linii papilarnych i robią ładniejsze zdjęcia). Poważną wadą jest jednak brak obsługi technologii NFC, która przydaje się m.in. do dokonywania telefonem płatności zbliżeniowych.

Jak sama nazwa wskazuje, Archos 55 Diamond Selfie wyróżnia przedni aparat fotograficzny. Miłośnicy selfie mają do dyspozycji 8-megapikselowy aparat. Smartfon w razie potrzeby podczas robienia zdjęcia potrafi też użyć wyświetlacza w charakterze lampy doświetlającej. Tylony aparat – 16-megapikselowy – w gorszych warunkach oświetleniowych jest już wspierany przez lampę błyskową. Jakość zdjęć z obu aparatów z pewnością nie zachwyci, jest jednak w miarę przyzwoita.

Wprawdzie testowany smartfon nie spełni oczekiwań najbardziej wymagających użytkow-



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

ników, może być jednak stosunkowo dobrym wyborem dla tych, którzy nie chcą wyrzucać 3 tys. zł na najmodniejsze flagowce i szukają po prostu ładnego, funkcjonalnego smartfona w granicach tysiąca złotych. Cena: 1060 zł. ©©

Jacek Przybylski

MAŁE NIE JEST PIĘKNE

Podobno historia kołem się toczy. Po modzie na małe telefony komórkowe przysła kolej na wielkie phablety, teraz zaś firma Unihertz próbuje odwrócić trend mocno przez nią reklamowanym miniaturowym telefonem Jelly. Czy jej się to uda? Twórcy Jelly – telefonu z ekranem o przekątnej 2,45 cala uzbrojonego w Androida 7.0 – cieszą się, że ich projekt robi furorę na Kickstarterze. Problem w tym, że oprócz miniaturowych rozmiarów 92,3 x 43 x 13,3 mm nie bardzo jest się czym zachwycić. Serce telefonu to zaledwie cztery rdzenie, do tego 1 GB pamięci operacyjnej i 8 GB wewnętrznej, a rozdzielczość ekranu to ledwie 432 x 240 pix. Smartfon może oczywiście wpaść w oko hipsterom różnej maści, przynajmniej do czasu, gdy nie będą musieli z niego skorzystać. Miłośników sprawnych, funkcjonalnych telefonów producenci Jelly raczej nie przekonają. Nie nadaje się on nawet na prezent dla dziecka, chyba że chcemy kilka godzin spędzić na tłumaczeniu zapłakanemu maluchowi, że nie, na tym telefonie nie da się grać, i nie, dobrych zdjęć też się zrobić nie da. Cena urządzenia co prawda jest niska – ok. 300 zł, ale będą to pieniądze wyrzucone w błoto.



A GDYBYM BYŁ CHIŃCZYKIEM...

Jeśli już padło parę zdań o kiepskim telefonie Jelly, którego producenci znaleźli sprytny sposób, by wyciągnąć parę złotych od naiwnych konsumentów, to warto też

wspomnieć o smartfonie, który może okazać się jednym z lepszych telefonów pierwszego półrocza 2017 r. To ZTE Nubia Z17 wyposażona w procesor Snapdragon 835 i technologię Quick Charge 4+, która sprawia, że bateria (3,2 tys. mAh) w aparacie w całości ładuje się w niecałą godzinę. Mało? Do tego dochodzi podwójny układ optyczny z matrycami 23 Mpix oraz 12 Mpix i 5,5-calowy ekran o rozdzielczości 1920 x 1080 pix. A także 8 GB RAM i – uwaga! – 128 GB pamięci wewnętrznej. To wszystko w wodoodpornej obudowie. Producenci przekonują też, że telefon będzie na pojedynczym ładowaniu pracował 48 godzin dzięki technologii NeoPower 3.0. Cena: od 1,5 tys. zł, do 2,1 tys. zł w zależności od ilości pamięci. Kwotę warto przeliczyć na juany, bo niestety na razie ten model Nubii będzie w sprzedaży tylko w Chinach. ©©

Wojciech Wybranowski





PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYCZAKIEM

Unijne bajki o solidarności

Bardzo lubię słuchać serwowanych nam przez niemieckich polityków bajek o „europejskiej solidarności”. Bajdurzą o niej chętnie – to fakt, nie oni jedni, bo przecież również wielu polityków francuskich oraz holenderskich, a i ich nominat Donald Tusk takż – gdy chcą się podzielić swymi kłopotami, często zresztą sprowadzonymi na własne głowy przez samych siebie. Ot, choćby gdy napominają wszystkich wokół, w tym od pewnego czasu ze szczególnym upodobaniem Bogu ducha winnych Polaków, że powinni oni – wyłącznie z racji owej „europejskiej solidarności”, rzecz oczywista – wziąć do siebie, a więc pod swój dach i na swe utrzymanie, tysiące ściągniętych przez nich do Europy imigrantów, którzy w dodatku za żadne skarby świata nie chcą jechać do Polski, bo przecież przyjechali do Europy nie po to, by zamieszkać nad Wisłą, lecz żeby urządzić się w Niemczech, we Francji, w Belgii albo któryms z państw Skandynawii.

Niemieccy (i inni) eurospece od eurosolidarności chętnie wywijają poręczną maczugą, jaką w ich rękach staje się „europejska solidarność”, także w innych sprawach. Wywijają, kiedy tylko jest to dla nich wygodne. Czyli często. Wywijają, gdy w biedniejszych krajach UE trzeba czym prędzej zlikwidować elektrownie na węgiel kamienny oraz brunatny i w ich miejscach zbudować wiatrowe lub atomowe, czego trudno dokonać bez kupienia wytwarzanych w ich krajach wiatraków i części do elek-

trów jądrowych. Wywijają, gdy chcą zmusić innych do ratowania przed bankructwem te państwa UE, które wpadły w tarapaty z powodu wprowadzenia eurowaluty w krajach o zbyt zróżnicowanym poziomie rozwoju gospodarczego. Wywijają zawsze, gdy chcą pogonić kota nowym członkiem Unii.

Natomiast gdy w kontekście tej samej „europejskiej solidarności” polscy politycy chcą porozmawiać z niemieckimi, francuskimi, holenderskimi czy austriackimi m.in. o Nord Stream (albo o dyskryminacji naszych firm transportowych), okazuje się, że akurat to z eurosolidarnością nie ma nic, ale to nic wspólnego. Albowiem Nord Stream (i – ma się rozumieć – także dyskryminacja naszych firm transportowych) to czysty biznes, w dodatku prowadzony przez całkowicie niezależne od rządów niemieckiego, francuskiego, holenderskiego i austriackiego koncerny.

A może – moi kochani eurosolidarni Niemcy, Francuzi, Holendrzy itd. – w ramach tak ukochanej przez Was „europejskiej solidarności” my weźmiemy od was trochę imigrantów, których bezmyślnie ściągnęliście do siebie, a Wy – w zamian – zamkniecie z rozmysłem przez Was zbudowany – wbrew naszym żywotnym interesom – Nord Stream? Oraz skończycie z dyskryminowaniem naszych firm i pracowników delegowanych? Czyli za jednym zamachem uporamy się z kilkoma sprowadzonymi przez Was na Europę nieszczęściami. Co Wy na to? ©©



KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Cyfrowo (nie)świadomi

Nowoczesne telewizory rejestrują rozmowy w pomieszczeniu, w którym się znajdują, wysyłając ich zapis do analizy na serwery producentów telewizorów. Nie wiadomo, jak producenci wykorzystują te dane i z kim się nimi dzielą.

Firmy wystawiające karty kredytowe wiedzą o nas bardzo dużo dzięki transakcjom, które przeprowadzamy, wykorzystując te karty. Jednak najwięcej wiedzą o nas firmy dostarczające aplikacje na telefony komórkowe, szczególnie Google i Facebook. Nasz telefon wie, gdzie jesteśmy w każdej

Niektórzy z nas są bardzo świadomi i np. pewne działania w sieci wykonują tylko z telefonu komórkowego, a inne, np. kontakt z bankiem, tylko z komputera, który jest odpowiednio zabezpieczony. Jednak nowoczesne technologie pozwalają określić, np. przez analizę tzw. adresu IP, że dany telefon i komputer należą do tej samej osoby. Istnieją wyspecjalizowane firmy, które zajmują się taką analizą.

Po co? Żeby zbudować jak najbardziej dokładny cyfrowy profil naszej osoby, aby jeszcze skuteczniej dobierać reklamy, które do nas trafiają. Albo żeby sprzedawać te dane z zyskiem. Oczywiście możemy zablokować reklamy, ale aplikacja, która to robi, zbiera o nas wszystkie dane z naszej przeglądarki. A jeżeli włączymy tryb prywatny w przeglądarce, to można nasz komputer zidentyfikować po danych przeglądarki, po nazwach i wersjach programów, które są uruchomione na komputerze, a nawet po danych sprzętowych naszego komputera lub telefonu.

Co jakiś czas pojawiają się informacje o wycieku danych osobowych, włączając dane o kartach kredytowych, co może mieć dramatyczne konsekwencje finansowe dla nieświadomych cyfrowo użytkowników Internetu.

Trwa dyskusja o programach nauczania w szkole. Bezpieczeństwo cyfrowe powinno być jednym z obowiązkowych przedmiotów. ©©

Nigdy nie czytamy warunków korzystania z serwisów internetowych

chwili dnia i nocy, oraz dzieli się tą informacją z wieloma serwisami, bez naszej wiedzy. Nie zdajemy sobie z tego sprawy, ale wszystkie dane, które umieścimy w większości sieci społecznościowych, stają się własnością tych sieci, a te mogą je wykorzystać do różnych celów. Nigdy nie czytamy warunków korzystania z serwisów internetowych. Przeprowadzono eksperyment, w którego warunkach zapisano, że użytkownik zgadza się oddać serwisowi swoje dziecko i zwierzęta domowe. Olbrzymi procent użytkowników zgodził się na ten wymóg!



Katarzyna Pinkosz

W Polsce jedna trzecia mężczyzn chorych na raka prostaty przegrywa walkę z nowotworem. Część z nich mogłaby żyć, gdyby były u nas dostępne nowoczesne terapie

Nie wygląda na 66 lat. Jest aktywny zawodowo, szczupły, ma wysportowaną sylwetkę – nic dziwnego, skoro często jeździ na rowerze, gimnastykuje się i co najmniej raz w tygodniu chodzi na spacer kilka kilometrów brzegiem morza. Nie wygląda też na osobę, która od 15 lat walczy z rakiem prostaty. P.S. prosi, by podpisać go tylko inicjałami.

Raka stwierdzono u niego przypadkiem. Zaniepokojony tym, że w niektórych sytuacjach ma problemy z oddawaniem moczu, poszedł na wizytę do urologa. Lekarz skierował go na badania krwi. Wyniki były tak złe, że następnego dnia znalazł się w szpitalu. Rak tak się rozrósł, że niedługo rozprzestrzeniłby się poza prostatę. Operację wykonano w ostatniej chwili.

MĘSKA PLAGA

Rak prostaty to obecnie drugi co do częstotliwości (po raku płuca) nowotwór złośliwy u mężczyzn. Rudyard Kipling (autor „Księgi dżungli”) napisał w liście do lekarza, który leczył jego prostatę, że to „coś” wymyślił Bóg pod wpływem wyjątkowo złego nastroju. – Gruczoł krokowy (stercz, prostata) to męski narząd płciowy, który najczęściej ulega chorobom. U młodych osób dominuje zapalenie stercza, u starszych łagodny rozrost stercza lub nowotwór. Rak prostaty przez wiele lat rozwija się bezobjawowo – wyjaśnia prof. Piotr Chłosta, prezes Polskiego Towarzystwa Urologicznego, kierownik Katedry i Kliniki Urologii UJ.

Takie objawy jak: częste oddawanie moczu, konieczność wstawania w nocy do łazienki, oddawanie moczu wąskim strumieniem to najczęściej objawy łagodnego rozrostu gruczołu krokowego. Mogą (choć nie muszą) występować też przy raku prostaty. Oczywiście w przypadku takich objawów konieczna jest wizyta u urologa. Po 45. roku życia powinien iść do urologa każdy mężczyzna, a ponadto wykonać badanie PSA – jego podwyższony wynik

Męski rak czeka na męską decyzję

FOT. FOTOLIA

może sugerować, że rozwija się rak prostaty. – Przez wiele lat ten nowotwór nie daje objawów, natomiast można go rozpoznać na podstawie względnie prostych badań – dodaje prof. Chłosta.

Nie ma dowodów, że da się zapobiec pojawieniu się raka prostaty czy zmniejszyć jego ryzyko. – Uważa się, że jest on wpisany w historię życia każdego mężczyzny, co potwierdza fakt, że im człowiek starszy, tym większe ryzyko jego wystąpienia – mówi dr med. Wojciech Rogowski, onkolog ze Szpitala Onkologicznego Magodent. Co roku w Polsce odnotowuje się ok. 16 tys. nowych przypadków zachorowania na ten typ nowotworu.

IM WCZEŚNIEJ, TYM LEPIEJ

Im wcześniej rak prostaty zostanie rozpoznany, tym większa szansa na wyleczenie. Kluczowe są szybka diagnoza i podjęcie nowoczesnego leczenia. W początkowych stadiach, gdy nie ma przerzutów, całkowicie usuwa się gruczoł krokowy. – W większości krajów Europy Zachodniej, ale też na Węgrzech, w Czechach i Rumunii, wykonuje się operację laparoskopowo. W Polsce niewiele klinik tak leczy. Jeszcze bardziej ubolewam, że nie ma powszechnej możliwości leczenia laparoskopowego z asystą robota. Szpitali na to nie stać, gdyż za takie operacje nie płaci NFZ – mówi prof. Chłosta.

Sama operacja wycięcia prostaty P.S. nie pomogła. Kilka miesięcy później poziom PSA zaczął rosnąć, co wskazywało na to, że nowotwór się odradza. Zastosowano radioterapię, a potem także terapię hormonalną. Kilka lat był spokój, niestety potem PSA znów zaczęło rosnąć, pojawiły się też przerzuty do kości. P.S. otrzymał chemioterapię, ale choroba wróciła. Rok 2014 – nowa nadzieja: w Polsce wchodzi do refundacji lek hormonalny nowej generacji o innym mechanizmie działania: octan abirateronu. Działał rewelacyjnie przez ponad dwa lata, ale potem znów nastąpił nawrót choroby. Kolejna chemioterapia prawie nie poskutkowała: już po dwóch miesiącach po jej zakończeniu PSA znów było wysokie, powiększyły się przerzuty do kości, a badanie PET pokazało zmiany w licznych węzłach chłonnych. Choroba rozprzestrzeniła się.

– Lekarz powiedział mi, że jest nowy lek, nadzieja dla takich osób jak ja. Tyle że nie jest refundowany – mówi P.S. Miesięczna kuracja to ok. 8 tys. zł. – Powiedziałem, że nie mam wyjścia. Nie pozostało mi nic

innego, jak tylko brać lek i czekać, aż wypłucze się z pieniędzy. Wziąłem dwa opakowania, dziś kupiłem trzecie. Lek działa rewelacyjnie, PSA bardzo mocno spadło, czuję się świetnie – opowiada P.S.

– Jednak przecież nie tak powinno być. Polscy pacjenci przepracowali 40 i więcej lat, odprowadzając składkę ubezpieczeniową, z której dzisiaj chcą korzystać – mówi Tadeusz Włodarczyk, prezes stowarzyszenia Gladiator, skupiającego kilkadziesiąt tysięcy chorych z rakiem prostaty i ich rodziny.

PACJENCI WALCZĄ O LEKI

W Polsce aż jedna trzecia mężczyzn przegrywa walkę z rakiem prostaty. Nowoczesne terapie są w stanie przedłużyć życie nawet przy bardzo zaawansowanych postaciach nowotworu lub przynajmniej opóźnić bardzo toksyczne leczenie chemiczne. Niestety, dostęp do nowoczesnych terapii jest w Polsce mocno ograniczony. – Zapisy programu lekowego są takie, że wolno mi stosować octan abirateronu tylko u chorych, którzy wcześniej

Reagan i rak prostaty

Gdy w 1987 r. prezydent Ronald Reagan miał operację raka prostaty, media opisywały to z najdrobniejszymi szczegółami. W USA rak prostaty przestał być tematem tabu. W Polsce nadal jest wstydlivym nowotworem. Chorzy, którzy jeszcze pracują (tak jak P.S.), boją się, że mogliby stracić pracę. Wtedy nie mogliby nawet marzyć o nierefundowanych terapiach.

otrzymali chemioterapię. Tymczasem powinien on być też dostępny dla części pacjentów od początku zaawansowanej choroby – mówi dr Rogowski. Szansą dla pacjentów z zaawansowaną postacią choroby jest też enzalutamid – kolejny lek hormonalny nowej generacji. – Ma podobną skuteczność jak octan abirateronu, nieco odmienny profil toksyczności. Te leki nawzajem się uzupełniają. Chcielibyśmy móc go podać zarówno chorym po chemioterapii, jak i tym, którzy jej nie otrzymywali – dodaje dr Rogowski.

Z krajów UE tylko w Polsce pacjenci nie mają dostępu do nowych terapii hormonalnych.

– Jako polski lekarz bardzo chcę, by nie było różnic między Polską a innymi

krajami w dostępności do leków, które na podstawie wyników badań są uznawane na całym świecie za terapie przywracające życie i dobrą jego jakość. W dodatku wydłużają życie nie o dwa miesiące, tylko nawet o 56 miesięcy. A u niektórych chorych jesteśmy w stanie osiągnąć jeszcze dłuższy okres do czasu wystąpienia progresji. Dla chorego każdy dzień życia ma kluczowe znaczenie, niezależnie od tego, czy ma 10, 20 czy 70 lat – dodaje prof. Chłosta.

Na pytanie „Do Rzeczy” o refundację nowych terapii hormonalnych Milena Kruszevska, rzeczniczka Ministerstwa Zdrowia, odpowiedziała, że prezes Agencji Oceny Technologii Medycznych i Taryfikacji stwierdził, iż finansowanie ze środków publicznych enzalutamidu jest uzasadnione. Obecnie zaś toczą się negocjacje cenowe wnioskodawcy z Komisją Ekonomiczną, a „minister podejmuje decyzję po zakończeniu wszystkich etapów postępowania oraz po zapoznaniu się i przeanalizowaniu dokumentacji”. Pacjentów to jednak nie uspokaja, bo AOTMiT wydała już kilka pozytywnych rekomendacji, ale resort zdrowia jak dotąd je ignorował. „Jakimi nieukami muszą być naukowcy z bogatych krajów, że zaopiniowali te leki do refundacji” – napisało do ministra Konstantego Radziwiła w maju 2017 r. stowarzyszenie Gladiator. Podobny list skierowali pacjenci z Sekcji Prostaty Stowarzyszenia „UroConti”: „Ile jeszcze pozytywnych rekomendacji musi wystawić Prezes AOTMiT, by dostrzegli państwo ciężko chorych i cierpiących mężczyzn z rakiem prostaty?” – dopytują.

P.S. nie wie, jak długo będzie go jeszcze stać na kupowanie leku. – Cztery tabletki, które muszę przyjąć codziennie, kosztują 282 zł. Nie daj Boże, żebym zaczął się źle czuć i musiał przejść na emeryturę. Na pewno nie dałbym rady kupować leku, a nie można przerwać jego przyjmowania. Co wtedy by ze mną było? – pyta. Jednak wśród chorych na zaawansowanego raka prostaty i tak jest wyjątkiem: niewielu stać nawet na próbę kupowania nierefundowanego leku za 8 tys. zł miesięcznie.

„Nawet 100-letni pacjent to też człowiek, a nie zużyty klocek z kompletem lego do wyrzucenia. Zasluguje na stosowanie najnowszych i skutecznych terapii” – napisali w liście do ministra Radziwiła pacjenci. Czekają na męską decyzję.



JACEK KOMUDA

PODRÓŻE SARMACKIEGO KUCHMISTRZA

Golonka niegodna gardeł?

Golonka, która występuje w encyklopediach jako typowo polska potrawa, w rzeczywistości jest bardzo późnym importem z Niemiec. W „Compendium ferculorum” Czernieckiego nie znajdujemy wcale dań z wieprzowiny. Jedyny wyjątek to dziki wieprz, do potrawy na czarno gotowanej z powidłami, cała reszta opiera się na cielęcinie, wołowinie, a przede wszystkim na dziczyźnie. W „Modzie bardzo dobrej...” są tylko prosie z kapustą i wieprzowa głowizna.

W Rzeczypospolitej szlacheckiej świninę uważano za mięso poślednie, odpowiedniejsze dla plebsu i niezdrowe. Stanisław Kazimierz Hercius w 1660 r. pisał, że podczas częstego jedzenia tego mięsa „człowiek tyjąc, nabywa z gęstych wilgotności choroby”, zwłaszcza jeśli nie jest pracowity, tym bowiem „potrawa zawsze barzo zdrowa”. Dopiero w „Kucharzu doskonałym” pojawia się skromny dział o wieprzowinie – mamy tu głowę podaną jako przystawka, uszy, ozorek i nóżki, różne szynki oraz oczywiście kiszki. Dalej podany jest przepis na pieczone prosie.

Ciekawe jednak, że parający się archeologią eksperymentalną

Hanna i Paweł Lisowie zamieszczają w swojej książce o słowiańskiej kuchni przepis na golonkę z garnka, skoro znika ona potem na całe wieki polskiej historii kuchni. Kiedy jednak pojawia się na dobre? Jak podaje Krystyna Bockenheim, prawdopodobnie dopiero długo po rozbiorach Poznańskie, a nieco wcześniej zapewne Śląsk przejęły pewne cechy kuchni niemieckiej – jednogarnkowe dania, drożdżowe ciasta i kluski na parze. Ciekawe jednak, że w wydanym w 1892 r. „Kucharzu wielkopolskim” nie ma ani śladu po golonce, chociaż jest dział poświęcony wieprzowinie. Jednak najbardziej ceniono szynki – wędzone, gotowane i w cieście, a także pieczone prosięta – np. nadziewane farszem, zszywane i pieczone w całości na rożnie lub w brytfannie. Jest też bigos z przerośniętej wieprzowiny.

I tyle. U Lucyny Ćwierczakiewiczowej (pierwsze wydanie „365 obiadów” to 1860 r.) mamy tylko pieczonego schaba, kotlety, kielbasy i prosie w galarecie. W „Kucharce litewskiej” z 1881 r. nie ma tej potrawy, są za to: sztuka mięsa ze świniny – czyli szynka, schab z sosem z powideł i wieprzowy udziec marynowany w occie przegot-

wanym wcześniej z korzeniami i cebulą. A także kotlety schabowe – wybite obuszkami, smażone w panierce z jajek i masła. Nigdzie nie widać jednak golonki. Widocznie jeśli nawet zagościła w jakiejś niemieckiej gospodzie, to długo uznawana była za danie niegodne Polaków.

Czy była dostępna w czasach międzywojennych? Nie znajdziemy jej w „Kucharzu polskim” z 1935 r., gdzie są już gulasz wieprzowy i boczek duszony z kalarepką, ze słodką kapustą, cynaderki z kaszą i głowizna z purée z grochu. Są tutaj oczywiście przepisy na szynki, jest angielskie „ham and eggs”, czyli plastry szynki przysmażane na maśle z jajkami. Ani słowa nie ma też w praktycznym poradniku „Jak gotować” Marii Disslowej z 1930 r.

Czy gdzieś w ogóle można było zjeść przed wojną golonkę? Jak świadczą źródła historyczne, serwowano ją w niektórych knajpach, zwłaszcza w wędliniarniach, np. w najslawniejszej Pod Ryjkiem, prowadzonej przez Jana Jabłońskiego przy Marszałkowskiej. W większości knajp i restauracji przegrywała jednak z kretelem z polskimi (sic!) zrazami po nelsonsku. ©©



Gulasz z piwem

Bierzemy 6 dag słoniny, kroimy w kostkę, stapiamy na patelni, dodajemy kilogram wieprzowiny pokrajanej w kostkę, smażymy na mocnym ogniu. Dorzucamy dwie posiekane cebule, dusimy 2–3 minuty pod pokrywą, dolewamy rosół, posypujemy łyżeczką soli, dosypujemy dwie szczypty papryki. Bierzemy trzy ziarna pieprzu, trzy jałowca, szczyptę tymianku, zawiązujemy w kawałeczek muslinu, wkładamy ten woreczek do mięsa i dusimy w garnku przez 45 minut. Następnie wyjmujemy korzenie, dosypujemy 3 dag ciemnego startego chleba, podduszamy, na koniec wlewamy ok. jednej czwartej litra piwa (ale dobrego, unikamy chemicznych, korporacyjnych świństw). Jeśli gulasz jest za gęsty, dolewamy jeszcze trochę rosół, podgotowujemy kilka minut. Podajemy z ziemniakami.

EKSPRESOWY KREM Z BIAŁYCH WARZYW MARKA SIEROCKIEGO

Od lat jesteśmy z żoną fanami Barcelony i w ogóle Hiszpanii, i za każdym razem, gdy tam jedziemy, zjadamy się gazpacho, czyli chłodnikiem. To jest niesamowite, że pojawia się tam dwa razy w roku, a w naszych ulubionych restauracjach pamiętają, co zawsze zamawiamy. W krajach, w których turystyka jest bardzo ważną gałęzią gospodarki, docenia się ludzi, którzy tam wracają. Wielokrotnie próbowaliśmy odtworzyć gazpacho z naszego ulubionego tapas baru El Tropezón w Barcelonie, ale nawet mojej żonie, która świetnie gotuje, wychodził chłodnik podobny w smaku, a jak wiadomo – słowo „podobnie” czyni jakąś różnicę. W ubiegłym roku jeden z właścicieli El Tropezón zdradził nam sekret gazpacho. Otóż należy resztki chleba razowego zakwaszyć octem winnym, olejem i czosnkiem. Chleb musi poleżeć w tej zalewie ok. 20 godz. i potem miesza się to z pomidorami, ogórkiem, papryką czerwoną, papryką zieloną, cebulą, czosnkiem, a potem blenduje i przepuszcza przez sitko. Kilka dni po powrocie zrobiliśmy chłodnik i był praktycznie identyczny.

Dzisiaj jednak podam przepis na moją ulubioną potrawę, którą robię często w okresie od późnej wiosny aż do jesieni. To krem z białych warzyw. Danie

bardzo proste, które można zrobić dosłownie w 20 min.

Składniki:

- bulion drobiowy • 1–2 ziemniaki • seler • por • cebula
- pietruszka • szparagi • inne białe warzywa • pestki słonecznika

Przygotowanie:

Do bulionu drobiowego wrzucamy obrane ziemniaki, seler, por, cebulę, pietruszkę, możemy wykorzystać inne białe warzywa, doskonałym uzupełnieniem są np. szparagi. Gotujemy całość i blendujemy (proporcje dobieramy tak, by było dość gęste). Na suchej patelni prażymy pestki słonecznika lub dyni. Krem doprawiamy wedle gustu. Jeśli ktoś chce, to dla wyostrenia smaku może dodać kilka cienkich pasek pikantnej papryki. Podajemy gorący posypany pestkami słonecznika lub dyni.

© © *oprac. raw*

Marek Sierocki
jest dziennikarzem
muzycznym, konfe-
ranserem, dyrektorem
artystycznym festiwalu
muzycznych.



FOT. PIOTR KAMUŃSKI/REPORTER



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Psychosesja z kartoflem

Elegancki dom towarowy w Londynie – Selfridges – znany jest głównie z szerokiej oferty drogich ubrań. Posiada również dział wnętrzarski. Aby uczynić go bardziej atrakcyjnym, wprowadzono nową usługę. Jest to atelier, w którym zestresowani klienci mogą usiąść przy dużym stole i oddać się spokojnym zajęciom. Obierać kartofle, mleć w moździerzach przyprawy, takie jak goździki, pieprz czy cynamon. Trudno wprawdzie stwierdzić, kto komu wyświadcza tu usługę/przysługę, bo obrane/utłuczone zapewne służą lokalnej restauracji, ale nie czepiajmy się szczegółów. Do dyspozycji uczestnikom atelier pozostawiono trzy rodzaje kartofli: popularną w Anglii odmianę Maris Piper, ziemniaki młode oraz Vitelotte, francuską odmianę fioletową. Otrzymali także dwa noże, a nad całością pracy zespołu czuwali dwaj opiekunowie. Za obieranie się nie płaci, za tłuczenie już tak – do 15 funtów.

Proszę się nie śmiać, sprawa jest poważna. Akcję zainspirował kolektyw The New Craftsmen i ma ona wcale nieśmieszne uzasadnienie: „Interaktywne doświadczenie, zanurzenie w głębi domu [towarowego, rzecz odbywa się w piwnicy – przyp. J.B.] jest fundamentalną ekspresją osobowości”. Cytuję za dziennikiem „Guardian”.

Jeszcze poważniej rzecz wygląda, gdy zapoznać się

z komentarzami uczestników. „Całkiem straciłem poczucie czasu – pisze w komentarzu do psychosesji Andy, 26 lat. – Tak mi się spodobało, że całkiem zapomniałem o sprawdzaniu e-maili, nawet nie mogłem”. Dla innych także było to odkrycie: „Nigdy w życiu nie obierałem kartofli. To było doświadczenie medytacyjne” – podkreśla Antonio. Całkowicie rozumiem Antonia, wiedząc, że w Londynie spora część mieszkańców widziała kartofle tylko w postaci frytek. Widok nieobranego ziemniaka mógł rzeczywiście wstrząsnąć Antoniem, dobrze, że nie skończyło się w psychiatriku.

„Nie spodziewamy się, że obieranie kartofli stanie się czymś hobby; naszym celem jest tylko podnieść wartość i zwrócić należną wagę prostym czynnościom – mówi Linda Hewson, dyrektor kreatywna Selfridges, dziennikowi »Evening Standard«.

– To uświadomienie sobie ich wagi. Trzeba poświęcić im czas, by je zrozumieć”. My oczywiście rozumiemy, ponieważ zdarza nam się obierać ziemniaki nie w atelier, tylko tak po prostu, na obiad. Niektórzy nawet widzieli je nie tylko w sklepie, lecz także na polu. Ponadto pamiętamy, jak Julita Wójcik dokonywała aktu artystycznego, obierając kartofle w Zachęcie. Dla nas ta czynność dawno stała się przeżyciem egzystencjalnym. Jednak frytki też lubimy. © ©



FOT. FOTOLIA

NASZ TEST: ISUZU D-MAX

Tego auta nie da się przegapić ani na drodze, ani na parkingu pod centrum handlowym. I nie chodzi o zadziorny grill ani sportowe reflektory LED. To tylko detale. Najważniejszą zaletą tego modelu jest muskularna sylwetka: D-Max to twardziel dla ludzi, którzy potrzebują dużej mocy w trudnym terenie. Wsiadając do tej ładnej minicieżarówki, trzeba jednak mieć świadomość, że japoński pick-up to głównie niezawodny wół roboczy dla budowlanców, architektów, leśników, weterynarzy lub zapalonych miłośników nurkowania, a nie auto dla prezosów szukających powiększonego SUV-a do komfortowych przejażdżek autostradami.

W KABINIE

W przestronnym wnętrzu znajdziemy wiele różnych schowków oraz skrytek. Kabina jest wykończona estetycznie, ale próżno w niej szukać jakichś luksusowych elementów. Plastik sprawiają wrażenie trwałych, ale w porównaniu z głównymi konkurentami, których wnętrza zbliżone są do SUV-ów, kabina D-Maxa wygląda blade. Po stronie plusów można zapisać czytelne zegary. Do obsługi nawigacji i multimedii służy zaś 8-calowy ekran dotykowy. Również duża kierownica dobrze leży w dłoniach.

Testowane przez nas auto miało tzw.abinę przedłużoną – z założenia wygodnie mogą w nim podróżować tylko ludzie na przednich fotelach. I rzeczywiście jeździ się przyjemnie, choć osoby przyzwyczajone do podróży w luksusowych SUV-ach mogą narzekać zarówno na poziom tłumienia nierówności, jak i na wyciszenie kabiny. Z tyłu znajdują się rozkładane siedzenia, ale jest to rozwiązanie awaryjne. Zmuszenie jakiegokolwiek żywej istoty do jazdy na nich dalej niż przez 10–15 km może być już traktowane jako łamanie praw człowieka.

Auto ważące 1,9 t jest w stanie ciągnąć za sobą przyczepę o masie 3,5 t. Bez trudu możemy więc np. z własną łódką wyjechać na weekend nad jezioro. Dopuszczalna ładowność samego D-Maxa wynosi zaś nieco ponad 1,1 t – w porównaniu z konkurencją to bardzo dobry wynik.

JAZDA

Najprzyjemniej D-Maxem podróżuje się po zjechaniu z asfaltu. Wówczas najlepiej można docenić zalety japońskiego pick-upa, który świetnie radzi sobie z terenowymi przeszkodami (kąt natarcia wynosi 30 stopni, kąt zejścia – 22 stopnie, a maksymalna głębokość brodzenia to 60 cm).

Sztywne zawieszenie sprawia, że auto nie przechyla się zbyt mocno na zakrętach. Isuzu D-Max daje też radę na autostradzie. Rozpędza się w miarę sprawnie i bez trudu można je rozbijać do 160–170 km/godz. Przy mocniejszym naciśnięciu gazu w środku robi się na tyle głośno, że włączenie radia daje tylko symboliczny efekt. Przy wysokich prędkościach na autostradzie lub podczas bardziej wymagających manewrów w terenie warkot wysokoprężnego silnika jest tak mocno słyszalny, że o dłuższej rozmowie z pasażerem można praktycznie zapomnieć. Po zmniejszeniu prędkości lub zmianie biegu na wyższy odgłos silnika znów słychać, jednak tylko w tle i można spokojnie rozmawiać.

Wysokoprężny silnik o pojemności 1,9 l i 163 KM mocy ma bardzo ograniczony apetyt na olej napędowy. Podczas testu D-Max potrzebował średnio 9 l/100 km.

BEZPIECZEŃSTWO

W testach zderzeniowych Euro NCAP Isuzu D-Max otrzymał cztery gwiazdki na pięć. Wy-

soka pozycja za kierownicą ułatwia obserwację sytuacji na drodze.

Nadsterowności tylnej osi zapobiega elektroniczna kontrola stabilności (ESC). W terenie przydają się też elektroniczni asystenci, ułatwiający kontrolę wjazdu pod wzniesienie czy automatycznie regulujący prędkość zjazdu. Podczas manewrów na zatłoczonych miejskich parkingach kamera cofania ratuje zaś przed stratowaniem jakiegoś mikre miejskie autka.

W D-Maxie nie ma jednak asystenta martwego pola ani innych systemów, które ostrzegałyby kierowcę przed zbliżającą się kolizją czy alarmowały w razie przypadkowej zmiany pasa ruchu.

CENA

Najtańsze Isuzu D-Max w wersji z kabiną pojedynczą i ręczną skrzynią biegów kosztuje 105,7 tys. zł. Za kabinę przedłużoną trzeba dopłacić niemal 8 tys. zł. Najtańszy D-Max w wersji z kabiną podwójną (wówczas z tyłu może już normalnie podróżować troje pasażerów) kosztuje zaś 118 tys. zł.

KONKURENCI

Ford Ranger, Mitsubishi L200, Nissan Navara, Toyota Hilux, Volkswagen Amarok © © **Jacek Przybylski**



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

ODLICZAMY CZAS DO OTWARCIA!

14 LIPCA 2017

-25%

na rezerwacje dokonane
do 15.06.2017

340 PRZESTRONNYCH POKOI Z WIDOKIEM NA MORZE
RESTAURACJE I BARY Z MORSKĄ SCENERIĄ ZA OKNEM
BASEN Z ILUZJĄ NIESKOŃCZONOŚCI NA DACHU
AQUAPARK Z PIERWSZĄ W POLSCE SZTUCZNĄ FAŁĄ DO SURFINGU
SALA BALOWA NA 1 000 OSÓB
50 M OD PIASZCZYSTEJ PLAŻY

Radisson Blu Resort, Świnoujście

al. Baltic Park Molo 2

+ 48 91 40 40 700

reservations.swinoujscie@radissonblu.com

oprasa.pl/80fc8579fd



MATTHEW TYRMAND

ZŁY TYRMAND

Śmietnik historii?

MARCIN MAKOWSKI: Jak zapewne wiesz, a sądzę, że informacja ta odbija się echem na całym świecie, Polska została wybrana na niestełego członka Rady Bezpieczeństwa ONZ. Otwierasz szampana?

MATTHEW TYRMAND: Chciałbym, ale rozpaczliwa chęć przypisania sobie jakiegokolwiek sukcesu dyplomatycznego przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych sprawia, że z normalnego wydarzenia, które od czasu do czasu spotyka praktycznie każde z państw globu, czyni się drugą wiktoryę wiedeńską. ONZ w dzisiejszej rzeczywistości to instytucja bez realnych wpływów, z przerostem administracji i ambicji – jednym słowem relikw XX w.

Proszę, Matthew Tyrmand mówi językiem części opozycji, która deprecjonuje zasługi rządu i znaczenie tego wyboru.

Subtelna różnica polega na tym, że opozycja skrytykowałaby wszystko, co osiągnął PiS, i zrobiłaby to dla samego sportu. Wiesz przecież, że nawet ślepa wiewiórka czasami znajdzie orzech, a zepsuty zegar pokazuje poprawną godzinę dwa razy w ciągu dnia.

Polska opozycja to właśnie taka ślepa wiewiórka, która akurat w sprawie ONZ ma rację, ale chyba sama nie rozumie dlaczego. Lepiej, że Polska znalazła się w Radzie Bezpieczeństwa, niż gdyby miała się przyglądać z boku, ale jeśli ktoś liczy, że dzięki temu pozafatmiamy polskie sprawy, ktoś na forum międzynarodowym zatroszczy się o Smoleńsk albo zrozumie punkt widzenia Warszawy na bezpieczeństwo energetyczne Europy Środkowo-Wschodniej, to srodze się zawiedzie. Donald Trump wie, że ONZ wysysa gigantyczne sumy z portfeli amerykańskich podatników i pod koniec jego kadencji obecna organizacja będzie cieniem samej siebie. Polska powinna dzisiaj skupić wszystkie siły dyplomatyczne na zacieśnieniu współpracy wewnątrz NATO, bo tylko sojusz oferuje możliwość utrzymania globalnego pokoju. Organizacja Narodów Zjednoczonych, do której należą również najbrutalniejsze reżimy świata zasiadające w komisjach praw człowieka, to karykatura swojej dawnej wielkości. Jej miejsce jest na śmietniku historii.

Również tam powinna się znaleźć umowa klimatyczna z Paryża? Oczywiście!

Dobrze, żarty żartami, ale gdzieś się musi kończyć to antyglobalistyczne zacieńczenie. Świat mamy tylko jeden.

A kto mówi, że mamy go mieć w poważaniu? Umowa z Paryża robi to po prostu źle, wtłaczając w rozwój ekonomii liberalne fantazje i poczucie winy, tym samym faworyzując państwa, które opierają swoją energię na innych niż węgiel paliwach i radzą sobie lepiej od krajów Trzeciego Świata. Indie i Chiny nie kryją oburzenia decyzją Trumpa, a co zrobiły w celu ograniczenia wysyłanego do atmosfery zanieczyszczenia? Ile wydały na ten cel pieniędzy? Nie mam wątpliwości, że gdy rynek będzie się normalnie rozwijać i osiągniemy taki poziom zaawansowania technologicznego, że przesiądziemy się na elektryczne samochody i będziemy wytwarzać tylko zieloną energię, uratujemy klimat bez pomocy ponadnarodowych organizacji. Sterowanie wszystkim z góry pod płaszczykiem szantażu emocjonalnego to kolejny z powodów, dla których rok 2016 i populistyczna rewolucja były w ogóle możliwe.

À propos globalizmu, twój ulubieniec George Soros zaapelował niedawno w Brukseli, że w imię troski o przestrzeganie prawa Polska powinna zostać odcięta od funduszy unijnych.

Mówiłem to na łamach naszej kolumny i powtórzę. Było do przewidzenia, że gdy w Unii zacznie brakować pieniędzy, cięcia zaczną się od szukania kozłów ofiarnych. Przecież to nie ma niczego wspólnego z państwem prawa, tylko z wojną ideologii i kasą. Za kilka tygodni pierwsza rozprawa w pozwie, który złożyłem przeciw „Gazecie Wyborczej”. Z przyjemnością opowiem wtedy więcej, jak za pieniądze George’a Sorosa realizuje ona jego interesy, których wizję zaprezentował właśnie w Brukseli. © ©

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE



Niedziela 12:00



Tomasz Sakiewicz

Teraz Telewizja Republika NA ŻYWO i ZA DARMO on-line  **www.telewizjarepublika.pl**



KATARYNA

OKIEM BLOGERKI

Misiewicz 2.0

BARTŁOMIEJ MISIEWICZ: *Gdzie mamy zdobyć to doświadczenie, gdzie mamy się nauczyć tego warsztatu, gdzie mamy potem korzystać z tego wszystkiego tak, aby skutecznie, słusznie i w pełni pracować dla Rzeczypospolitej Polskiej?*

Podobno po wybuchu „sprawy Misiewicza” sam prezes Kaczyński namawiał go do wyjazdu z Polski, żeby na chwilę zniknąć z oczu opinii publicznej. Misiewicz nie posłu-

Że Prawo i Sprawiedliwość takie praktyki wtedy potępiało i obiecało z nimi skończyć? Cóż, kampania wyborcza rządzi się swoimi prawami, a żyć z czegoś trzeba. Niech więc sobie Małgosia na państwowym dorobi, bo w prywatnym z jej CV nikt by jej tak ważnego stołka w tak wielkiej firmie nie dał.

Zawodowa kariera Małgorzaty Sadurskiej, prawniczki nigdy niepracującej w zawodzie, to wyłącznie polityka – członek zarządu powiatu puławskiego, posłanka, przez pięć miesięcy sekretarz stanu w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów, przez niecałe dwa lata szefowa Kancelarii Prezydenta... Żadnego doświadczenia w biznesie, ale przecież nie za doświadczenie i kompetencje tę posadę dostanie.

Na szczęście dla nas – właścicieli PZU i osób w nim ubezpieczonych – ta partyjna nominacja państwowemu ubezpieczycielowi raczej nie zaszkodzi. W zarządzie są dzisiaj cztery osoby o kompetencjach i doświadczeniu wystarczających do zarządzania

firmą, dodanie im do towarzystwa Małgorzaty Sadurskiej nie będzie miało żadnego znaczenia, zwłaszcza gdy od początku wiadomo, że wchodzi tam tylko na chwilę, po kasę na kampanię, żeby dostać się do europarlamentu, gdzie kasa będzie większa i pewniejsza.

Dwa lata temu PiS wygrał wybory, obiecując „dobrą zmianę” i tacy jak ja w tę obietnicę uwierzyli, zakładając szczerą ówczesnego oburzenia PiS na kołesiostwo i nepotyzm w wydaniu PO. Dzisiaj, po niecałych dwóch latach, jedynym argumentem za wieloma decyzjami jest: „Platforma robiła to samo” i przypomnienie niedosłej kariery Igora Ostachowicza w Orlenie, z której zresztą sam zrezygnował po dwóch dniach. Na mnie to dawno już nie działa, jako wyborca umawiałam się na „dobrą zmianę”, a nie na TKM.

Jednak to ja. Może faktycznie da się wygrać kolejne wybory głosami tych, którym wystarczy „Przez osiem ostatnich lat Polcy i Polaki...”. ☹☹

Ta partyjna nominacja państwowemu ubezpieczycielowi raczej nie zaszkodzi

chał, do wyjazdu z Polski szykuje się za to Małgorzata Sadurska, która chce zostać europosłanką. Jednak wcześniej potrzebuje dużych pieniędzy na kampanię wyborczą. To gdzie ma po nie iść jak nie do spółki Skarbu Państwa, w której stołki rozdają jej partyjni koledzy? Że to kołesiostwo? Przecież Platforma też tak robiła.

PODSŁUCHANE

Trzeba łagodniej

Beata, ty wiesz oczywiście, że od kongresu zmieniamy kurs?

Tak, Jarku, oczywiście. A konkretnie?

Konkretnie to właśnie ma nie być. Ma być mgliście, niejasno i łagodniej. Kończymy z asertywnością, agresją, przestajemy walić na odlew. Ma być subtelnie, wyciągamy rękę do opozycji, czerpiemy

z centrum, dopieszczamy klasę średnią i tak dalej. Spróbuj. Ale jak to? Teraz?

Tak. Tak ad hoc, chcę posłuchać, jak ci pójdzie, kiedy będziesz miała publicznie występować. No, skoro nalegasz... Hm, hm. „Zwykli Polacy wiedzą, że...”

Nie. „Zwykli Polacy” to źle brzmi. To było cały czas, będzie się kojarzyć z okresem naporu, a my mamy być teraz łagodni. Jakos inaczej.

No ale jak? Skoro nie „zwykli Polacy”, to jacy?

Może po prostu: „Polacy!”

Ale jak to? Tak bezprzymiotnikowo?

Tak. No, spróbuj jeszcze raz. Tylko pamiętaj: łagodnie, spokojnie, bez agresji.

Rozumiem, rozumiem. „Polacy wiedzą, że osiem lat fatalnych, skandalicznych, dramatycznych w skutkach rządów PO...”

Nie, Beata, to wciąż nie do końca to, o co chodzi. Musisz nad tym jeszcze popracować. Możesz się wspomóc moimi wystąpieniami sprzed wyborów w 2015 r. ☹☹

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Duda chce do polskiej praktyki politycznej wprowadzić rasizm i ksenofobię, najbardziej prymitywne odruchy. To jest obrzydliwe”

TOMASZ LIS, publicysta, w Radiu TOK FM o propozycji referendum ws. przyjmowania uchodźców; z jaką wyszedł prezydent Andrzej Duda

fot. Jerzy Gumowski



Sabotaż

nie kretyńską/barbarzyńską co ta trwająca od ostatnich wyborów do parlamentu, pełną aktów agresji, tyle samo histerycznych, ile komicznych. Platforma to demolka plus defamacja, czego dowodem jest m. in. paszkwilancka terminologia jej propagandy. Podobnie jak wtedy — teraz również słyszy się ciągle z ust salonowców: „faszyści”, „faszystowska”, „faszystowskie”. Mam taką prośbę do ludzi o zdrowych umysłach: ilekroć jakiś salonowy dupek będzie bredził, że pisowcy są ugrupowaniem faszystowskim lub władzą faszystowską — zacytujcie mu Oriannę Fallaci, która słusznie mawiała: „Są dwa rodzaje faszystów — faszyści i antyfaszyści”. Salon to ci drudzy, zaraza.

Czymś wywołującym najgłębszą, megadepresyjną traumę priwiślańskiego Salonu jest piorunujący wzrost gospodarczy pod rządami PiS (z GUS-em równie trudno dyskutować co z fizjologią). Identyfikacja było za pierwszych rządów PiS, kiedy nasza gospodarka notowała wzrost 6,2% (2006) oraz 7,2% (2007), a bezrobocie gwałtownie malało (o prawie 50%). Platforma bezwzględnie to zepsuła, notując wzrost 3,9% (2008), 2,9% (2009), itd. Ówczesną porażkę PiS spowodowali toksyczni koalicjanci (Lepser/Giertych), co dzisiaj raczej nie grozi Ka-

Zdrada stanu

czyńskiemu. I kiedy teraz gospodarka olimpijsko szybuje — mogą sobie wyobrazić frustrację salonowców dołączając ich co dnia. Po chanie ze złości gryzie palce, Lis gapi się tępo w lustro i przeklina, Borusewicz sapie pełen gniewu. Taki pech! A przy okazji: figury wzmiankowane wyżej (jak też sporo im podobnych: Szczuka, Janda, Środa, Biedroń, Blumsztajn, Wroński, Wojewódzki, Kuczyński, Rzepliński, Olejnik, Hartman, Stuhr, „e tutti quanti”) są bezspornym ucieleśnieniem tezy legendarnego teoretyka mediów, Marshalla McLuhana, że „medium is a message” (środek przekazu sam jest przekazem). Same ich figury to oczywisty przekaz. Ich facjaty emitują taką salonową nienawiść do prawicowców/antypolitpoprawnościowców/konserwatystów/tradycjonalistów, czyli do ludzi przyzwoitych, że nie muszą otwierać ust — nawet na milcząco wszystko jest jasne.

Problem (groźny problem) stanowi fakt, że często rozwierają usta za granicą, obmawiając/szkalując/postponując własny kraj. W cudzoziemskich mediach, w dyplomatycznych kuluarach, na brukselskich mówniach i na międzynarodowych konferencjach bądź festiwalach. Jak chociażby oślawiony Jacek Poniedziałek na festiwalu w Bazylei: „— Nasz kraj został zaatakowany od środka. Nasz rząd skutecznie realizuje program

niszczenia demokratycznego porządku. Najpierw sądownictwo, potem media, a teraz przyszła kolej na kulturę. Boimy się” (2016). Tak samo gdakali: eksdygnitarz PO Radosław Sikorski w USA (2016–2017), funkcjonariusz „Gazety Wyborczej” Seweryn Blumsztajn w Szwecji (2017), Piotr Nowina-Konopka (były działacz UD oraz UW) we francuskim senacie na szkalującym PiS panelu „Czy Polska jest jeszcze państwem prawa?” (2017), tudzież platformersi (wraz z SLD i PSL) na forach UE od początku roku 2016. Profesor Aleksander Nalaskowski: „Handlując Polską Schetyna & Co. zdradzają interesy Polski, czyli dokonują zdrady stanu. To jest polityczne cinkciarstwo w europejskiej bramie, stręczycielstwo, kompletny brak sumienia”. Paweł Kukiz: „— Wywołanie partyjniackich sporów na międzynarodową arenę jest skandalem, gdyż osłabia to Polskę i stawia nas w pozycji wasala względem UE oraz innych państw”. Profesor Zdzisław Krasnodębski: „— Europosłowie PO, PSL i SLD zapisałi w historii UE nową kartę — po raz pierwszy parlamentarzyści jakiegoś kraju członkowskiego opowiadali się za tym, żeby ten kraj spotkały sankcje. To właśnie by uzasadnić, również przed samymi sobą, ów akt, potrzebny jest im ten humbug, że w Polsce jest gorzej niż w stanie wojennym, czy że jest u nas tak jak za Stalina i Hitlera jednocześnie (...) Nie widzę nic złego w tym, że europarlamentarzyści z PO informują swoich kolegów z CDU/CSU, że krytycznie oceniają sytuację w Polsce. Ta granica zostaje jednak przekroczona, gdy ta krytyka jest oparta na kompletnych bzdurach i gdy jest próbą doprowadzenia do zewnętrznej interwencji w sprawę Polski”.

Nikt nie lubi interwencji cudzoziemców (podobnie jak nikt nie kocha skazywanych, zwłaszcza „kablujących” oszustów). Niedawno pani minister powiedziała „**Spiegłowi**”: „— Nasz kraj nie wtrąca się w sprawy innych krajów, dlaczego więc inni czują się upoważnieni do tego? To jest naruszanie naszej suwerenności, więc ja oczekuję od państw Unii Europejskiej innego postępowania. Nikt nam nie będzie mówił jak się mamy rzadzić!”. Która to nasza pani minister tak rugała Salon? Żadna — te słowa wypowiedziała Alejet Szaked, minister sprawiedliwości Izraela. Szczęśliwie pani premier Szydło wypowiada się już prawie identycznie twardo, chociaż jeszcze nie uderza pięścią w stół.

Dyscyplinujące tyrady i groźby Brukseli są żalodne, a czasami nawet groteskowe, co świetnie wypunktował Paweł Lisicki („**Do Rzeczy**” 8/2017): „W zeszłym roku w Strasburgu przyglądałem się debacie poświęconej demokracji w Polsce. Najbardziej radykalne były głosy lewicowych feministek, które wzywały polski rząd do walki z zabójstwami honorowymi i małżeństwami nieletnich”. Jeszcze trochę, a wezwą nas do zaniechania rytualnych obrzezań, nieubierania pasów szahida i niewysadzania się wewnątrz autobusów. ©©

Waldemar Łysiak

Intensywna, ani przez chwilę nieschodząca z wysokich obrotów „wojna polsko-polska” (wzajemne mordobicie dwóch dużych partii, przekładające się na głębokie rozwarstwienie społeczeństwa) ma swoje bardzo adekwatne precedensy w rodzimej historii, jeden niedawny, sprzed dekady, drugi zaś trochę starszy, sprzed dekad dziewięciu-ośmiu. Ten drugi to permanentna, wściekła agresja „endecji” (Narodowej Demokracji) przeciwko rządzącej „piłsudczyźnie”, równie zawzięta oraz bezmyślna co dzisiejsza agresja PO (Salonu) przeciw „pisiorom”. Endecy ówczesni byli (tak samo jak dzisiaj PO) straszliwymi szkodnikami, od samego początku, exemplum Ryga 1920/1921. Rzeczpospolita, dzięki geniuszowi Marszałka Piłsudskiego, wygrała wówczas wojnę z bolszewicką Rosją, ale przegrała będący jej efektem traktat pokojowy, na skutek wredności zawsze prorosyjskich endeków, którzy sabotując prowadzili ryzykowne rokowania pokojowe. Rosjanie sami zaproponowali nam wtedy całą Białoruś (Mińska nie wyłączając), lecz ku ich zdumieniu polska delegacja... odrzuciła tę propozycję (bo endek Grabski postanowił dokopać tym Piłsudskiemu)! W rezultacie setki tysięcy płaczących Polaków wydane zostały na łup tyranii sowieckiej. Później, przez całą erę „międzywojenną”, ND—cka zmijała kasała nieustannie władzę demokratyczną („sanacyjną” itp.), podsycając ogień tamtej polsko-polskiej wojny burdami sejmowymi, awanturami ulicznymi i kłamiw propagandą medialną, czyli identycznie jak teraz PO. Dla państwa było to nie tylko denierujące, lecz i osłabiające. Gdy rok 1939 zakończył trwanie II RP, wielki poeta, Marian Hemar, rozpatrując „tej naszej klęski tajemnicę”, stawia diagnozę oskarżycielską — twierdzi, że główna przyczyna upadku była „poza mapą bitew, poza wojskiem i wodzem, i nie w [międzynarodowej] polityce”:

„Ale była tam, gdzie się na sąd
stawia boski,
Na rozprawę ostatnią — krwawy
cień pieniacza,
Który jeszcze za grobem Bogu
nie przebacza
I wadzi się — bezgłowy
Samuel Zborowski”.

Natomiast precedens nr 1, niedawny, ten sprzed dziesięciu lat, to pierwsze zwycięstwo partii Jarosława Kaczyńskiego (2005), które doprowadziło Platformę do takiej samej furii jak triumf pisowców w roku 2015. Ciekawe ilu Czytelników jeszcze pamięta, że PO wszczęła wtedy kampanię nienawiści/obstrukcji/destrukcji rów-

ROAMER

OF SWITZERLAND

Adam Sztolce



SUPERIOR SAPHIRE ANTI-REFLECTION CRYSTAL SWISS MADE SINCE 1888